

WACŁAW BERENT

FACHOWIEC

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEDMOWĄ ZAOPATRZYL
Dr. STANISŁAW PAZURKIEWICZ



NAKŁADEM KSIĘGARNI A. GMACHOWSKIEGO
CZĘSTOCHOWA

 1925

18



Ber
Fark

629.

PRZEDMOWA.

Powstanie listopadowe i wszystkie następne objawy ruchu zbrojnego aż do r. 1863 włącznie były związane ściśle z naszą poezją romantyczną. Marzenia niepodległościowe i „ sny o potędze ” ówczesnych pokoleń polskich znajdowały urzeczywistnienie nie tylko w orężnym wysiłku — były również ucieleśnione w postaci pomysłów i wizyj romantycznych, ozdobionych piękną szatą poetycką. Ta ścisła i serdeczna zarazem łączność naszej poezji z życiem — to znamienna dla ówczesnej epoki i znana w dziejach narodów ujarzmionych cecha. Upadek powstania styczniowego zerwał tę łączność i zburzył wiarę w hasła i wartości, głoszone przez poezję romantyczną, uznając je za przyczynę klęski. Postanowiono odłożyć na czas dłuższy wszelkie zamiary wywalczenia wolności politycznej drogą powstań — zwrócono natomiast uwagę na konieczność rozwoju ekonomicznego i kulturalnego kraju. Przyświecała bowiem zasada, że stworzenie dogodnych warunków ekonomicznych, które przyczynią się do bogactwa materialnego — a potem i kulturalnego — narodu powinno być celem pracy najbliższych po r. 1863 pokoleń. Tym zapatrywa-

niom przyszła z pomocą t. zw. filozofja pozytywna — sformułowana we Francji przez Augusta Comte'a (1798 — 1857) — uznająca tylko rzeczywistość, fakty, wykluczająca zaś wszelkie marzenia i rojenia.

Zatem praca — niejednokrotnie szara i żmudna, jak np. w fabrykach lub warsztatach — stała się czynnikiem, decydującym o wartości i przyszłości narodu, gdyż przyczyniała się do dobrobytu ekonomicznego. W tem też tkwi źródło uwielbienia i idealizowania — przez literaturę w tym okresie — ludzi pracy i trzeźwych poglądów na życie. Jeden z najwybitniejszych u nas przedstawicieli pozytywizmu Aleksander Świętochowski powiedział wtedy: „Nie ten jest bohaterem, kto, przetrwawszy chwile gwałtownego entuzjazmu, cofa się przed trudem powolnej naprawy szkód, ale ten, kto zarówno w chwilach uniesienia i pokoju, nie odstępuje do końca od obowiązków, związanych ze względami powszechnego dobra“ — a Piotr Chmielowski, wybitny krytyk literacki, pisząc o bohaterach ówczesnych powieści, do takiego doszedł wniosku: „Nie fantasta, nie mistyk, nie zapaleniec, lecz człowiek pracowity, liczący swe dni nie na sen i marzenie, ale na krótki spoczynek i długą, długą robotę stał się typem szanowanym, cenionym, a nawet niekiedy uwielbianym“. A każdy taki człowiek czynu — to specjalista, fachowiec w dziedzinie swej pracy i obowiązków.

Na tle tych właśnie czasów osnuł Wacław Berent pierwszą swą powieść p. t. „Fachowiec“, wydaną w r. 1898. Autor — urodzony 1873 r. w Warszawie — należy do stosunkowo bardzo rzadko odzywających się powieściopisarzy (podobnie jak np. Igna-

cy Dąbrowski, autor „Śmierci“), skoro po „Fachowcu“ wydał tylko trzy – ale zato wybitne powieści: „Próchno“ (1903), „Ozimina (1911) i – szczególnie – „Żywe kamienie“ (1918), świetne odzwierciedlenie życia średniowiecza z końca XIV wieku. Dzięki tym dziełom zajął Berent ważne stanowisko w dziejach współczesnej powieści polskiej, reprezentowanej przez Reymonta, Żeromskiego, Sieroszewskiego i innych.

Główną postacią w „Fachowcu“ jest Kazimierz Zaliwski – młodzieniec, który po ukończeniu szkoły średniej, pracuje jako robotnik w fabryce, uważając ją za „najlepszą politechnikę i najszczytniejszy uniwersytet“. Sądził bowiem – co wówczas było zdaniem powszechnem – że tylko na tej drodze stanie się jednostką wartościową społecznie – jako fachowo wykształcony robotnik w fabryce przyczyni się swą umiejętnością i pracą do ekonomicznego bogactwa kraju. Nie przewidział jednak ten młody zwolennik programu pracy organicznej – dążącej usilną i wytrwałą pracą do stworzenia dobrobytu materialnego – że ta praca, której się poświęcił, nie jest jedynym środkiem, wiodącym do pomnożenia dobra społecznego. Nie rozumiał – idąc za ogólnym prądem – że praca umysłowa, do której miał zdolności i zamiłowanie, jest również konieczną i wartościową dla społeczeństwa, że praktyczność i trzeźwość nie mogą być jedynym przewodnikiem w życiu człowieka, że wyłączne panowanie rozumu a odebranie znaczenia uczuciu i wyobraźni jest jednostronnym, objawem, który nie może trwać długo... Stąd później tragizm w duszy młodzieńca, tragizm – zwiększony faktem powolnego zatracania – pod wpływem śro-

dowiska fabrycznego i mechanizmu pracy („człowiek jest tak zależnym od tych potworów (maszyn fabrycznych), że nie tylko rusza się, jak maszyna, gada i oddycha w jej takt, ale nawet myśleć tak musi, jak ona mu każe” — oto do jakiego wniosku przychodzi) — inteligencji i delikatności uczuć, a potem nawet ambicji. Ciekawie przedstawione są też w „Fachowcu” inne postacie z warstwy robotniczej — na szczególną uwagę zasługuje majster Walicki, typ wynalazcy — marzyciela, który odbiera sobie życie, nie mogąc przeżyć zniszczenia wynalezionej przez siebie maszyny. Kwestja emancypacji kobiet, która w okresie pozytywizmu stała się sprawą bardzo aktualną i niejednokrotnie w literaturze naszej poruszoną (czego dowodem są np. „Emancypantki” Prusa lub niektóre powieści Orzeszkowej), musiała być również przez Berenta uwzględniona. Ta kwestja kobieca wynikała przedewszystkiem ze zmienionych po r. 1863 stosunków ekonomicznych, które do większej samodzielności życiowej zmusiły kobietę, zmieniając zarazem w tym duchu dawniejsze poglądy na jej społeczne stanowisko. Emancypantką w „Fachowcu” jest Helena Walicka, córka wspomnianego przedtem majstra fabrycznego. W życiu — szczególnie po śmierci ojca — pragnie być samodzielną i niezależną zapewne z tej przyczyny, że wymagają tego teorie pozytywizmu, które uczyniły z niej istotę pozbawioną uczuć.

Pierwsza powieść Berenta jest więc protestem przeciw jednostronności zasad pozytywistycznych.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Podług kalendarza niezbyt odległe to czasy, gdy jednak pamięć moją za świadka wezmę, to jakby mgła przeszłości je pokrywała. Skończyłem wtedy szkoły i całemi dniami rozmyślałem nad wytknięciem sobie celu w życiu. W spuściznie po rodzicach zostało mi około trzystu rubli, noża więc na gardle nie miałem i mogłem z kilka tygodni podumać, zanim bym wziął się do pracy. Wolne chwile spędzałem w cukierni, gorliwie studując gazety. Znajdowałem tam potwierdzenie mglistych i niewyraźnych planów, a właściwie gotową nauczkę, którą należało tylko na czyn przetłumaczyć.

A jednak wciąż jeszcze nie byłem zdecydowany, jakiej mianowicie gałęzi przemysłu mam się poświęcić. Bo, że na drogę przemysłową pójdę, o tem wątpliwości być nawet nie mogło.

Słusznie powiada X. Y. w „Postępie“:

„Ileż to sił, ile tęgich, dzielnych ludzi zabierają nam wyrafinowane dążenia, drobne fałszywe ambicje, płaczliwe, niedołężne marzycielstwo“.

Słowa te utwierdzają mnie tylko w raz powziętem postanowieniu. Wielkich zdolności może i nie

mam, ale czem mogę i jak potrafię, chciałbym dla dobra ogólnego pracować. Dosyć marzyłem w szkołach, dosyć pięknych słówek i hasel nasłuchiwałem się tam. Teraz przyszła kolej na czyn.

„Pesymista“ w „Proroku“ mówi, że przyszłość przed sobą mają tylko produkcyjne społeczeństwa, i temi słowami najwyraźniej sformułował myśl moją.

Tak oto rozmyślałem, czytając chciwie artykuły, które w jakikolwiekby sposób poruszały obchodzącą mnie sprawę. A pisano o tem dużo. Dość było wziąć pierwszą lepszą gazetę do ręki, by znaleźć filipiki, kazania i rady, tyczące się przemysłu. Takem się powoli zżył z tem, że świątobliwe i sentymentalne strzały, rzucane z przeciwnego obozu, wprowadzały mnie prawie w rozdrażnienie.

Boć czyż tamci nie mają racji? — myślałem nieraz. Gdy tak naokół się obejrzę, wszędzie widzę braki, wszędzie niedomagania; widzę niezaradność, niedołęstwo, słyszę czule piosenki, sentymentalne romanse, smutne uzalania się nad zacofaniem kraju; ale nigdzie nie widzę czynu, nigdzie nawet próby.

Wreszcie, co tu dużo mówić! Zastanawiałem się nad tem dlatego tylko, że jedną znałem drogę i jeden obowiązek: widzisz złe, — staraj się mu zaradzić.

„Ja bo zapewne wiele nie znaczę, ale“... I tu mi znów na myśl przychodziła piękna winiетка „Postępu“, przedstawiająca wspaniały wieniec z kominiów fabrycznych, młotów, pił, oskardów, maszyn parowych, słupów telegraficznych i t. d. Wieniec zamykał u spodu skrzydlaty Merkury, trzymający wstęgę, na której znany wypisano wierszyk:

„Czyń każdy w swem kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży”.

Teorje dziennikarskie pozostawiały jednak po sobie słaby cień wątpliwości. Potrzeba było żywego słowa, by i tę niepewność rozprószyć.

Dokonał tego ojciec mego ucznia, pan Kwaśniewski.

Człowiek ten imponował mi niezmiernie i nakazywał dla siebie szacunek. Energiczny jako przemysłowiec, ruchliwy jako kupiec, na świat patrzący trzeźwo i biorący życie z realnej jego strony, — był wcieleniem tego, co z taką zażartością propagowały gazety. Sądzę, że gdyby rozmarzony młodzieniec spotkał się na Krakowskim Przedmieściu oko w oko z Longinusem lub Wołodyjowskim, nie byłby nimi bardziej uszczęśliwiony, niżli ja panem Kwaśniewskim.

Był to rycerz naszych legend.

W rozmowach ze mną wyrażał on nieraz swoją radość z tego, że między młodzieżą zdrowy duch teraz panuje.

— Bo to niegdyś każdy z nas pisywał obojętnie wiersze — opowiadał w dalszym ciągu rozmowy. — A gdy który rymu złożyć nie potrafił, dziwiliśmy się wszyscy jego prozaicznej duszy. Oho, panie kochany, głupie to były czasy, bardzo głupie! A szkoda chłopców. Pomarnowało to się, pozatracalo w życiu razem ze swemi wierszami.

Jeden pracuje naprzykład w mojem biurze. Urwanie głowy z tym człowiekiem! Co list w interesie napisze — poezja, sonet, co pan chcesz wreszcie, tylko nie interes. Ciemięga to, zlituj się Panie Boże nad nim. Mówię mu nieraz: „rzuć pan do licha ten

interes i księdzem bodaj zostać, bo już dalibóg nie wiem czym, to jedyny interes, gdzie poezja jeszcze popłaca“. Siedzi to jednakże u mnie i trzyma się rękoma i nogami. Bo co, pytam, będzie robił? A kto winien? Szkoła winna, poezja dziecięca, — to, żeśmy na życie patrzyli, jak na operę Mozarta, i to patrzyli, jak z paradyzu. A stamtąd, jak pan wiesz, wszystko najefektowniej wygląda, gdyż połowę się tylko widzi. Co? Nie?

Na ów temat rozprawialiśmy z nim prawie codziennie. Rozmowy te sprawiły, że pan Kwaśniewski poczuł do mnie zaufanie i wyrażał się bardzo pochlebnie o mojej osobie.

— O, to sprytny chłopak — mówił. — Co to za obrotny człowiek będzie.

Któregoś dnia zatrzymał mnie nawet na kolację, dodając, że chce mnie zapoznać bliżej z panną Heleną, również nauczycielką Kazia.

Zaprowadził mnie do salonu, poczęstował cygarem i pytał:

— Cóż, pan ciągle jeszcze w niezdecydowaniu? Masz pan rację. Co nagle, to po diable... Ale słyszałem, że któryś z pańskich kolegów na aktora się kieruje?

Podobno czuje powołanie — odparłem.

— Masz sobie!

— Ten bo miał zawsze przewrócone we łbie. A tacy najmniej pytają, jakich społeczeństwo pracowników potrzebuje.

— Otóż to! Jakich nam potrzeba pracowników? O, że nie aktorów, to pewno. Potrzeba raczej tych,

co u podwalin pracują, bogactwo krajowe... Ale pan to przecie rozumiesz?

Rozmowa urwała się. Przychodzi mi na myśl, że nie mógłbym lepiej trafić z prośbą o radę, niż zwracając się do pana Kwaśniewskiego. Nie czekając tedy długo, zacząłem:

— Kiedy mnie los z panem zetknął, to możeby mi pan nie odmówił rady i wskazówki.

— Ależ, czem tylko mogę — odpowiedział, kładąc rękę na sercu.

— Bo gdy tak zastanowię się nad sobą, dochodzę do przekonania, czy nie byłoby uczciwiej... to jest chciałem powiedzieć — rozsądniej, porzucić marzenia o politechnice, uniwersytecie i wziąć się teraz do ślusarstwa.

Pan Kwaśniewski aż podskoczył na krześle. Poklepał mnie po kolanie i zawołał z ożywieniem:

— Bardzo ładna myśl, bardzo szlachetna!

Począłem mu dokładniej rozwijać swe plany, co też on przyjmował z niezmiernem zadowoleniem.

— Takich nam ludzi potrzeba — mówił. — Uczonych i poetów mamy, chwala Bogu, aż za dużo, ale fachowców, panie, fachowców!... Dasz pan wiarę, że majstrów muszę sprowadzać z Anglii? Jak Boga kocham, z Anglii! Niechże mi który z tych, co tak u nas pięknie gadać potrafią, chociażby śrubkę zrobi. Głupstwo, — prawda? Ale niema, — no, niema u nas człowieka, coby śrubkę potrafił uczciwie zrobić. I nie wstydże nam? „Niemcy“, — wołamy, — „żydzi“! Pięknie — i ja Niemców nie lubię?... Ale pytam się: czemu się nasi do tego nie biorą?... My będziemy jednak filozofowali, rozprawy pisali, wier-

sze układali, a Niemcy tymczasem pocichutku, spokojnie i systematycznie swoje zrobią. Ja panu powiadam, że jeśli my się naprzód nie ruszymy, i to gwałtownie, jeśli nie puścimy w ruch wszystkich naszych kapitałów, to nas Niemcy zaleją w krótkim czasie. Co ja mówię zaleją? Połkną jak pigułkę.

— A co pan myślisz? — zakończył wyzywająco. — Połkną, mimo naszych filozofów i literatów.

— Nietylko idzie tu o kapitały, — odważyłem się wtrącić, — ile o zużytkowanie wszystkich sił.

— Tee!... — bąknął od niechcenia pan Kwaśniewski i wnet się zmytygował.

— No, sił także... Bez wątpienia. Młodych sił... Tak, tak!...

Potem, rozstawiając ręce, mówił, jakby ze smutkiem.

— Młodzież garnie się teraz do inżynierji, chemji i podobnych rzeczy. Ale i to będą pół-uczeni. I ci nie według mego gustu.

Wskazał szereg kominów, sterczących z poza odległych budynków, i zawołał:

— Oto szkoła dla młodzieży! Oto najlepsza politechnika, najszczytniejszy uniwersytet.

Drzwi się roztworzyły i weszła pani Kwaśniewska, prowadząc ze sobą pannę Helenę.

— A! — krzyknął pan Kwaśniewski, porywając się z miejsca. — Jużem się obawiał, że pani o nas zapomni. Pozwoli pani przedstawić mego młodego przyjaciela, pana Zaliwskiego... Zresztą państwo pewnie się już znacie?

— Z widzenia, — odparła panna Helena, podając mi przyjaźnie rękę.

Zaledwie że zdążyliśmy usiąść, a pan Kwaśniewski podjął znowu ulubiony temat:

— W paninie Helenie znajdziesz pan zwolenniczkę naszych zasad.

— O jakież tu idzie zasady? — zapytała.

Gościenny gospodarz nie szczędził mi pochwał, wtajemniczając pannę Helenę w moje zamiary. Ona słucha go uważnie, a gdy skończył, zwraca się do mnie:

— Mimo że widzę pana właściwie po raz pierwszy, muszę mu powiedzieć, że zaimponował mi pan tem od razu.

— Czyż tem można imponować? — pytam.

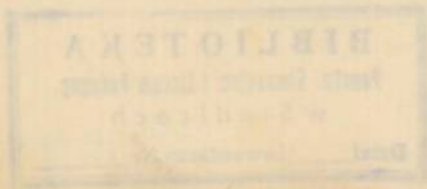
— Oj, można, i to bardzo. To imponuje tak, jak przykład po długiej, żmudnej i niezrozumiałej regule z gramatyki łacińskiej.

Gospodarz powstał z miejsca i ruchem ręki zaprosił nas do stołowego pokoju. Przy kolacji kulała trochę rozmowa, póki jej gospodarz nie wprowadził na tory doktryn postępowych. Dowodził on między innemi, że egoizm jest największą cnotą ludzi.

— Przykre są nieraz prawdy — mówił. — Ale fakt faktem pozostanie, że najlepsze rzeczy zawdzięczamy egoizmowi. Już tak się życie dziwnie splotło, że to, co nam zysk przynosi, oddziaływa z kolei na korzyść społeczeństwa.

Panna Helena zaprotestowała przeciw temu energicznie, a ja bezwiednie jej zawtórowałem. Pod naszym naciskiem zmiękł pan Kwaśniewski.

— No tak, — bąknął — bez wątpienia... Co tu zresztą długo rozprawiać! Niema wątpliwości, że



poczucie obowiązku to ważny bodziec. Rozumie się, rozumie się!...

Wnet jednak odzyskał pewność siebie i, ujawniwszy się pod boki, rzekł z miną uczonego:

— Na jedno się wszakże zgodzimy. Wziąwszy rzecz teoretycznie, ów instynkt, który ja nazywam egoizmem, a co państwo chrzycie mianem walki o byt, instynkt ten, mówię, zawsze ludzkiemi czynami kieruje. Teoretycznie jednak...

— Lub może państwo przypuszczacie wpływ Opatrzności? — dodał z uśmiechem.

— No tak — odpowiedziałem. — Teoretycznie, to stanowczo.

Panna Helena na wspomnienie Opatrzności odpowiedziała również uśmiechem.

— Teoretycznie, stanowczo! — powtórzyłem po raz drugi, uspokojony już w zupełności.

Byłem jeszcze szkolniakiem i na wyżynach teorii czułem się bardziej u siebie w domu. Mars zadumy był mi więcej do twarzy, niżli lekka wesołość. Swoboda panny Heleny pokonała jednak szybko moją szkolną niezaradność i stanęliśmy po godzinie rozmowy na stopie dobrych znajomych.

Późno w nocy pożegnaliśmy gospodarzy. Pan Kwaśniewski upewniał nas jeszcze w przedpokoju, że teraz śmiało w przyszłość spogląda, gdyż „młodzież jest obecnie na znakomitej drodze“.

— Ale, ale — wołał wnet — może państwo parasol wezmą? Bo zdaje się, że daszcz pada.

Panna Helena ujęła mnie pod rękę i szliśmy tak, milcząc, obok siebie. Widząc, że ja nie potrafię na-



wiązać rozmowy, zapytała, jak mi się podoba pan Kwaśniewski.

— Bardzo — odpowiedziałem.

— Nieprawdaż? Człowiek w tym wieku i z tak młodzieńczymi przekonaniem. — Ja bo pytam dlatego, że przyszło mi do głowy pewne porównanie. Mój ojciec jest cokolwiek podobny do pana Kwaśniewskiego. Ojciec mój jest rzemieślnikiem (nie wiem, czy panu wiadomo, że jestem córką ludu), jednakże jest on bardzo może zacofany, a przede wszystkim taki zamknięty w swej specjalności. Pan Kwaśniewski wszakże... Czem on jest właściwie?

— Wie pani, że ja nie jestem pewny. Zdaje się, że ma fabrykę wyrobów miedzianych.

— Bodaj że jest również akcjonariuszem kolei.

— Coś podobnego. Słyszałem nawet o cukrowni.

— Musi pan przyznać, że to wszechstronny człowiek.

— Zapewne.

Rozmowa urywa się i po chwili przechodzi na moją osobę. Panna Helena zapytuje, co mnie skłoniło do obrania sobie praktycznego zawodu.

— Jestem może zbyt poufałą? — dodała.

Ja odpowiadam ze sztywną powagą:

— Trzeźwy rozsądek, łaskawa pani.

— „Teoretycznie“, jak to pan powiedział panu Kwaśniewskiemu... a praktycznie?

Zapytaniu temu towarzyszy cudowny uśmiech, trochę ironiczny, lecz zarazem zachęcający do szczerości.

— Chcę być pożytecznym — odpowiedziałem prawie szeptem i powstydzilem się wnet tego.

Może to było złudzenie, a jednak zdaje mi się, że ręka jej drgnęła z lekka pod mem ramieniem.

Po chwili zapytuje mnie znów:

— Czy pan zna lud?

— Mało.

— Ale słyszał pan zapewne o jego sławnych przywarach: o pijaństwie, brudzie, lenistwie... Czy pan wierzy w przykład?... To jest chciałam zapytać, czy i to odegrywało rolę w pańskim postanowieniu?

— Zdaję sobie i z tego sprawę i uważam to za swój obowiązek — odpowiadam z namaszczeniem.

— To znów „teoretycznie“.

— Niedobra pani jest! Ja pragnąłbym tego z całej duszy.

Po krótkim milczeniu mówi jakby do siebie:

— Jestem bardzo ciekawa.

— Czego?

— Ot, przyszłości! Ale, otóż i mój dom. Nasza znajomość poszła łatwiej, niżem się tego spodziewała.

W bramie odwróciła się raz jeszcze ku mnie.

— Ale my będziemy rozmawiali ze sobą... tylko teoretycznie. Dobrze?

— Dobrze. O ile wogóle będziemy rozmawiali.

— Jak to? Wszak dajemy lekcje w jednym domu.

— Pani o której przychodzi?

— O piątej. W pół godziny po panu. A zatem...

— Do widzenia.

— Do widzenia.

— Z temi słowy znikła w bramie. Wracalem do domu w znakomitym humorze. Wstąpiła we mnie szczerą, niezachwianą wiarą w przyszłość. Zdaje się, że gdyby z za rogu ulicy wysunęła się straszna hydra, ta nieznana, olbrzymia, potężna, co szczęściu człowieka zawadza, oddałbym jej szyję bez wahania. Być może jednak, iż wprzód, nimby mnie pożarła, dowiodłbym jej, że zdrowy rozsądek i egoizm zmusza mnie do wsunięcia się w jej paszczę.

II.

Przy pierwszej sposobności poprosiłem panią Kwaśniewską, czy nie mogę przełożyć lekcji o pół godziny. Zgodziła się na to od razu, nie omijając wszakże wiecznego pytania:

— Czy Kazio dostanie promocję?

Odpowiedziałem, iż mam nadzieję. Z nierównie większą słuszością mógłbym wszakże powiedzieć, iż jej nie dostanie, gdyż Kazio był według mnie wyjątkowym osłem (panna Helena utrzymuje wprawdzie, iż jest on tylko nieuważnym chłopczykiem). — Niemало nas ten chłopak nagniewał. Wszystkie nasze usiłowania odbijały się, jak groch o ścianę, o twardą mózgownicę Kazia. Zdaje mi się, że cielę nauczyłbym już mnożenia po tylu trudach. I dziwna rzecz: wlaży w tę głowinę dwa działania arytmetyczne i tyle zajęły tam miejsca, że trzeciego wcisnąć ani sposób.

— Syn takiego ojca! — dziwiłem się nieraz.

— Kto wie — odpowiedziała kiedyś panna Helena. — Może to okaz przyszłych ludzi.

— Jak to pani rozumie? — zapytałem zdziwiony.

— Sama nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Miałam na myśli ludzi tejże pozycji społecznej,

co pan Kwaśniewski. On będzie tylko dalej prowadził to, co ojciec rozpoczął, a wszak do tego mniej sprytu potrzeba.

W każdym razie Kazio jest wyjątkowym osłem. To pewnik niezbity. Byłbym może dziś jeszcze porzucił takiego pupila, gdyby mi te korepetycje nie dawały sposobności widywania się z panną Heleną.

Lekcję przeciągałem umyślnie dopóty, dopóki ona nie przyszła. Wtedy zadawałem Kaziowi umyślnie jakie zadanie i w ten sposób zyskiwałem kilka minut. Stawałem we drzwiach, jak gdyby każdej chwili gotów do wyjścia, i rozpoczynałem rozmowę o wypadku dnia, o przeczytanej książce, o czymś podobnem. Nieraz wpadaliśmy na temat najnowszych doktryn naukowych i, łącąc wzajemnie urywkowe wiadomości, rozprawialiśmy z takim zapalem, żeśmy mogli zapomnieć o Kaziu, gdyby nie to, że chłopak ten co chwila przypominał nam swoją osobę.

— Sześć razy siedem? — wołał piskliwym głosem. — Proszę pana! — krzyczał w obawie, by mu te dwie cyfry nie wyfrunęły z głowy.

Panna Helena milkła wtedy i spoglądała wyczekująco na mnie, dając mi do zrozumienia, iż rzecz wchodzi w zakres mojej specjalności. Odpowiadałem Kaziowi opryskliwie, by w tejże chwili podjąć wątek rozmowy.

— Ż pana nieświatny pedagog — mówiła nieraz.

— Ach, ten chłopak stanął mi już kością w gardle.

— Więc czemu pan lekcji nie porzuci?

— Jeszcze tylko kilka tygodni. A wreszcie powiem pani szczerze... Wreszcie, po co to mówić?

— O, nieładnie. Zacząć i nie skończyć...

— Ja... dla mnie... Rozmowa z panią sprawia mi wielką przyjemność. Wszak mi pani tego za złe nie bierze?

— Odpowiedziałabym panu podobnie, gdyby... Gdyby nie to, że pora wziąć się do roboty — zakończyła z uśmiechem.

Z przedpokoju zawróciłem się pod słabym zresztą pretekstem.

— Chciałem panią zapytać, czy mam przynieść książkę, o której mówiliśmy?

— Proszę bardzo.

— Bo... tego...

— Co pan mówi?

— Przyniosę. O, napewno przyniosę.

— Uściśnieniem ręki pożegnaliśmy się po raz drugi tego dnia.

Pan Kwaśniewski sprawy mojej nie zasypiał: w kilka dni po naszej rozmowie wręczył mi list rekomendacyjny do fabryki „Borwicz, Schwineiger, Lafère i S-ka”.

— Zarządzającym — mówił — jest tam Walicki, ojciec panny Heleny. Człowiek bardzo zdolny w swoim fachu, trochę może przeszłością pachnie, a wreszcie sam pan zobaczysz. Nie jest on może w moim guście, ale trudno. W naszych czasach wybrednym być nie można. Lafère za to — ministerjalna głowa, powiadam panu.

Wiadomość, iż mam zostać uczniem jej ojca, wywarła na mnie silne wrażenie. Nie omieszkalem, rozumie się, podzielić się z nią tą nowiną.

Aż w ręce klasnęła i, jak gdyby zawstydzwszy się tego, dodała spokojnie:

— To będzie dobre... dla pana.

— I ja tak sędzę. O pani ojcu mówią wszędzie pochlebnie.

Nie mogła się wszakże przezwyciężyć i dodała:

— Będziemy mogli nieraz dłużej i spokojniej porozmawiać. Bo, przyznam się panu, że te rozmowy we framudze drzwi nie są najponętniejszą formą prowadzenia dysput.

— A przytem — wtrąciłem — nasz mały Herodek skrzeczy niemiłosiernie.

Roześmiała się serdecznie i pocałowała Kazia w czoło, czego zresztą nigdy nie czyniła.

— Bo też pan uprzedził się do niego.

W fabryce odebrał ode mnie list jakiś poważny jegomość. Podczas gdy czytał, rozmyślałem, który to ze spółników być może. Okazało się, że żaden z nich.

— Dyrektorów niema na razie. Przyjdź pan o... o piątej, powiedzmy.

O piątej dowiedziałem się, że to nie jest „godzina interesowa“ i że należy się zgłosić w południe. W południe pytano mnie zgryźliwie, czy nie zwykłem obiadów jadać. Dość, że dopiero na trzeci dzień udało mi się zastać dyrektora. Sądząc z jego tuszy i szerokiej twarzy bez zarostu, musiał to być pan Szwineiger.

— Czem jest pański ojciec? — zapytał, przeczytawszy mój list.

— Rodzice moi nie żyją.

Fachowiec.

629



- Rodzeństwo jest?
- Mam brata młodszego.
- Tee... widzi pan: gimnazjum filologiczne. Cemuś pan szkoły technicznej nie kończył?

Nic na to nie odpowiedziałem; zresztą i on nie czekał mojej odpowiedzi. Pochylił się nad tubą, umieszczoną przy biurku i krzyknął:

- Pana Walickiego do kantoru!

Poczem zwrócił się do szwajcara i wskazał na mnie ręką.

- Mechaniczne — na piętro.

Już miałem wyjść za szwajcarem, gdy w tejże chwili wpadł jakiś dziarski ruchliwy jegomość. Mruknął „dzień dobry“ Szwineigerowi, a spostrzegłszy mnie, zapytał szybko:

- A co to?

— Rekomendacja — odpowiedział leniwie Szwineiger, wyciągając ku niemu list.

Pan Borwicz (domyślał się przynajmniej, że on to był) przeczytał kartkę i zwrócił się do mnie:

- Więc pan z gimnazjum?

- Tak jest, proszę pana.

— A to wspaniałe! Ciekawy kawał... I pan do nas?

- Chciałbym się rzemiosła nauczyć.

Ten przyjął mnie owacyjnie. Wyraził swój zachwyt nad szczęśliwą myślą, która mnie „na tory najuczciwszej, bo najprodukcyjniejszej“ pracy popchnęła, i zakończył nadzieją, iż stanę się niezadługo dzielnym jego współpracownikiem.

— Ciekawy kawał! — wołał jeszcze, gdym odchodził ze szwajcarem.

Tego dnia było widocznie zbiegowisko dyrektorów, gdyż w sieni spotkaliśmy bardzo modnie ubranego jegomościa z krzywym grymasem na ustach. Rzucił on szwajcarowi palto i zatrzymał mnie zapytaniem, czego sobie życzę. Szwajcar wyręczył mnie w odpowiedzi. Jegomość spojrzał na mnie badawczo i pociągnął z lekka nosem, potem machnął ręką, dając nam do zrozumienia, byśmy poszli swoją drogą, sam zaś wszedł do biura z cylindrem w rękę.

Minęliśmy podwórze, przez wąską furtkę dostaliśmy się na olbrzymi czworobok, zamknięty z trzech stron olbrzymimi zabudowaniami.

— Tu, na pierwsze piętro — rzekł szwajcar, wskazując mi drogę.

Otworzyłem drzwi i, ogłuszony łoskotem, jaki się z wewnątrz dobywał, cofnąłem się na razie. Wydało mi się, iż ten łoskot pochodzi głównie z góry, gdzie u pułapu wirowała nieskończona ilość mniejszych i większych kół, osadzonych na osi tak długiej, jak pokój. Wnet jednak dochodzi przygłuszający huk, powtarza się miarowo, na czas jakiś milknie i wtedy rozlega się syk, rozdzierający uszy; we wtór wpada mu metaliczny dźwięk i echem rozbija się po sali. Na chwilę wszystko milknie, tylko koła u sufitu, obracając się wartko, mruczą zda się jakąś monotonną nutę. Lecz oto z końca sali słychać ciężkie, przytłumione westchnienie; dwa potężne ramiona wyciągają się powoli do góry: tam olbrzym jakiś ze snu się obudził i przeciąga się leniwie. Ramię podnosi zwolna coraz to wyżej, już sufitu sięga i, zda się, że la-da chwila w górę je wyrzuci; gdy wtem opuszcza je na dół z błyskawiczną szybkością, jak gdyby rzucał

się na upatrzoną ofiarę. Rozlega się trzask walącego się drzewa, kilka głuchych przeciągłych uderzeń, jak echo dalekiego gromu; tuż przede mną świsnęło coś przeraźliwie, przebiegło echem salę, by wpaść tam w ogólny chór, ten piekielny zamęt dźwięków, i wśród wycia, szumu i łoskotu zatrząść całym budynkiem.

— W głowie mi się zakręciło; już dźwięków nie odróżniam. Machinalnie wyciągam ręce przed siebie i natrafiam na zimny metal. Przestraszony, cofam je natychmiast i zdaje mi się, że słyszę śmiech wrzaskliwy za sobą. Oglądam się: to znów maszyna.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego tak gazety piszą, dlaczego tyle się o tem mówi, tyle stąd spodziewa: — tu potęga leży.

Powoli ucho się przyzwyczaiło do zgiełku i mogę rozejrzeć się naokoło. Maszyny ustawione były w trzech długich rzędach. Tuż pod ścianą coś w kształcie karykaturalnego, długiego łóżka — to heblarnia; tuż obok coś, co przypomina tłustą babę, która jakby brodą uderzała o płyty żelazne, pozostawiając po każdym uderzeniu okrągłą dziurę — to bormaszyna; dalej potwór jakiś upadł, zda się, na kolana, wypreżonemi rękami oparł się o ziemię i, łeb w tył przechyliwszy, rzyga gwoździemi; w kącie potężne ramiona — to dwa młoty parowe, gruchoczące zajadle czerwone żelazo, następnie cały szereg maszyn o jak najdziwaczniejszych formach, których znaczenia nie mogę się nawet domyślić.

Ludzi było tu sporo, spostrzegłem ich jednak dopiero pod koniec. Człowiek tu mała i nikt zupełnie. Można go było przeoczyć, jak się nie dostrzegało setek nitów i śrub na maszynach.

Dziwnie uderzyła mnie ponura powaga, nawet pewne skupienie, jakie malowało się na każdej prawie twarzy. Ludzi tych widywałem dawniej jedynie na Saskiej Kępie i Ujazdowie; stąd też wyniosłem przekonanie, że ludek nasz jest głupi, zdrow, a przedewszystkiem wesół. Tutaj byli to zupełnie inni ludzie.

— A, to pan? — zawolał ktoś rubasznie.

Przedemną stał wysoki, barczysty mężczyzna, o sumiastych wąsach i energicznej twarzy.

— Pan Walicki? — zapytałem.

— Aha. Chodź pan za mną.

Musiałem dobrze lawirować, by przejść między dwoma szeregami maszyn. Co chwila potykałem się o coś, lub też byłem potrącany przez którego z robotników. Gdyśmy przechodzili, niejeden podniósł oczy, spojrzał obojętnie i wnet wracał do roboty.

Znalazłem się w małym pokoiku, zawieszonym wszelkiego rodzaju próbami i narzędziami. Pod ścianą stała niewielka tokarnia, stół ze śrubsztakiem, koło do szlifowania i kilka przyrządów podręcznego warsztatu. Pod oknem olbrzymi stół, zarzucony rysunkami.

— Jak się pan nazywasz? — zaczął pan Walicki, siadając na krześle.

— Żaliwski.

— Proszę usiąść — mruknął, wskazując drugi stołek. — Co pan umiesz?

— Skończyłem gimnazjum.

— To niewiele.

Zmieszałem się trochę. Pan Walicki spostrzegł to widocznie, gdyż dodał wnet:

— Dla mnie może i za dużo, ale dla fabryki...

Kiwnął głową, wstał i poprowadził mnie do to-karni.

— Weź pan to — rzekł, podając mi sztamajkę.
— Schwycić pan, jakbyś pan chciał toczyć.

Domyślałem się zaledwie, jak taki instrument ująć należy, schwyciłem go zatem dosyć niezręcznie.

— Tee!... Dajno pan. Tak trzyma się sztamajkę.

Wyrwał mi ją z ręki, chwycił energicznie obu rękami, nogę naprzód wysunął i stanął w tej pozycji.

— O! — krzyknął, patrząc na mnie nie bez wyrzutu.

— Wreszcie na toś pan tu przyszedł, by się czegoś nauczyć — wtrącił na pocieszenie.

I, powróciwszy do stołu, począł mi wykladać porządki fabryczne.

— U nas, panie, jak w zegarze. O szóstej na miejscu, o siódmej precz! I ja tak muszę. Jeść, palić fajki lub papierosów nie można, gadać dużo — również. Stać i swoje robić. Taki u nas porządek. I to wszystko!

Podjął łokciowy ołówek i zaczął nim bazgrać po stole.

— Są podobno jakieś reguły fabryczne? — odważyłem się zapytać.

— Reguły... Te może, w kantorze? Pluń pan na to. Nigdy w życiu ich nie czytałem. Dziesięcioro przykazań pan znasz, słyszałeś, com mówił? Więcej nie potrzeba!

Ta obcesowość, z jaką przemawiał, ostudziła mnie cokolwiek. Chcąc zmienić ton, wtrąciłem po długim milczeoiu:

- Mam przyjemność znać pańską córkę.
- Helę? — zapytał, nie przestając rysować.
- Tak jest, pannę Helenę.
- Na obiad masz pan półtorej godziny paazy
- rzekł po chwili,

Zapytał jeszcze, ile mam lat i czy od jutra chcę rozpocząć; mówił, iż z początku nie płacić mi nie będą. Następnie wstał i spojrzał na zegarek:

- Toć już południe.

Jakby w odpowiedzi, rozległa się wrzaskliwie świstawka fabryczna.

- Pan gdzie mieszkasz?

- Na Pięknej.

- Pójdziemy razem — zdecydował, kładąc na siebie palto.

Z trudem przepchaliśmy się przez tłum, zalegający podwórze.

- Aa! — westchnąłem na ulicy, jakby mi ciężar jaki spadł z piersi.

Pan Walicki idzie milcząc. Od czasu do czasu przygląda mi się bacznie i chce widocznie coś powiedzieć.

- To pan znasz Helcię — zaczął wreszcie.

Słowa te były wypowiedziane już znacznie łagodniej. Czuć było w nich pewne niezdecydowanie.

- U państwa Kwaśniewskich — odpowiadam. — Daję tam również lekcje.

- Tak?

Po kilku minutach zapytuje niespodziewanie, zatrzymując się na ulicy.

- Prawda, jaka to dzielna dziewczyna?

Było to wprost niedopowiedziane.

Moje potakiwania sprawiają mu widocznie przyjemność, gdyż powtarza co chwila, uśmiechając się nieznacznie pod wąsem:

— Ba! gdybyś pan ją znał!

Spojrzałem na niego, też sama twarz, co przed chwilą w otoczeniu maszyn wydała mi się ponurą i surową, teraz robi wrażenie dobroduszości. Pierwsze lody zostały przełamane. Mówił mi jakiś czas o swej Helci, o tem, jaka to zbytnica była w dzieciństwie; a potem zwrócił rozmowę, bez żadnego przejścia, na stosunki fabryczne.

— Kto tam właściwie rządzi? — pytałem.

— Kto? W fabryce ja, niby, i wtrącać się im nie pozwalam, a w kantorze wszyscy trzej gospodarują. Borwicz jest głupi bez Szwineigera, Szwineiger bez Borwicza, obaj bez Francuza. Szwineiger prowadzi książki, rachunki, robi oszczędności, pisze listy, kontroluje kasę. Borwicz stara się o obstalunki, roboty rządowe i miejskie, staje do licytacji, wyprawia śniadania, gdy trzeba, jada tam, gdzie jeść wypada, upija się, gdy tego interes wymaga, utrzymuje stosunki z władzą, począwszy od rewirowego, a skończywszy na inspektorze fabrycznym: jednym słowem, reprezentuje firmę. Lafère ma najmniej do roboty. Wpada on raz na dzień do kantoru, wylizany, wyfioczony, z cylindrem w ręku, kłania się wszystkim i zasiada do stołu. Podają mu listy i on je dopiero klasyfikuje. Zdaje mi się, że ich nie czyta, tylko wacha. Otworzy kopertę, skrzywi się, pociągnie nosem i pisze czerwonym ołówkiem: „*Oui*“ albo „*Non*“. I nic więcej. Głowa Szwineigera w tem, by na te listy odpowiedzieć. Wspólnicy tak w to wierzą, że na za-

den list nie odpowiedzą, póki go Francuz nie powącha.

— Do fabryki się nie wtrącają? — przerwałem mu.

— Jeszcze czego!... Ale jest! A jakże, jest Anglik... to „spółka“ na końcu firmy. Niby technik, inżynier, a właściwie tylko pieniądze daje i dlatego siedzi w spółce. Przyjdzie nieraz do fabryki, chodzi od człowieka do człowieka, sztywny i milczący, jak muma. Nieraz chcę mu wytłumaczyć i mówię, że tu na przykład robimy motory gazowe. Patrzy na mnie wielkimi ślepiami, słucha cierpliwie, na końcu mruknie: „O yes, yes“ i wychodzi. Nic szelma pewno nie zrozumiał. I to się inżynierem nazywał!

— Wszystkie narodowości razem? — dziwię się.

— A pan myślisz, że u nas gdziekolwiek inaczej? Idź pan, zobacz.

— Żegnając mnie rubasznem uciśnięciem ręki, mówił:

— Nie bierz mi pan za złe, że jestem może mało gładki i polerowany, ale u nas w fabryce niema czasu na ceregiele.

Z odległości kilkudziesięciu kroków wołał na mnie, wymachując ręką:

— A obgadaj mnie pan tam przed Helcią!

Tego dnia poszedłem po raz ostatni na korepetycję do państwa Kwaśniewskich i na zakończenie wcisnąłem w główkę Kazia tabliczkę mnożenia.

No, jakże? — zapytuje z progu panna Helena.

— Jutro idę do fabryki.

Zdziwiła się zrazu, poczem schwyciła obie moje ręce i ścisnęła je silnie. Rumieniec na twarz jej wy-

stąpił, a w oczach łzy nawet zbłysły. Był to szczerzy, siostrzany uścisk.

— A ojciec mój jak się panu podoba?

— Jestem nim prawie zachwycony.

— Jak to dobrze! — zawołała z ożywieniem.

Oparła się o framugę drzwi i, przechyliwszy głowę, mówiła:

— Pan się pewnie dziwi, czemu ja się tak cieszę z pańskiego postanowienia. Ja tego nawet dobrze wytłumaczyć nie potrafię. Gdy czytywałam artykuły, o których pan nieraz wspominał, przejmowałam się nimi bardzo i złożywszy gazetę, szukałam na świecie podobnego obrazu. Żem go nie widziała, sam pan chyba wie. Byłam raz w fabryce i widziałam maszyny. Artykuły silnie były pisane, maszyny były potężne... Gdybym się nie wstydziła, powiedziałabym panu wiersz, który, zda się, najlepiej mnie wytłumaczy... Niech się pan nie śmieje.

— Panno Heleno, ja ani myślałem o śmiechu — zawołałem nie bez wzruszenia.

— Mniejsza o wiersz. Ja mam przecucie, że... że o panu będą kiedyś mówili. Jak to będzie i dlaczego, nie wiem, ale... Jeśli panu zależy cokolwiek na moich życzeniach, to...

Wyciągnęła obie ręce po raz drugi ku mnie.

— Czy pan wytrwa? — pyta szeptem.

— Pani wątpi?

— Nie, nie... Ja w to wierzę. Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli pan kiedyś zwątpi, jeśli przyjdą dla pana przykre chwile (a w życiu ich dużo), to niech pan wtedy do tych przyjdzie, co mu dobrze życzą.

Tu już nie wytrzymałem i pocałowałem ją w rękę. W tejże chwili uczułem na czole jej pocałunek.

— Ja wytrwam — mówię z trudem, gdyż w gardle więzną mi słowa. — Jak Boga kocham, wytrwam!...

Na to wszedł Kazio i położył koniec tej scenie.

Po drodze do domu wymarzyłem całe moje życie, tak brzemienne w pożyteczne i szlachetne czyny.

— A gdy mi wieniec sławy podadzą — marzę, a łzy kręcą mi się w oczach — wtedy powiem im, że nie ja, to ona... Hela sprawiła.

Jutro więc idę do fabryki.

Czyż mogę być niezdecydowanym? Czyż mogę zwlekać, gdy wszystko, w co wierzę, wszyscy, których szanuję i kocham w tamtą popychają mnie stronę, tam, a nie gdzieindziej iść każą? Tam czeka mnie praca, lecz i najśłodszy jej owoc: korzyść społeczna tam czeka mnie nawet osobiste szczęście.

Nie tylko, że gdy wiary nie starczy, siłą pokonywać będę, gdy wytrwania zbraknie — uporem się zmuszę.

Tak będzie, tak być musi!

— Przedewszystkiem jednak mówiłem, kładąc się do łóżka — chłodna rozwaga tak mi nakazuje.

III.

Nazajutrz wstępowałem z namaszczeniem w gościnne wrota fabryki.

— Oto najlepsza politechnika, najszczytniejszy uniwersytet — powtarzałem w myśli słowa pana Kwaśniewskiego.

Idąc za wskazówką Walickiego, zacząłem swe wykształcenie od toczenia. Na krążek żelazny wbitek klocek drzewa, przykręciłem do wystającej śruby, a zarzuciwszy sztamaję na boczne koło, schwyciłem ją oburącz i oparłem na podstawce. Ostrzę liznęło okrągłak, wióry posypały się z sykiem. Obracam moją sztamaję na wszystkie strony, chcąc nadać kłocowi formę kuli, przyciskam silniej, a z kłoca zamiast kuli pozostał długi cienki badył — chwila, i ten prysnął. Nie zrażony niepowodzeniem nabijam drugi klocek. Tym razem poszło jeszcze gorzej. Niewprawną ręką drgnęła i sztamajza pod klocek się dostała. Szybki obrót wyważył mi ją z ręki i cisnął w twarz: był to policzek od maszyny. I ten mnie nie zraził.

Niez mordowanie powtarzałem to samo przez cały dzień, aż wreszcie pod wieczór udało mi się uutoczyć coś, co z kształtów swoich przypominało kulę.

O szóstej zawołano mnie do kantoru i kazano pisać drukowany schemat, poczynający się od słów: „Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się“...

Wchodzi na to pan Borwicz i uderzając mnie po ramieniu, mówi dobroduszenie.

— Co będziesz pan to czytał? Głupstwa. Chłasnij pan pod spodem nazwisko i dosyć. Tam powiedziano, że obowiązujesz się pan stosować do przepisów fabrycznych. Dobrze to dla naszych warsztatowych kopciuszków, ale dla pana?...

Nie czytając wszystkich ośmiu punktów, położyłem swój podpis na końcu.

— A teraz — cedził pan Szwineiger — trzeba złożyć kaucję. I czego się dziwi? Każdy robotnik odpowiada pensją za uszkodzenia. Pensji tu nie będzie, a nam potrzebna gwarancja.

— Dajże pan spokój — krzyknął Borwicz. — Na co kaucja? Po co kaucja? Dla kogo kaucja?

— *Geschäftsmässig* — mruknął lakonicznie pan Szwineiger.

Zaczęli się klócić po niemiecku. Szwineiger obstawał przy swoim i nie wychodził ze swej flegmy. Pan Borwicz zaczerwienił się, zaperzył, wymachiwał ręką przed nosem współnika.

— Kiedy to sensu nie ma — wołał.

— *Geschäftsmässig* — powtórzył z flegmą Niemiec.

— A psia krew — zaklął Borwicz, i zwracając się do mnie, zapytał:

— Masz pan pieniądze? Bo z tym nie poradzisz. Oho!

— To zależy, ile?

— Pięćdziesiąt rubli — wtrącił z niezmaconym spokojem pan Szwineiger.

— Tyle będę miał.

— A no, musisz pan dać, bo mój kochany wspólnik...

I wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Wychodząc z fabryki, pomyślałem, iż panna Helena wraca o siódmej z lekcji.

Nie namyślając się tedy długo, pobiegłem na Marszałkowską ulicę. Los sprzyjał mi widocznie, gdyż na rogu Chmielnej spotkałem ją.

— A pan co tu robi? — zawołała ze zdziwieniem.

— Ja... ja mam... interes bardzo pilny.

— Zatem nie zatrzymuję pana.

Podawała mi rękę, nie domyślając się niczego. Ja zaś, rad nie rad, pożegnać się musiałem.

Przeleciałem oto pół miasta, zgrzałem się, jak pies, na to, by zadyszanym głosem powiedzieć, iż mam interes. Złość na własną niezręczność zasnąć mi nie dała. Na drugi dzień powtórzyłem wszakże próbę, a chcąc zapewnić sobie pomyślny skutek, postanowiłem co innego powiedzieć.

Przywitała mnie podobnem zdziwieniem. Odpowiedziałem jej, iż dopiero co załatwiłem interes. Poszedłem tedy razem z nią, opowiadając jej wrażenia z fabryki. Ją to widocznie interesowało, gdyż co chwila przerywała mi pytania.

— Ojca mego — mówiła — nudziłam, rozpytując o pana. Ale od niego, jak zwykle, niczego dowiedzieć się nie mogłam.

Wyjąłem z kieszeni utoczony klocek, by pokazać jej owoc całodziennej pracy.

— Cóż to jest? — zapytała, przyglądając się uważnie.

— Kula — odpowiedziałem trochę zmieszany.

— A co się z tego potem zrobi?

— Nic się nie zrobi — mruknąłem, już zupełnie zawstydzony.

— A, dla wprawy?

— Zaproponowałem jej przechadzkę i prowadziłem w kierunku alei Ujazdowskich.

Idę milcząc, gdyż nie mogę zapomnieć jej pytania. — „Co to jest?” — pytała na widok tej kuli, nad którą ja przez dwa dni się męczyłem. Dla mnie był ten niezdarny klocek najidealniejszą na świecie kulą. Wszak przyglądałem mu się tak długo, tak długo poprawiałem i czyściłem. Chciałem nawet wypolerować, tylko, że glaspapieru mi nie dali. I po tem wszystkim ona pyta, co to jest. — A spotyka mnie to po raz drugi. Wróciwszy wczoraj do domu, powiedziałem Michasiowi, iż mu piłkę przyniosłem. Chłopak rzucił mi się na szyję, a gdym z dumą mój klocek wyciągnął, skrzywił się i zawołał:

— Ee... taka piłka?...

Miałem ochotę wziąć go za uszy.

— Nie chcesz, to nie — odpowiedziałem lekceważąco; a jednak przykro mi to było.

— Zrobię prezent pannie Helenie — pomyślałem, i z tą myślą nosiłem się cały dzień.

Aż tu spotyka mnie po raz drugi to samo... Cóż to jest?” — pyta. — Nie, albo ja mam krzywe oczy, albo... już sam nie wiem co.

— Wie pani, co mi teraz przyszło do głowy?
— zacząłem pod wpływem tych myśli. — Wszak do
wszystkiego potrzeba pono zdolności? A ja?...

Tu spojrzałem na kulę, którą panna Helena trzy-
mała w ręku, i zaczerwieniłem się po same uszy.

— Jesteś pan dzieciak, niezdolny dzieciak! —
zawołała, zatrzymując się na ulicy.

— Dzieciak...

— Proszę nic nie mówić, ani słowa. Bo się po-
gniewamy. Niezdolny!

Pociągnęła mnie na pierwszą ławkę z brzegu.

— Teraz ja panu reprimendę powiem — mówi-
ła, siadając koło mnie. — Niech mi pan w oczy spoj-
rzy... I panu nie wstyd? Po pierwszym dniu, po kilku
godzinach?

Zacząłem się usprawiedliwiać, iż to jej milcze-
nie nasunęło mi te myśli. Panna Helena wybuchnęła
serdecznym śmiechem.

— Tak pan to sobie tłumaczy? A ja byłem w tej
chwili egoistką i myślałam o sobie. Ten klocek oto
przedstawia jakąś wartość, coś pozytywnego: jest do-
tykalnym owocem pracy. A ja co robię? Chwilami
wydaje mi się, że moje nauczycielstwo jest tylko do-
brze odegraną komedią, że chodzę na lekcje jedynie
po to, by pierwszego pensję otrzymać, że jestem do-
brze nakręconym zegarem, który kołaczy ciągle, bo
go w szkole nakręcono. Nieraz, gdy obejrzę się za
skutkami mej pracy, nie widzę ich nigdzie. I to do
rozpaczy mnie doprowadza. Wtedy uważam siebie
i zajęcia swoje za nieużyteczny i zbytkowny dodatek
do książkowego abecadła. O, wołałabym stokroć ta-

kie oto klocki toczyć, byle móc powiedzieć: „to ja zrobiłam“, bym mogła widzieć to, czuć, dotykać...

— Pan się pewno dziwi mej szczerości? — dodała wkońcu i tak się zamyśliła, że nie słyszała nawet moich słów.

Po chwili, jak gdyby ze snu się budząc, zawołała:

— Wie pan, zeszłego roku wybierałam się na uniwersytet do Szwajcarii. Skończyło się to rozumie się na niczem: ojciec słyszeć nawet nie chciał. Wtedy myślałam zostać akuszerką.

— Aku...? — przerwałem zdziwiony, nie mogąc nawet dokończyć zdania.

— Pan się dziwi? A gdzież się podziały zasady? I ja chciałam coś robić, a nie udawać, że pracuję. Lecz i o tem ojciec słyszeć nie chciał. Potem myślałam o koszykarstwie... Ale ja pana zanudzę tą spowiedzią... Dziś jestem nauczycielką i chyba tem zostanę.

Pokonany jej szczerością, wpadłem bezwiednie na tory dla mnie nowe: zacząłem myśleć o swej przeszłości, niezbyt bogatej w miłe wspomnienia. Zarażony otwartością, uczułem potrzebę uzalenia się na niejedno niepowodzenie minionych lat. Ona mówiła jeszcze coś o sobie, mówiła smutnym, prawie łzawym głosem. Ja wszakże nie słyszałem ostatnich słów. Ogarnęła mnie egoistyczna chęć wypowiedzania się; potrzebowałem otworzyć całą duszę, opowiedzieć wszystkie marzenia, myśli i pragnienia, krwjące się pod sztuczną powłoką rozsądku.

I polalała się struga wymowy, którą tak łatwo znajduje się w takich chwilach.

O czym wtedy mówiłem, nie pamiętam, wiem tylko, że długo mówił. Północ biła na wieżowych zegarach, gdyśmy wstali z miejsca.

— Pani — mówiłem — najlepiej określiła, czego ja się od przyszłości spodziewam, że w przyszłości coś się stanie, że ja się wybiję, że... Albo ja wiem wreszcie, jak to będzie. Wierzę, że obrał uczciwą drogę, i wierzę w to, iż kiedyś dojdę do celu.

Bezwiednie zadałem sobie pytanie: „dokąd?” a nie znalazłszy lepszej odpowiedzi, powtórzyłem po raz drugi:

— Do celu.

Weszliśmy na Nowy-Świat. Panna Helena ujęła mnie pod rękę, a ja wtedy dopiero spostrzegłem, że jestem w bluzie i że niosę blaszankę do wody w lewej ręce. I ona to zauważyła, gdyż zwróciła się do mnie z zapytaniem:

— Widzi pan, jak się ludzie na nas patrzą?

I rzeczywiście dziwną stanowiliśmy parę. Ja w bluzie i z blaszanką robotniczą, ona w zgrabnem futerku, w modnym kapeluszu i w rękawiczkach. Zauważyłem, jak mijając dwóch studentów, którzy arogancko patrzyli się nam w oczy, przycisnęła się silniej do mego ramienia i dumnie na nich spojrzała.

— Jakaż ona dobra — pomyślałem.

A jednak, gdy pierwsze wrażenie minęło, powróciłem myślą do jej słów:

Akuszerka? Fe!...

Ja bo przedstawiałem sobie akuszerki, jako stare, tłuste, niezgrabne babska, a już panny Heleny w żaden sposób tak sobie wyobrazić nie mogę.

— Chociaż — tłumaczyłem sobie — trzeba być konsekwentnym i nie odpychać rzeczy, które wzięwszy pod zimną rozważę...

Niech to będzie wreszcie i największe głupstwo, niechaj będzie nawet idealizacją, ja jednak nie potrafię o tem myśleć spokojnie. Pannie Helenie nie powiem, rozumie się, tego: gotowa mnie wziąć za zacofańca.

Bo, oczywiście, jestem wstrętnym zacofańcem Zastanowiwszy się dobrze...

Długom to przeżuwał.

Wszedłem w nadzwyczaj ruchliwe, czynne życie. Praca w fabryce nie tylko że mnie zajmuje, ale wprost pochłania całą moją uwagę, wszystkie myśli i pragnienia na drugi plan usuwa. Nie jest to może robota porywająca, — owo toczenie klocków i nadawanie im najdziwniejszych form.

Ale to początek — pocieszam siebie. — Jestem na drodze, a to bardzo wiele znaczy.

Bywa nieraz, że słońce figla mi spleta, i zajrzawszy przez zakopcone szyby uśmiechnie się do mnie tak ponętnie, że bezwiednie przestaję. Opieram się na śrubsztaku i błędę oczyma po Wiśle, którą tak znakomicie widać z mego okna. Patrzę na barki, snujące się leniwie po wodzie, na łodzie rybackie, na tratwy, które, zda się, ugrzęzły na środku rzeki; wodzę oczami po piaszczystym wybrzeżu Saskiej Kępy i gubię spojrzenie na tem rozległem morzu pól, co się aż hen, pod Grochowem, Kałuszy-nem i Wawrem krętą linią lasów odgradza. Póki jeszcze słońce równo krajobraz ten oświeca, mozaiką barwi brudną wodę Wisły, złoci piaski wybrzeża,

czerwieni krzywe wierzby i ożywia odległe pola, — póty z uśmiechem jeno patrzę i odczuwam niewyraźne zadowolenie. Lecz skoro chmury cień na rzekę rzucą, mgłą otoczą przeciwne wybrzeża, szarą barwą pola pokryją, by gdzieś tam w kącie, pod kałużyńskim lasem wybrawszy osadę, cisnąć na nią promień złotego światła i podwójne w niej życie obudzić, ze wspaniałą wypukłością zarysować każdą chałupę, każdą ścieżkę, każdy zagon prawie — wtedy porywa coś człowieka i w tę kąpiel słoneczną unieść-by chciał. To już nie uśmiech zadowolenia, ale dziwna, nieokreślona tęsknota.

— Tak to się pracuje? — budzi mnie z zadumy jakiś suchy, rozkazujący głos.

To pan Walicki przypomina mi obowiązek. Przestroga wywołuje mi rumieniec na twarz: wstydzę się przed sobą i przed nim za to marzycielstwo. Z podwójnym impetem zabieram się do toczenia i po chwili topię duszę w tem zajęciu. Już mnie teraz słońce nie oderwie. A jeśli czasem, tak ot — niechący (tylko niechący) wzrok od kłosa oderwę i spojrzę na pole, uczuwam wtedy dumę, żem siebie zdołał pokonać.

Niechaj tam będzie jak najpiękniej — ja tu zostanę. A tam słońca widoki, chętki spacerów leniuchom zostawię. Ja bo jestem człowiekiem pracy.

Dzień spędzam przy tokarni, wieczorami pomagam bratu w szkolnych zajęciach, noce zaś przepędzam nad książką. A wszystko robię z taką ochotą, z takim życiem i werwą, iż niejeden mi tego zazdrości. Bywało, spotka mnie kto na mieście, a z daleka już spieszny mój krok naśladuje i tak niby, pół

żartem, pół serjo, chwyta mnie w objęcia. W uścisku tym, mimo życzliwości, jest i mały, bardzo mały cień zazdrości. Gdy mnie taki zbiedzony i znudzony studencik uściska, to w jego sennych oczach czytam ukrytą myśl: „Jakżebym ja chciał być takim“.

Dusza rwała mi się wówczas do życia, do pracy. Nie było obowiązku, nie było polecenia, od którego bym się uchylił. Sądzę, że gdyby mi kto kazał ciężar stofuntowy przenieść na drugi koniec miasta, podjąłbym się tego z przyjemnością, chociażby na to, by pokazać, iż dwieście funtów udźwignę. A co najważniejsza, praca darzyła mnie szczerem zadowoleniem, dawała nawet szczęście. Czulem, iż żyję i żyć pragnę.

Nieraz zasiedzę się nad książką do północks i nie rozbierając się, upadam na łóżko, by za pięć godzin porwać się i biec do fabryki. Inni z przekleństwem opuszczają wtedy ciepłą pościel — ja potrafiłem zachwycać się jeszcze porankiem. I dziś jeszcze pamiętam, jak silne wrażenie czyniła na mnie ranna godzina. Komu się bodaj raz zdarzy wyjść w pogodny świt na ulicę, zanim miasto ze snu ciężkiego się obudzi, ten nie zapomni tego wrażenia. Jest to coś, co wymyka się wszelkiemu określeniu: jakby fragment bajki, zasłyszanej w dzieciństwie, mętne, niewyraźne przeczucie czegoś, szczypta obawy, która jednak mile łechcze człowieka. Latarnie palą się jeszcze na pustej ulicy. Nie wiem czemu, ale to światło za dnia gromnicę mi przypomina. Naokoło ani żywej duszy: najlżejszego szmeru ucho nie pochwyci. Sklepy i bramy domów szczelnie pozamykane, a ulica świeci grobową pustką. Ponura, pogrze-

bowa cisza, potęguje wrażenie, pobudza zmysły i mistyczne wywołuje obrazy.

Usłyszawszy czyjeś kroki, zatrzymuję się bezwiednie i słucham: to echo moje kroki odbija. Wreszcie na zakręcie ulicy spotykam człowieka. „Dzień dobry“, jakim pozdrawiamy się wzajemnie, brzmi wyjątkowo ciepło i życzliwie: ranna godzina tę życzliwość rodzi. Uszedłszy kilka kroków, odwracam głowę i spotykam jego wejrzenie. Zaciekawiliśmy się nawzajem. Przez małą, bardzo małą chwilkę mam złudzenie, iż nieznajomy wróci się ku mnie i opowie szeptem o... o czym, sam tego nie wiem. O jakimś zdarzeniu wyjątkowym, o cudzie niesłychanym. Gdyż tej nocy zdarzyć się coś musiało — głucha tajemnicza cisza mówi mi o tem. Miasto jakoś dziwnie, bardzo dziwnie wygląda.

Idę dalej, — złudzenie pierzcha. Spotykam grupy robotników, baby spieszące na targ, wóz skrzypiąc toczy się przez ulicę, pies zdala zaszczeka: tu życie się budzi. Widzę już kominy fabryczne, a nad każdym z nich słup ciemnego dymu. I, dziwna rzecz, dym ten nie rozbija się w kłęby, nie faluje, nie stacza się na dół, lecz jak strzelił do góry, tak zawisł i stęzał nad kominem.

Hen, zdala dochodzi echo świstawki fabrycznej i w czystem powietrzu roznosi się szeroką, przeciągłą nutą. Wreszcie rozległy się miarowe uderzenia dzwonu. Echo biegnie wdał, wpada do sąsiedniej fabryki, zda się — rozbudziło i drugi dzwon; połączyło się z nim w zgodną nutę i biegnąc z podwórza na podwórze, z fabryki do fabryki, rozkołysało wszystkie dzwony i zlało się z niemi w jeden potężny chór:

— Do ro-boty! Do ro-bo-ty!

Obrazy i marzenia pierzchają. I jak tu ta maszyna, co pod głos dzwonka w ruch puszczona zostaje, tak i ja krok mimowolnie przyspieszam. Chwila — i już także jestem w ruchu.

Szybko zbiega mi czas do wieczora. Ledwo świst przebrzmi i wołania „Feierabend“ mu zawtórują, a już jestem na dworze i biegnę spiesźnie do domu. Tu spotyka mnie Michaś, opowiada swe biedy szkolne, poczem zabieramy się do rozwiązywania zadań arytmetycznych. Skończywszy z nim, chwytam książkę, by z nią do późnej nocy przesiedzieć.

A mam tych książek dosyć. Studenci i moi znajomi wzięli mnie widocznie w opiekę, gdyż dostarczają mi więcej, niż mogę przeczytać. Nieraz, gdy mi w fabryce pójdzie dobrze, postanawiam zrobić sobie uciechę, „fraidę“, i wstępuję do antykwariusza po targować się o książkę. Często „fraidę“ moja kończy się tylko targowaniem. Wtedy rozważam po całych dniach, czy pozwolić sobie na ten wydatek. Gdy zaś toczenie nie dopisze, karzę siebie surowo i książki nie kupuję.

Zdarza się też, iż rozrzewnię się nad swym talentem ślusarskim i płacę całe dwa ruble za książkę, nie targując się wcale.

Gdy tak siedzę w nocy przy lampce, skulę się, zatknę uszy i w czytuję się zapamiętałe w „Historję cywilizacji“ Buckle'a, wtedy jest mi tak dobrze, że niczego więcej nie pragnę. Chwilami nawet myślę, że lepiej niż... Ot, lepiej, nie lepiej, ale tak samo, jak w fabryce. Czasami tylko, gdy do łóżka się położę, pomyślę, że cały dzień trzeba przeczekać,

zanim będę mógł dalej czytać. Wtedy karcę siebie wyrzutami:

— Oj, Kaziu, Kaziu, źle się z tobą dzieje! Na mola książkowego przecież się nie urodziłeś. Tem właśnie wyżej od innych stoisz, że jesteś człowiekiem pracy.

I dumny ze swej wyższości, zwijam się w kołdrę. Drzę nawet z niewytłumaczonego zadowolenia. Jakież ja wtedy szczęśliwy jestem!

Nocna praca przynosi również swoje owoce. Wiedza, jaką dorywczo czerpałem z książek i pism tygodniowych, była niestety wiedzą urywkową, nieraz nawet anegdotyczną, była jednak nie gorszą od dyletantyzmu młodzieży, która te rzeczy jako fach swój uważa. Bodaj że pod tym względem przewyższałem niejednego studencika. Przynajmniej gdy doszło do dysputy, potrafiłem swych poglądów bronić. Oni przyjmowali to z początku na pół protekcyjnie, czasem z uśmiechem, nieraz nawet opryskliwie. Wkońcu wszakże ulegli i, jakby na wytłumaczenie siebie, mawiali o mnie:

— O, to bardzo zdolny człowiek.

W niedzielę schodzę się z kolegami, zawieram nowe znajomości i zaczynam powoli wyrabiać sobie stosunki w świecie. Nie wiem, czy sobie, czy też swemu stanowisku mam zawdzięczać, że w niektórych kołach stałem się poważną figurą. Gdym mówił, słuchano mnie z uwagą; gdym milczał, zapytywano o zdanie. Zauważyłem nawet, że kilku młodzieńców stara się pozyskać moje względy. A poczucie wyższości w towarzystwie obudza wiele cnót, które sobie zwykle spokojnie drzemią. Pozbyłem się mej niezaradno-

ści; zaczynam wyrażać się energicznie, nabyłem tego, co się dowcipem nazywa. Tak przynajmniej mówią o mnie.

Nieraz w kółku dawnych znajomych zapalimy się tak dalece w sprzeczce, że zbaczamy z gościńca teorii i wchodzimy na kręte ścieżki osobistych docinków. Ja potrafiłem wtedy znakomicie środek utrzymać. W oderwane rozumowanie wpłatałem przykład dotkliwy dla mego oponenta; w nawiasach rzucałem nieraz szpilkę tym, którym żółć rozsądek zalewała.

— Jaki pan złośliwy — mówiły panienki, uśmiechając się i mrużąc oczy.

Te uśmiechy, rzecz jasna, zachęcały mnie tylko

Aczkolwiek to nie pochlebne dla takiego bohatera, jakim wtedy byłem, przyznać wszakże muszę, że obecność kobiet przy tych dysputach sprawiała mi pewne zadowolenie, a zwłaszcza obecność panny Heleny.

Miało to jednak głębsze powody ponad zwykłą żakowską zarozumiałość, było skutkiem pewnej wątpliwości, którą kołatanie maszyny napędziło mi kiedyś do głowy:

— A nuż ona?...

Myśl głupia, więc też sformułować jej nie potrafię. Pannę Helenę widuję obecnie rzadko, natomiast ojca jej oglądam przez cały dzień. Dziwnie opryskliwy jest on w fabryce. Człowiek ten ma aż dwa usposobienia, które mieniają się kolejno na progu fabrycznym. Niekiedy humor fabryczny wyniesie poza próg, do swego domu, jak mi to mówiła panna Helena. Odwrotnie jednak nigdy nie bywa. Uważa on za

obowiązek być opryskliwym w fabryce, a zły humor — za niezbędny atrybut swego stanowiska.

— Ja panu każę okno deską zabić — krzyczy na mnie nieraz. — I co pan tam widzisz? Wrony na Wiśle?

Najczęściej stanie nade mną, popatrzy i nie rzekłszy ani słowa, idzie dalej.

Pewnego razu spostrzegłem, iż mój towarzysz po prawej ręce robi części do klucza elektrycznego systemu „Walicki“. Zaciekawilo mnie to i przy pierwszej sposobności zagadnąłem starego o ten klucz.

— A no mój, niby — odparł.

Podobało mu się widocznie moje zainteresowanie, gdyż zatrzymał się i zwrócił moją uwagę na to, że należy „bardziej z dołu brać“ przy toczeniu, a nawet pomógł mi w obrobieniu trudniejszego deseni.

— Jak to? więc pan to zrobił? — pytam dalej.

— Klucz niby? Pana to interesuje? No, to chodź pan! Wytłumaczę.

— Złożyłem narzędzia i chciałem już iść za nim.

— Tak pan zostawiasz maszynę! — huknął. — A tyle razy mówiłem: zrzucić pas.

I mrucząc pod nosem, poszedł za mną. Rozłożył na stole rysunki i zaczął objaśnienie temi słowy:

— Jak można zostawiać tak maszynę?... Tu, widzisz pan, jest zwój. Rozumiesz pan, co zwój znaczy? Przecież się par fizyki uczył... Zaraz panu model pokażę.

Sięgnął do szafki i wyjął zeń dosyć złożoną maszynkę.

— Jak się tam nieszczęście przytrafi — mówił — będziesz pan odpowiadał.

Nie od razu zorientowałem się w tem, że słowa te dotyczą nietylko klucza elektrycznego, ile mego przewinienia.

Tak też objaśniał rzecz całą. Co kilka zdań wtrącał wymówkę za niezrzucenie pasa z maszyny i wracał natychmiast do swego wynalazku.

— Rozumiesz pan? — zapytał skończywszy. — Pewno nie?

— Na co jest ten haczyk? — pytałem, szczerze zainteresowany.

— Otóż to...

Powtórzył objaśnienie, pomagając sobie żywą gestykulacją.

— A teraz? — mówił, — powtórz pan.

— Kiedy nie tak — przerwał mi z samego początku.

Nieprędko zadowolili się moją odpowiedzią.

— Chwała Bogu — zawołał wreszcie. — Przecież. A uczą was, uczą. I co z tego, pytam się? Nas, panie, inaczej uczono. Odzie teraz!

— I dużo się tego rozchodzi? — zapytałem chcąc przerwać te uwagi, które bądź co bądź, nie były przyjemne.

— Tysiącami.

— To pan masz poza własnem zadowoleniem i duży dochód z tego.

— Ja? Gratyfikację dostałem. O resztę pytaj pan kasy.

— Czyżby?...

— Panie kochany! Co tu wiele gadać. Ot, weźmy się do roboty. Ja sobie z tego niewiele robię.

— Dnia tego podchodził ku mnie kilka razy,

jakby szukając sposobu okazania mi swej przychylności. Nie potrafił jednak nic innego wymyślić ponad przeciągle, mruśliwe: „no, no!” Brzmiało to zachęcająco i miało być pochwałą. Robił wysiłek, by zachować konsekwentnie aż do wieczora swój zły humor. Zaczepiał robotników i wymyślał im za nieporządek niewiadomo jaki, za partactwo i fuszerkę, do których nikt się nie poczuwał.

— E, panie Walicki! — bronił się z początku nagabnięty. Potem machnął ręką i wysłuchiwał spokojnie kazania.

Zresztą wymówki te nie były zbyt surowe. Gdyby kto nie widział marsa na twarzy pana Walickiego i z daleka tylko przysłuchiwał się tej rozmowie, gotówby pomyśleć, że drażni się tu dwóch przyjaciół.

Nie znajdując pod ręką nic, coby mogło dać powód do zrządzenia, zwrócił się do pierwszego z brzegu.

— Jąbym was wszystkich ojcu świętemu odesłał.

— Wszystko dobrze, panie Walicki, ale obrażać się nie pozwolę — zachnął się robotnik.

— Już! już się obraził. Djabłu świętego wspomnieć, zaraz dęba stanie.

— Tym razem natrafił na Stasiaka, człeka, który w kaszę płuć sobie nie pozwoli, jak mówili o nim w warsztacie. Stasiak położył narzędzie, ujął się pod boki i zawołał głośno, by go wszyscy słyszeli:

— Po pierwsze, panie Walicki, ja nie jestem djabłem; po drugie, panie Walicki, papież nie jest świętym, przynajmniej dla mnie; po trzecie, panie Walicki, mam pilną robotę i czasu na mitręgę nie mam. O!...

Wykrzyknik „o“ dodany był widocznie dla zaakcentowania dowcipu, gdyż sąsiad Stasiaka pochwycił to tylko i mruknął znacząco pod nosem:

— O!

Brakowało jeszcze kilku minut do dzwonka, gdy pan Walicki zawołał na mnie:

— Bierz pan czapkę, pójdziemy razem.

Sprowadził mnie krętymi schodami na dół i przez skład stolarski na znane mi podwórze.

— Chcesz pan zobaczyć maszynę? — zapytał.

I, nie czekając odpowiedzi, zawiódł mnie do budynku, położonego na końcu fabryki. Aczkolwiek nie byłem już nowicjuszem i do maszyn przywykłem, jak woźnica do swych koni, wszakże to, com zobaczył, zaimponowało mi znowu.

Był to król wszystkich żelaznych olbrzymów. Kolos ten miał w boku koło wysokie na kilka metrów. Dolna część tego koła tonęła w murowanym rowie, gdy wierzchnia sufitu prawie sięgała. „Maszyna“ (gdyż ona tylko to miano tu otrzymuje) błyszczała miejscami, jakby dla odznaczenia swej rangi, gładko polerowanym mosiądzem. Wsuwała ona swe tłoki w cylindry i sapiąc, wyciągała je za chwilę. Robiła to jednak z dumą i spokojem, jak na majestat przystało. Nie było tu tego pisku i syku, z jakim obracają się chamskie maszyny warsztatowe. To nie ogłuszało krzykliwą siłą, lecz pokonywało statecznością.

Czystość, jaka tu panowała, stanowiła rażący kontrast z całą fabryką. Posadzka wyłożona w majolikowe desenie, ściany malowane olejno, sufit szklany, wreszcie barjera naokoło motoru o mosiężnych prętach i takichże gałkach na żelaznych słupkach, —

wszystko to nadawało sali pewną dystynkcję. Wszedłszy tutaj, zdjąłem czapkę. Był to ruch mimowolny, a jednak prawiebym ręczył, że każdy, kogobym naprzód po fabryce oprowadził, a potem tu przywiódł, uczyniłby to samo. Maszyna była przytem jakby pieśzcotliwą utrzymywana ręką. Żadne kosztowne cacko pod szklanym kloszem tak nie wygląda. W każdej szrubce można się było przejrzeć, jak w lustrze.

— Andrzej, — zawołał pan Walicki, wychylając się za barierę.

— A co?

— Przyszliśmy was odwiedzić.

Z dołu wyrzała jakaś kędzierzawa głowa.

— Dzień dobry. A ma pan co dla mnie?

Pan Walicki zdjął czapkę i wyjął z za podszewki papieros. Była to kontrabanda fabryczna.

— Panie Boże zapłać. A to nowy? — pytał, wskazując na mnie.

— Praktykant.

— Fiu, fiu! ze szkoły?

— Aha.

Przyjrzał mi się uważnie i domyślając się, iż przyszedłem tu nietyle dla niego, ile dla maszyny, uznał za stosowne wytłumaczyć mi:

— Szybrowa — mruknął, — wskazując na tłoki.

Pan Walicki, kierując się głębokiem przekonaniem, że ja nic nie umiem, jął mi objaśniać konstrukcję motoru. Gdy doszedł do koła rozpedowego, przerwał mu Andrzej:

— Gdyby nie — mówił gestykulując obrazowo

— tłok wlaźłby w kąt... prr!-stój-halt! Na to jest kolo rozpędowe.

Po tej lekcji umilkliśmy obaj, spoglądając nie bez zadowolenia na maszynę.

— A co, panie Walicki, glans jest?

— Jest — zdecydował stanowczo Walicki i odjął natychmiast rękę od barjery, jakby zawstydzony tem, że chwycił za pręt spotniałą i brudną dłońią.

Obejrzałem się i ja naokoło siebie.

— Jezusie! — krzyknął w tejże chwili Andrzej.

— Tożeście mnie błota na podłogę nanieśli. E..., takie goście...

Tutaj ja okazałem się winnym, gdyż nie wytarłem dostatecznie nóg, wchodząc do tej świątyni. Pan Walicki pochwycił natychmiast okazję zrzęczenia, czem spotęgował jeszcze mój wstyd.

— Ot, dałbyś pan pokój — zawołałem.

A zwracając się do Andrzeja, mówiłem jak najłagodniej.

— Niech pan wybaczy. Ja bo jestem tu zupełnie nowym i...

— Pan? Gdzie tu pan? Kto jest pan? — wołał, oglądając się niby na wszystkie strony.

Wiem i to było nie na miejscu.

— Nie macie się czego gniewać — powtórzyłem inaczej i podałem mu rękę.

Ta czułość zdziwiła go niepomiernie. Podał mi dłoń, otarłszy ją wprzód o spodnie.

— No, niech już! Teraz wytrę, jeno inny raz niech kopyta wyciera.

Pan Walicki rzucił na mnie surowe spojrzenie za to, iż przerwałem mu potok wymowy. Andrzej

zabrał się tymczasem do odstawiania warsztatów. Przycisnął guzik elektrycznego dzwonka, mruczając pod nosem:

— Pierwszy.

— Drugi — powtórzył po chwili, przyciskając następny guzik.

I niebawem zaklął siarczyście.

— A psia... W trzecim usłyszeli.

— Spiesz się bydłom — pomagał mu pan Walicki.

Zrazu nie zrozumiałem, o co idzie, wnet jednak spostrzegłem, jak maszyna zbyt szybko pozbawiona swego ciężaru, przeszła w galop, niby koń zerwany. Koło rozpedowe zahuczało w szybkim obrocie i zatrzęsało całym budynkiem.

— Bydło! — przeklinał precz Andrzej.

Przeczekał, zanim ruch się nie ustakuje i odstawił resztę warsztatów. Poczem dał przeraźliwy, nieustający „świsstek“ i zaczął zatrzymywać maszynę.

Olbrzymie koło obracało się coraz powolniej; szprychy, które przedtem migotały mi przed oczyma, zaczęły się powoli zarysowywać. Zatrzymało się na chwilę, raz jeszcze podrzuciło się do góry i nie dobiegłszy całego obrotu, zważyło się z powrotem, położyło się na osi i stanęło.

— Skończone!

Wyszliśmy na ulicę razem z Andrzejem. Walicki zapomniał po drodze o swojej urazie i zwracał się do mnie coraz to częściej. Przystąpił już próg fabryczny i wpadł w dobry humor. Szynek tylko, który minąć nam wypadło wywołał krótki zresztą zwrot usposobienia.

— A chleј, chleј jeden z drugim. Będiesz potem łapę lizał.

Andrzej bronił kolegów tem, że „jeden pszytk nie zaszkodzi, ale owszem“. Na rogu ulicy pożegnał nas pod pretekstem, iż musi spieszyć do domu. Posądzam go, iż poszedł sprawić sobie ów „pszytk“.

— No, a gdybyś pan tak do mnie zaszedł? — zapytał pan Walicki przy bramie swego domu.

Temi słowami wpadł tylko w myśl moją, gdyż przez całą drogę o tem marzyłem. Zaproszenie przyjąłem tak radośnie, że m się z trudem pohamowałem, by nie pocałować sumiastych wąsów pana Walickiego. Wytargowałem sobie urlop na pół godziny, aby zmienić ubranie, za co nazwał mnie frantem, szpicem i takiną „fiu-bǳiu“, jak powiadał.

Panna Helena była już przygotowana na moje przyjęcie i sama drzwi otworzyła.

— A jak dobrze! — zawołała. — Właśnie jest u mnie mój przyjaciel Zanicz. Zobaczysz pan, jaki to miły człowiek... O, szkoda, że pan w bluzie nie przyszedł.

W tem powitaniu były dla mnie aż dwie przykrości. Przedewszystkiem słowa „przyjaciel Zanicz“ drasnęły mnie niemile, a przytem ta nieszczęśliwa bluza.

— Gdybym mógł być zgóry wiedzieć — pomyślałem z niemałym żalem.

— Mój przyjaciel Zaliwski — przedstawia mnie panna Helena.

W myśli powstało mi pytanie: któż z nas jest ostatecznie przyjacielem? Wnet jednak wystrofowałem się za tak zacofane poglądy.

— Wy w fabryce pracujecie? — pyta Żanicz, akcentując to „wy“ dla pokazania, że i my mamy stanąć odrazu na stopie przyjacielskiej.

— Tak jest odpowiadam.

— No, jakże? Jakże?

Na tak pospieszną ciekawość nie potrafiłem nic odpowiedzieć. On mnie wyręcza, zadając natychmiast pytanie:

— Robimy konkurencję Niemcom? Ha?

— Tak daleko chyba nigdy nie zajdziemy.

— Zajdziemy, zajdziemy. Stanowczo.

I nie zacerpnąwszy nawet tchu, pyta dalej:

— Dobrobyt między robotnikami wzrasta?

A zwracając się do panny Heleny dodaje:

— Ciekawe pod tym względem cyfry przytacza Ricardo.

I te oba zdania wypowiedziane były jakoś automatycznie.

Taką rozmowę prowadziliśmy przez całą godzinę, póki nam pan Walicki nie przerwał. We drzwiach zwrócił się już do Żanicza:

— Co, panie Żanicz, będzie wojna?

W kątach ust ukryty pod wielkim wąsem osiadł słaby, ironiczny uśmiech. Ja tylko mogłem to zauważyć, bom tak długo jego twarz studjowałem.

— Ważniejsze czekają nas sprawy — odpowiada Żanicz, kładąc binokle na nos.

I w tejże chwili mówi do panny Heleny:

— W „Proroku“ był ciekawy artykuł pod tytułem: „Ewolucja, rewolucja, czy wojna“.

— Więc któryż z tych trzech smoków? — interesuje się Walicki.

— Pierwszy. Bez wątpienia, pierwszy.

— Moja Helciu, nie wstydź ty się starego ojca i wytłumacz mi, co u was znaczy ewo... Jaktoś pan powiedział?

— E-wo-lu-cj-a, — popularyzuje pan Żanicz i stara się sam rzecz objaśnić.

— Jest to, uważa pan... Jakżeby to uprzystępnąć? Jest to ciągły, ciągły rozwój.

— Aha! — Ciągły, ciągły... Rozumiem. Chodźmyż na kolację.

Tu pan Żanicz zaniepokoił się. Wstając z miejsca, spojrzał Walickiemu bystro w oczy. Ujrzawszy jednak jego dobroduszną twarz, uspokoił się widocznie, gdyż szepnęła na ucho pannie Helenie:

— Pani ojciec to paradny człowiek!

Ona odpowiedziała mu tak fatalnym rumieńcem, że go aż z tyłu na szyi spostrzegłem.

— Czego ona się wstydzi? — zakipiało we mnie. I siadłem do stołu taki zły, że nawet oczu podnieść na nią nie chciałem. Gdy mi jednak podała półmisek ze zwykłym ujmującym uśmiechem i gdy szepnęła przytem: „Panie Kazimierzu“, rozviał się gniew mój natychmiast. Powstała w zamian chęć ucałowania rączki, w której talerz trzymała.

Siedziałem naprzeciwko niej i patrzyłem w nią, jak w tęczę, nie starając się nawet zrozumieć tego, o czem mówił Żanicz.

— A jednak — myślałem — mnie los pieści. Raz, że pozwolił mi zrozumieć zagadkę życia, a po wtóre, że styka mnie z taką oto kobietą. Toż to modlić się wprost do niej.

Rzucam okiem na Żanicza i dziwna rzecz, teraz

robi on na mnie zupełnie dodatnie wrażenie. Gdy tak mówi z dystynkcją (trochę może za prędko) i bawi się figlarnie swemi binoklami, można, sądząc bezstronnie, przyznać, iż jest to człowiek wcale do rzeczy. I sam Walicki, który ma zawsze coś do powiedzenia, milczy teraz i słucha. Fakt faktem, że jest to człowiek inteligentny — tylko to mi się w nim nie podoba, że... że jest przyjacielem panny Heleny. Oto i teraz słucha z takim skupieniem, że o mnie zapomniałaby z pewnością, gdyby jej ojciec mojej osoby nie przypomniął. Chcąc wciągnąć mnie w rozmowę, zapytał:

— A cóż pan? Kazimierz tak dziś duma?

— Słucham.

— I cóż pan na to?

— Tee... Po części racja — odpowiadam na chybił trafił.

— Jak to? — zaperzył się Zanicz. — Może powiecie, że emancypacja kobiety...

— Nie! Nie to chciałem powiedzieć — przerwałem w obawie prelekcji, jaką te słowa zapowiadały.

Złakł się widocznie tego i pan Walicki, gdyż wstał od stołu, przeprosił nas, że pójdzie się położyć. Mówił, że jest zmęczony i że mu się w łóżku „jakoś lepiej myśli“.

— Helcia będzie panów bawiła.

We drzwiach zatrzymał się pod wpływem słabego wyrzutu, iż obowiązków gospodarza nie wypełnił, jak należy. Zwrócił się tedy do Zanicza:

— To kwestja bardzo ciekawa. Masz pan dużo racji.

A podając mi rękę, rzekł z uśmiechem:

— Bałamuć mi pan tam Helcię.

W ten sposób dał każdemu z nas po cukierku i wyszedł zadowolony z pokoju. Ostatnie jego słowa wywołały nieznaczny rumieniec na twarzy panny Heleny i wyraźny niesmak na usta Zanicza.

Siedzi on teraz w kłopotliwym milczeniu, zły, że nie znajduje żadnego tematu do rozmowy. Wreszcie schwycił coś. Lica jego rozjaśniają się, a usta wyrzucają szybką wiadomość:

— Wyszła książka...

I tryska nowa kaskada erudycji, której powstrzymać nie było sposobu. Panna Helena siedzi znów naprzeciwko niego i słucha z uwagą. Tracę już cierpliwość, wtrącam jedno i drugie zdanie i powoli przechylam szalę na swoją stronę. Wzrok panny Heleny poczyną teraz balansować między mną a nim. Chwilami na nim dłużej spocznie, i gdy już, już w tem spojrzeniu znak zgody czytam, wnet wpadam ze swoją opozycją. Wzrok przenosi się na mnie. — Mówi znów Zanicz. — Panna Helena przerywa mu słabem niedowierzaniem.

To był pierwszy szach.

Gramy partję naszą dalej. Ja zaczynam silniej atakować i staję się zgryźliwym. Zaniczowi spadają binokle z nosa, oczy błyszczyć mu zaczynają i...

Drugi szach! — panna Helena oponuje mu cokolwiek.

Podwajam atak. Odwracam kwestję i stawiam pytanie. Zanicz się miesza, ja zaś wyciągam śmieszną konsekwencję.

Szach!

Zadaję drugie pytanie i, nie czekając odpowiedzi, wyciągam niedorzeczny wniosek.

Mat! — panna Helena rację mi przyznała.

Zanicz broni się i wymachuje rękoma; ale kto przegrał, to przegrał, i nic już nie poradzi.

Panna Helena wstaje, nalewa herbatę i mnie pierwszemu filiżankę podaje.

Nie wiem, czy powstrzymałem się wtedy od triumfującego spojrzenia. Byłbym mu nawet na palcach poskrobał: „zyg, zyg marchewka!“ Wpadłem wprost w natchnienie. Zdobyłem jakąś lekkość w mowie, obrazowość w stylu, począłem sypać wesołemi anegdotkami. Jednem słowem — pokonałem nie tylko pannę Helenę, ale powoli nawet i Zanicza.

Fabryka, która niegdyś ogłuszyła mnie swym ogromem, staje się w mojem opowiadaniu nadzwyczaj wesołą instytucją, ludzie tamtejsi lekkimi aktorami, a życie całe — sceną z wodewilu.

Pozwoliłem Zaniczowi wyjść wcześniej, by choć na chwilę pozostać sam na sam z Heleną.

— Prawda — mówiła, gdy drzwi się za nim zamknęły, — jaki to sympatyczny człowiek? Tylko, że ci studenci to wszystko tacy jednakowi ludzie.

Byłem wyjątkowo wspaniałomyślnie usposobiony; rzuciłem kilka pochwał, nie zastanawiając się wcale nad niemi; zauważyłem, że nie sprawia jej to wielkiej przyjemności, i to mnie uspokoiło.

Przy pożegnaniu zatrzymałem dłużej jej rękę i spoglądałem badawczo w oczy.

— Co takiego? — zapytała z cudownym uśmiechem.

Miałem na myśli, rozumie się, Zanicza. Powie-

dzieć to — znaczyłoby palnąć kolosalne głupstwo. Podniosłem tylko jej rękę do ust, by tym pocałunkiem wszystko wyrazić.

— Niech pan tego nie robi — powiedziała cicho. — Wszak my jesteśmy przyjaciółmi?...

I znów jak piorun, z jasnego nieba, uderzyły we mnie te słowa. Wszak dawniej tego nie mówiła? — Teraz dopiero przypominam sobie, że Żanicz długo się rozwodził nad emancypacją kobiet, nad miłością a przyjaźnią, nad tem wreszcie, jak kobieta, przyjmując hołdy oddawane jej płci, siebie tylko poniża. Nie zwracałem wielkiej uwagi na to, ale teraz gotów byłbym soli na ten jezor nasypać.

Gdym wrócił do domu, Michaś już spał i chrapał przytem przeraźliwie. Pochyliłem się nad nim, sam nie wiem czemu, i uścisnąłem go.

Wszak my z Michasiem, myślałem, jesteśmy więcej niż przyjaciółmi. Czyż dlatego nie wolno nam się pocałować. Głupi jest Żanicz razem ze swemi teorjami!

Nim zasnąłem, rozmyślałem nad emancypacją kobiety i postanowiłem kupić sobie obszerne dzieło Hartla, traktujące o tym przedmiocie.

Bo w gruncie rzeczy ja mam przesady. A że pragnę się z nich wyleczyć — to chyba każdy mi przyzna w tem słuszność.

Pana Walickiego zastałem nazajutrz w humorze fabrycznym. Zauważyłem już dawniej, że ilekroć wchodzi do jego pokoju, on pospiesznie chowa coś do szuflady i pyta opryskliwie:

— Czego pan chcesz?

Dziś zeszedłem go znieńacka, on zaś, chcąc

schować swoją tajemnicę, upuścił ją na ziemię i zaklął.

Więc i ten katon ma swoje „ale“ — pomyślałem. Myśl ta sprawiła mi pewną satysfakcję. Jest to uczucie, jakiego doznajemy, dowiedziawszy się, że i Achilles ma fatalną piętę. — A jednak nie przedstawiałem sobie tego tak źle, jak nasi dyrektorowie.

Przechodząc oto raz przez podwórze, usłyszałem następującą rozmowę między Szwineigerem a Borwiczem:

— Ten stary — mówił Szwineiger — kryję mi się z czemś. Dwa razy to widziałem.

— Walicki? Czyżby on fuszerkę robił?

— Kto wie.

— Szyję dam, że nie — bronił go Borwicz.

Na drugi dzień przyszedł Szwineiger do warsztatu i zebrawszy nas w pokoju Walickiego, ogłosił, iż za robotę prowadzoną na własną rękę (za tak zwaną fuszerkę) będzie potrącał za pierwszym razem dziesięć rubli, za drugim zaś razem oddali z fabryki.

Poczem kazano nam się rozejść. Wiedziony ciekawością, zajrzałem do pokoju Walickiego i ujrzałem dziwną rzecz.

Stoi on na środku pokoju, trzyma w ręku jakiś blaszany sprzącznik w szklanej oprawie, poczem ciska go z całych sił o ziemię. Wnet jednak mityguje się, przykłęka i zbiera starannie szczątki.

Co to może być?

Wróciłem na swoje miejsce i wnet usłyszałem za sobą głos Walickiego:

— A pan ciągle dłubiesz, precz pan dłubiesz? Podziwiam cierpliwość...

Otworzyłem usta ze zdumienia i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. To było zbyt niespodziewane i zbyt okropne, co ten człowiek mi mówił. Czyżby zły humor mógł go aż do tego doprowadzić, by mścić się na mnie za swą przykrość?

— Wiesz pan — mówił dalej przez zęby — ileś pan już sztuk zepsuł? Ośm! ośm! Ja nędznej roboty od siebie nie puszcę.

Zakręcił się i odszedł.

Stałem, jak wryty. Sztamajza wypadła mi z ręki, a maszyny, których zwykle nie spostrzegałem, zahuczały mi w uszach okropnym śmiechem.

Pędem pobiegłem do Walickiego.

— Panie — wołam zadyszanym głosem. — Panie...

— Wściekł się, czy co?

— Czy ja rzeczywiście nie jestem zdatny do niczego?

— Któż to panu powiedział?

— Pan. Teraz przed chwilą.

— Przyśniło się panu. Zostaw mnie pan w spokoju, bo... U stu diabłów! to też ps.. kr.. u licha!...

— Ja zaklinam pana, ja błagam o prawdę. Czy ja mogę być kiedyś ślusarzem?

— A czemu nie? — zapytał łagodniej.

— Ale ja chcę być bardzo dobrym ślusarzem.

— Ładna ambicja.

— Czy mogę mieć nadzieję?

— Pi... Czy to można wiedzieć? Wreszcie... zobaczmy.

IV.

Powlokło się życie szarym, jednostajnym szlakiem. Nie chcę przez to powiedzieć, by mnie ta jednostajność nużyła lub odbierała zapał. Niech Bóg broni! Idzie mi tylko o to, że do tego celu tak bardzo daleko. I to mnie martwi, to nieraz i humor odbiera, że widzę przed sobą olbrzymi kawał drogi, który gubi się gdzieś za horyzontem. Boć przecież to, co teraz jest, celem moim być nie może, i śmieszneby wprost było, gdybym utkwiał oto pośrodku. Aczkolwiek jestem już wytwórcą tak zwanych bogactw materialnych, to jednak na tem stanowisku wielu mnie zastąpić może (i wielu też zastępuje). Ja mam inne zamiary tylko czasu na spełnienie ich potrzebuję. Szukam stanowiska jeszcze nie zajętego, właściwie zaś nie szukam, ale zbliżam się do niego wolnym, lecz pewnym krokiem. To jednak najgorsze, że, by tam zejść, trzeba przejść przez nieskończony szereg jednakowo nudnych i jednakowo szarych dni. A jednak idę, idę z niezachwianą wiarą.

Któż wreszcie nie ma dni przykrych, leniwych godzin, kiedy wstępuje w człowieka jakiś dokuczliwy, gderliwy duch i wszystkie myśli przewraca mu na-

opak, głowę i serce nagle opróżnia i tak przystosowuje nas do otoczenia szarej codzienności.

Ja ideałem nie jestem i mam również takie chwile. (Pannie Helenie nie powiem, rozumie się, tego, gdyż takie myśli lepiej dla siebie zachować).

„Powiedz, czego ty chcesz, czego, bałwanie, chcesz?“ Tak oto skrzeczy mi mój bies nad uchem. Ma on przytem sposób mówienia pana Walickiego.

„Czego chcę?“ I z tem głupiem pytaniem noszę się, jak kura z jajem, przez kilka dni. Czyż można na to dać odpowiedź?

Gdybym zapytał uczonego, czego chce, odpowiedziałby mi zapewne: wiedzy:

— A na co ta wiedza?

— Niemądry asan jesteś — odpowie mi uczony.

A cóż ja mam memu djabłu odpowiedzieć?

Czy można przewidzieć, jak się życie ułoży, jakie pytanie okaże się najgodniejszem odpowiedzi, jaki czyn najodpowiedniejszym? Mówić o tem wówczas, kiedy jeszcze niema przygotowania, jest co najmniej przedwczesnem.

Koniec końców przemogłem siebie i stałem się znów rozsądnym człowiekiem. Do fabryki chodzę regularnie, wieczorami zaś studuję obszernie dzieło o emancypacji kobiet.

Scena, jaką mi wówczas wyprawił Walicki, była rozumie się, tylko wylaniem żółci z jego strony. Sam dał mi to poznać nazajutrz zdwojoną grzecznością. Najlepszą wreszcie odpowiedzią było to, że Szwineiger wezwał mnie do kantoru i oznajmił, iż, zgodnie z opinią, wydaną przez pana Walickiego, będą m.

placili trzy złote dziennie. W porę mi to przyszło, gdyż fundusze moje i Michasia już się wyczerpały.

Od czasu, jak mi płacić zaczęli, pan Walicki siedzi mi przez cały dzień na karku. Z początku drażniło mnie to; wkrótce jednak zrozumiałem właściwą przyczynę. Teraz jestem odpowiedzialny za swą robotę — pomyślałem. A to mnie podnosi we własnych oczach.

Wstyd może przyznać się do tej słabości, ale gdy tak stoję przed maszyną w oczekiwaniu wieczornego świstka, z rozkoszą myślę, iż za godzinę będę mógł zasiąść do książki. Na usprawiedliwienie swoje mogę powiedzieć bodajby, że jest to jedyna moja przyjemność. Do teatru i na koncerty nie chodzę, gdy nie mam na to pieniędzy, przechadzek nie używam, bo czasu na to brak. Mamże więc i książki sobie odmawiać?

Lubię zapisywać marginesy książek uwagami, jakie nasuwają mi się przy czytaniu. Nieraz nie wystarcza mi wąska tasiemka marginesu. Biorę wtedy kawałek papieru i piszę na nim całe rozprawy. Drę i palę to nazajutrz, na drugi wieczór piszę wszakże drugi traktat. Niekiedy wpadnie mi jakaś myśl i zasnąć mi nie daje. Poczynam ją rozsnuwać, układać sobie w głowie, a najczęściej ubieram ją w stylistycznie zaokrąglone zdania.

Przekonałem się, że i przy robocie fabrycznej można znakomicie myśleć o tych rzeczach, że mechaniczne poruszenie rękoma nietylko że nie przeszkadza, ale pomaga poniekąd. Trzeba się wszakże mieć na ostrożności, by głośno nie zagadać. A zda-

rzyło mi się to raz, na moje nieszczęście i ku zgrozie pana Walickiego.

Byłem pod świeżem wrażeniem dopiero co przeczytanego artykułu i cały dzień polemizowałem z nim w myśli, aż pod koniec wywarłem się z monologiem:

— „To wszystko bańki mydlane, dopóki ich czynię poprze“.

I czyszcząc z zapalem dopiero co utoczoną rączkę, zadekłamowałem półgłosem:

„Lepszy przykład, niż nauka;
Czyń, co mówisz—to mi sztuka“.

Nieszczęście chciało, że w tejże chwili nawinął się pan Walicki. Roztworzył szeroko oczy i patrzy na mnie, jak na warjata. Zapomniał wprost języka w gębie ze zdziwienia. Kiwa tylko głową i mruczy:

— Cudowny wierszyk...

Nie potrzebuję dodawać, że z chęcią schowałbym się wówczas pod stół.

Stało się, że któregoś dnia nie poszedł do fabryki przez zwykłe podłe lenistwo, jakem to sobie nazajutrz wyrzucał.

A jednak, jak ja ten dzień wspaniale spędziłem! Gdybym się chciał usprawiedliwiać, powiedziałbym może: „nie jam jest winien, ale słońce winno“.

Dzień był niewyraźny. Po niebie sunęły chmury w nieładzie i co chwila zasłaniały słońce, rzucając na ulice przemijające, ruchliwe cienie. — Wracałem do fabryki po skromnym obiedzie i byłem akurat w ta-

kimże nastroju, jak dzisiejsza pogoda. W myśli świecił jasny promyk, spędzany co chwila przez jakiś przykry cień. Nie potrafiłem ułoić tego promyka, ani zrozumieć tego cienia. Wiem tylko, że ilekroć przyspieszałem kroku, by nie spóźnić się na dzwonek, promyk ześlizgiwał się i chmurne ciężkie usposobienie zaczynało mnie opanowywać. Gdy zapomnę na chwilę o mym pośpiechu — chmura mija i zaczynam myśleć o... wstydzę się wprost przyznać. Układałem w myśli artykuł. Jak mi się to świetnie zarysowało. Nigdy nie przypuszczałem, bym coś podobnego mógł kiedy napisać.

Zatrzymuję się na ulicy i zacieram ręce z zadowolenia. Czuję, że twarz moja nie rozjaśnia się, ale wykrzywia wprost z uszczęśliwienia.

Skręciłem w Aleję Jerozolimskie i spojrzałem na Wisłę. Wtedy zobaczyłem to, co mnie zawsze tak nęci i pociąga — tę plamę świetlaną na odległych polach, tę wioskę słoneczną, jakby wyspę wśród szarego morza pól. Niech będzie co chce, ale mnie to kusi i ciągnie tak, że rady dać sobie nie mogę. Może to jest chorobliwe? Czy ja wiem? Gdy tak stanę w szarym miejskim zmroku i ujrzę z daleka... Nie, ja tam iść muszę! I pójde!

Skręciłem na Nowy-Świat, przebyłem Krakowskie-Przedmieście, przebiegłem przez most i już jestem na wale praskim.

Tam to na drugim brzegu kopci nasz komin fabryczny i pluje w miasto kłębam ciężkiego dymu.

Raduję się jak dziecko swem odważnem postanowieniem i nie doznaję zgoła wyrzutów sumienia.

Siadam na wale, bębnię piętami i patrzę arogancko na swą fabrykę.

— Panie Walicki, pan sobie tam pewno język ostrzysz na mnie. A mnie się tak spodobało i nie przyjdę. Daruję wam trzy złote i wyłobuzuję się dziś za całe życie.

Rzucam spojrzenie na prawo i spostrzegam dziwną rzecz. — Jak ten most tu sprytnie ustawili! Po prawej jego stronie zamek, wieżyce, potężne kościoły starożytne domy piętrzące się jeden na drugim i zbite w ciasną kupę; ku lewej szeroko, wzdłuż rzeki, rozsiadły się fabryki najeżone setkami wysokich, cienkich kominów. Ten most dzieli dwie epoki. Po prawej przeszłość — po lewej przyszłość; tam oni — tu my.

Ja to stanowczo w mym artykule zużytkuję, pomyślałem i pobiegłem dalej.

Wyszedłszy za rogatki grochowskie, skręciłem na lewo i na przełaj pól, przez ścieżki i miedze dostałem się do upatrzonej wioski. Co za rozkosz! Tu wprost piersi coś rozsadza i tak krzyknąćby się chciało na całe gardło:

— Oj dana... Ho — ho!

— Hop — hop! — odpowiedziało mi odległe echo.

Tam za pługiem chłop jakiś stąpa w towarzystwie kur. Na niewielkiem wzgórzu stoi rozłożysta grusza, ulegalka, jak ją nazywają Warszawiacy, te prawdziwe ulegalki miejskie. Wdrapuję się na to wzgórze i rozglądam naokoło. Tuż przede mną kawał napół zoranego pola, dalej na łące było się pasie, kilka koni spętanych skacze niezgrabnie, stado gęsi

szuka czegoś niezmordowanie w trawie i wydaje krzyki zniecierpliwienia.

Łąkę przecina zygzakiem rzeczka, porośla z prawego brzegu grabiną. Drzewa i krzewy pochylają się ku wodzie, jakby tam coś wypatrywały. Kładka prowadzi do wsi, a raczej do kilku chałup krzywych, koszlawych i jakoś smutnie skulonych przy drodze. W pewnej odległości, za kartoflanem polem stoi samotna chałupa — jak to zwykle po wsiach bywa: tam mieszka mizantrop wiejski i największa nędza z tej biedy. Horyzont zamyka długi, nieskończenie długi szereg wysmukłych topoli. Tam ciągnie się trakt królewski, szeroki, szeroki, piaszczysty i garbami od starości pokryty.

Oto wypadł z kurzawy wózek, wtoczył się na boczną drogę i popędził w stronę wsi. Kusy konik strzyże uszami, wyciąga krótką szyję i przebiera nogami coraz to prędzej, ciskając wózek to w prawo, to w lewo. Na wózku kiwa się młody chłopak, z trudem utrzymuje równowagę, i wymachuje biczyskiem nad uszami rezolutnego konika. Minęli wieś i przejeżdżają tuż pod wzgórzem.

— Niech będzie pochwalony! — woła z wozu.

— Na wieki.

— Stój, prr... — krzyczy na konia i zatrzymuje wóz.

— A nie macie tu czasem zapałki... co?

— Jest.

— A no to...

Wyjął z pod czapki papierosa, zeskoczył z wozu.

— Pr... Stój! Stać jucha nie może... Panie Boże za... stój... prr...

Zbiegł z góry, wskoczył zręcznie na wóz i za chwilę znikł mi z oczu.

Z przeciwnej strony biegnie pies kudłaty z kłosem u szyi: to wiejski włóczęga. Pan jego siedzi na wsi i nosa na świat nie wytyka. Jeśli jeść co ma, to z tej oto ziemi kęs chleba dostanie. Inna rzecz pies. Ten pola nie zorze, młócki nie robi, siedzi jeno przed chałupą i szczyrzy zęby, gdy baba kartofle obiera. Ale łupinami żaden pies się jeszcze nie przejadł. Więc też i Kruczkowi brzuch opadnie, żebra omal że skóry nie przebiją. Pójdzie wtedy w świat, jak ów chłop, co mu rolę żydy sprzedady. Wyjdzie za chałupę, spojrzy na świata cztery strony i pobiegnie przed siebie. Nieraz zatęskni za swemi i ta tęsknota drogi i ścieżki mu wskaże i doprowadzi go do rodzinnej wioski.

Wyńędziały, zmęczony, z głową na dół pochyloną i wywieszonym jęzorem biegnie drobnymi krokami i dzwoni kłosem, uwieszonym u szyi.

— Kruczek — wołam — pójdź tu!

Zatrzymał się, a w zmęczonych jego oczach zabłyszczało coś w rodzaju radości. Spostrzegłszy, że to nie swój, pobiegł dalej. Z drogi obejrzał się na mnie z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć:

— Kiego licha bałamucisz, kiej nic nie dasz, bo sam na golca patrzysz.

Położyłem się na trawie i utkwivszy wzrok w niebo, zacząłem marzyć. Były to prawdziwe marzenia, których żadna nić z życiem nie łączyła, gdzie niema nieznośnego hamulca, niema złowieszczących odźwięków: — „wczoraj“, — „dziś“, — „jutro“ a myśl, jako

ptak swobodna, buja po niebiosach, kąpie się w słonecznym obrazie i tonie w bajce.

Długo tak leżałem. Słońce pochyliło się na horyzoncie, ukazało mi brzozowy las w czerwonym blasku, krętą wstęgą odbiło się w rzeczce i, zamieniwszy się w krąg purpurowy, zapadło za lasem. Zmierzch nadszedł. Oto wrony ciągną już gromadnie przez pola na wieczorną gawędkę. Suną cicho i spokojnie, jakby ważną sprawę miały dziś do obgadania. Próbuje pochwycić nić marzenia i na jedno natrafiam słowo:

— He-la...

Pastuch spędza bydło z pola i wyciąga monotonną nutę, która sobie jest i pieśnią i echem razem:

— He-la!... He-la!...

Wiejska dziewczyna wyszła z kubłem po wodę, stanęła nad rzeką i zanuciła żałośnię:

— He-la!... He-la!...

Nad brzegiem lasu zestraszona kania porywa się z gniazda i załopotawszy skrzydłami, krzyknęła ku mnie:

— He-la!...

Jakżebym ja chciał mieć ją teraz tuż przy sobie, złożyć głowę na jej kolanach i wsłuchiwać się w te gwary wieczorne, w to rechotanie żab z pobliskiego bagna, co zda się, precz w kółko powtarzają:

— He-la!... He-la!...

Tu po raz pierwszy pomyślałem, że ją kocham. Tu, gdzie mnie nikt nie wyszydzi, nikt „teorji“ nie

przypomni, gdzie „zdrowy rozsądek“ rumieńca na twarzy nie wywoła.

I ogarnęła mnie szalona chęć wmieszania i mego głosu w te gwary wieczorne, rozlewające się czystem, przeciągłem echem po polach, wplecenia i mej zwrotki w tę cudowną pieśń natury. Nie chcę jej ogłuszyć mem szczęściem, lecz wpleść moje wołania w tę harmonijną całość tęsknego spokoju.

— Hela! — zawołałem.

I zawtórowały mi wołania pastucha, piosnka dziewczyny, rechotanie żab i krzyk kani z pod lasu.

Ukołysało mnie znów marzenie. Poszło ono jednak tym razem nicią życia i doprowadziło mnie do zamiaru, by jej to powiedzieć.

— Powiem.

Tym razem nikt mi nie zawtórował. Pastuch zapędził już bydło do wsi, dziewczyna wodę czerpała, żaby umilkły i kania do gniazda wróciła.

Wieczór.

Biegnę ścieżką w stronę miasta, co świetlaną smugą rysuje się już w zmroku. Jeszcze dziś zobaczyć ją pragnę i to pragnę tak gorąco, jak nigdy przedtem.

Była dziewiąta godzina, gdym kołatał do mieszkania Walickiego. Po drodze obmyśliłem pretekst, iż zaszedłem przeprosić go, że w fabryce nie byłem, i uprzedzić, że jutro może nie będę, gdyż ząb mi bardzo dokucza. Walicki leżał już w łóżku i przyjął mnie przez drzwi drugiego pokoju.

— Niepotrzebnieś się pan nosił po nocy ze swym chorym zębem.

Wnet jednak spojrzał na rzecz z innej strony.

— Poczucie obowiązku — mówił. — I to coś znaczy.

Panna Helena była zajęta poprawianiem kajetów swych uczniów.

— Ja przyszedłem właściwie po to, by panią zobaczyć, — zacząłem i zląkłem się natychmiast własnej odwagi.

— Mnie? To bardzo ładnie z pańskiej strony.

— Bo...

— Co takiego?

— O, nic...

— I ja o panu myślałam. I wie pan, co mi też przyszło do głowy? Gdybyśmy tak sobie „wy“ mówić zaczęli. W stosunkach przyjacielskich przecie... Wreszcie, powiedziawszy szczerze, podoba mi się to.

Uśmiechnąłem się dosyć kwaśno i bąknąłem coś niewyraźnego pod nosem. Dziwne to może, a jednak te słowa pomieszały mi szyki. Wyszedłem, nie powiedziawszy ani słowa z tego, o czym mówić zamierałem. A w takich chwilach milczenie jest katuszą.

— Do widzenia „wam“ — żegna mnie panna Helena, podając mi zamasyście rękę.

— Do widzenia.

Tamto słowo nie przeszło mi przez gardło. Ileż jednak znaczy siła przyzwyczajenia? Dotychczas mówiłem „wy“ stróżowi, posłańcom, praczce, wreszcie Andrzejowi w fabryce. Pannie Helenie tak powiedzieć nie mogłem.

— Gdy jednak się namyślę... A, dosyć tego! Chwilami buntuję się nawet przeciw zdrowemu rozsądkowi.

I znów mi wlaźł w głowę jeden z tych ćwie-

ków, co z takim uporem dopominają się, by je wbić głębiej. Rozmyślałem nad tem długo, tym razem z nieświetnym skutkiem. Wpadłem w błędne koło i haruję w niem bez końca. Najciekawsze to, że dowodzenia swoje układałem w formie stylistycznie zaokrąglonych zdań.

Była już późna godzina w nocy. Ciszę przerywało tylko chrapanie Michasia i skrzypiące kołatania zegara. Stanąłem w oknie i tu snulem dalsze swoje myśli. Po chwili spostrzegłem, że nad przeciwległą kamienicą zajaśniało matowe zielonawe światło. Niedługo trwało, a z za dachu wysunęła się olbrzymia tarcza księżycy. W pokoju zrobiło się widno, lecz jakoś melancholijnie zarazem.

— A gdybym spróbował?...

Zapaliłem świecę i zacząłem pisać artykuł. Była to bajka o starym filozofie, co w grzybiałych latach ludzi nauczać począł, jak żyć mają, by nie cierpieć; jak cierpieć, by drugich swem cierpieniem nie zarażać. Myśliciel swe kazania temi zaczynał słowy: „Dziś uczę, bo dziś dopiero wiem. Jeśli mi powiecie, że lat pięćdziesiąt żyć jeszcze będę, zamilknę, zaczekam i za lat pięćdziesiąt do was przyjdę“. Stary kilku uczniów zaledwie znalazł, błogosławieństwa im udzielił i w świat daleki poszedł.

Wraca za lat kilka i znajduje tysiące nie wynawców, lecz nauczycieli. Każdy uczył. A czyny? O nich wśród nauki zapomniano. Ten, kogo dziś nawrócono, jutro szedł innych nauczać. I szkoła cała z proroków się tylko składała. Na widok tego zadrżały wargi starcowi i z gniewem zawołał: „Gdybym mógł wam słowa moje z gardła wyrzucić, zarazbym

to uczynił. Nauka bez czynu“... Podniósł rękę, jakby straszne słowo chciał powiedzieć...

„Jest tylko nauką!“ — krzyknął.

Tej nocy miałem silną gorączkę i nie spałem wcale.

V.

Nad ranem, koło piątej godziny, sen zmógł mnie tak silnie, że skuwał prawie powieki.

— Nie pójdę dziś — myślałem, czy też śniłem.
— Wszak niechący uprzedziłem Walickiego.

I w tejsze chwili wyskoczyłem na środek pokoju.

— Bydlę! — krzyknąłem na siebie. — Toć przed kilku godzinami wypisywałeś dytyramby na cześć czynu. Ty, wczoraj nawrócony, a dzisiejszy proroku z pod pierzyny! Choćbym miał dwadzieścia razy upaść w drodze, jednak pójdę.

Że dnia tego pracowałem niedobrze, żem zepsuł niejedną rzecz, — moja w tem wina. Dziś Walicki miał rację, gdy mi wymyślał. Ja nocy nie dosypiam przy stylistycznych zabawkach, a za dnia psuję robotę. Długo będę musiał nad sobą pracować.

W fabryce dzieje się tymczasem coś niezwykłego. Walickiego prawie że nie widać. Od kilku dni przesiaduje całymi dniami z Borwiczem. Gdy wpadnie na chwilę, jest wtedy taki roztargniony, że rozsądnego słowa wydobyć z niego nie można.

Przywożę do nas jakieś naczynia blaszane, lu-

stra olbrzymie i Bóg wie nie co. Gdy wnieśli raz jakiś sprzęt do jego pokoju, słyszałem, jak wołał:

— Zakryć płachtą, bo się podłoga zapali.

— Co to być może? — Spytać ani sposób.

W dodatku zaprowadzają w fabryce oświetlenie elektryczne, ku wielkiemu niezadowoleniu Andrzeja.

— Widzisz go, elektryka — mówił. — Kiej elektryka, niech się sama kręci.

Z Andrzejem zapoznałem się tymczasem bardzo dobrze. Zaprzyjaźniła nas krótka rozmowa podczas mojej wizyty przy maszynie.

— Kiedy taki uczony — mówił — to co ma ze mną do gadania?

— Uczony nie jestem. Taki ja robotnik, jak i wy.

— Oho! Co to, to nie.

— Wreszcie podobacie mi się.

— Pi... pil... Szedł pies przez owies, nie szkodziło psowi, ani owsowi.

To mnie zmroziło. Jużem chciał wyjść, gdy Andrzej zatrzymał mnie pytaniem:

— A czemu ludzi ze swego warsztatu znać nie chce?

— Nie unikam ich. Wy zresztą inni jesteście.

— Jęszczy?

— Aha!

— Tak jest.

— A może być, — zdecydował, kiwając głową ze zdziwienia.

Od tej chwili okazywał mi wyraźną sympatię. Po dzwonku oczekiwał mnie przy bramie i odprowadzał do domu. Któregoś dnia zaprosił mnie do szyn-

ku. Odmówiłem stanowczo. Andrzej nawymyślał mi od „paniczów ze spiczastym nosem“, powiedział, że gardzę nim i mogę sobie iść do czorta. Krzywił się na mnie przez kilka dni, aż wreszcie w wigilię któregoś święta powtórzył swą prośbę. Uległem wreszcie, nie tyle pogrożkom, jak wskutek pewnej myśli, która zbiegła mi do głowy wraz z jego wymyślaniem. Jeśli ich unikać będę, nigdy się do nich nie zbliżę. A wszak miałem zamiar wpływać na nich. To będzie nawet bardzo polityczny krok. Poznam się z nimi, jako kolega, w szynku. Potem może mi się uda wyciągnąć ich nawet stamtąd, oduczyć od pijaństwa“.

Przy wejściu powitano nas okrzykiem.

— Oho! Andrzej na mszę idzie.

— A cóż to, nie za swoje pieniądze?

Po tych słowach dopełnił ceremonji przedstawienia mnie w sposób bardzo oryginalny: Stojąc do mnie tyłem, mówił, że to „nowy pasażer, — mądra sztuka, jak sowa“. Kamrad jego poruszył jakoś głupkowato głową i ceremonia się ukończyła.

— Pani kupcowa, dwa alembiki!

— Sz... sz...! — zasyczał kamrad. — Andrzej alembikami się rozbija.

— Trzy! — huknął w odpowiedzi Andrzej i zwrócił się do niego:

— Józef, chodźta tu. Zalejecie se gębę, bo ją rozedrzecie bez te wydrwiwania.

— Niema obawy. A co do fundy, to... szsz!

Zaledwie usta odważyłem się przyłożyć do brudnego kubka, by nie zrobić przykrości Andrzejowi.

— O, Stasiak idzie... Panie Stasiak!... Panie te!...

— Nie mam czasu — wołał głos z ulicy.

— Nie mam czasu — powtórzył, wchodząc do szynku. — A, pan Andrzej? A cóż to, imieniny? O co idzie?

— Cztery alembiki!

— Czasu nie mam — bronił się Stasiak, biorąc kubek w rękę.

— Do domu się śpieszę — dodał, stawiając kubek na bufecie.

Andrzej kiwnął na żydówkę.

— Salcia! Chleba i sera.

Towarzystwo zasiadło do stołu, mimo protestów Stasiaka.

— Kiedy bo... śpieszę się — mówił, kładąc chleb.

— Ma rację — rzekł Józef. — Na święty Jan się ożenił. Szynk, widzisz Andrzej, nie starzeje się, a żona? Szsz!...

Dowcip ten przyjęto krzykliwym śmiechem. Stasiak spostrzegł mnie wreszcie i zwrócił się z grzecznością:

— A, panu sąsiadowi (niby od śrubsztaka) dzień dobry. Tak to, kochany panie! śpieszę się do domu, bo raz, że żona, a drugie, że jutro święto.

— Pan Stasiak jutro na sumę powędruje — śmiał się Józef.

— Otóż to. Póki człek jest w kawalerskim stanie, w kościele ani poświeci. Jak się za to ożeni, chodzi więcej, niż potrzeba.

— A kto mnie zaciągnie? — oburzył się Andrzej. Trzy czystel... A kto mnie zaciągnie? Jeszcze będę tam kąty w Grzybowie wycierał.

— Dałbyś pan pokój — mityguje go Stasiak za tę herezję.

— Y... tere-fere. Ja tam sobie z tego niewiele robię.

— Cicho ludzie! — zawołał Józef — Toć to jutro Narodzenie Najświętszej Marii...

— Ee?... No, to bez gadania trzeba iść.

Nawet ateistycznie usposobiony Andrzej zmienił zdanie wobec tak ważnego święta.

— Tak? To jasna rzecz.

Towarzystwo zgodziło się na jedno. Wogóle jest to głupstwo i dobre dla bab, co zaś do jutrzejszego święta, „to zupełnie co innego“. Wśród tej dysputy zjawiła się na stole butelka wódki.

— Andrzej, chodźmy do domu — wyrwało mi się niechcący z ust.

— Do domu? A idźmy. Ino, że ja zostanę.

Teraz dopiero pojąłem niestosowność mego kroku. Andrzej znalazł towarzystwo odpowiednie, o mnie zaś nie dba już zupełnie. Chciałem zawiązać z nimi stosunki (tem się przynajmniej kierowałem, wchodząc do szynku), okazało się jednak, że to oni, jeśli zechcą i jeśli ja pić z nimi będę, gotowi mnie przyjąć do swego koła. W przeciwnym razie będę niepostrzeżony siedział na boku i budował swego ducha widokiem, jak panowie Stasiak, Andrzej i Józef wlewają „czystą“ w swe gardła. Wstać teraz i wyjść — znaczyłoby ściągnąć na siebie ich gniew, oraz stać się dla nich wrogiem do zgonnym. Aristokratyczny pan Stasiak nie wybaczylby mi tego nigdy.

— A tom wlaż! — pomyślałem, i postanowiłem sobie w duchu być tylko widzem.

W szynku zrobiło się niezadługo parno i duszno, powietrze przesyciło się stęchłą, wilgotną mgłą. Od publiczności roilo się w tej brudnej norze. Byli tam robotnicy, stróże sąsiednich domów, dorożkarze, posłańcy, drobni majsterkowie; niejedna też baba tu zabłądziła. Wreszcie kogo tam nie było? Najbardziej rzucali się w oczy szeregowcy złotej gwardji, ci „andrusi“ warszawscy, dla których szynk jest nie tylko źródłem uciech moralnych i cielesnych, lecz zarazem grotgierrją amerykańską. Tu andrus pokrywa grzeszne swoje ciało, tu też obnażyć je cokolwiek jest nieraz zmuszony, gdy wypije więcej, niż należy; tu tryska dla piśmiennych zdrojowisko świeżej wiedzy, w postaci onegdajszej „Gazety policyjnej“; tu wreszcie jako szczyt luksusu dostać można „parę“, gdy przyjdzie andrusowi ochota „szyk się wystrychnąć“ i ukazać się w szacie światowego człowieka.

Tak mnie przynajmniej Stasiak objaśniał, wskazując na nich.

Ciekawe to twarze. Grube, prawie zwierzęce wargi, zwieszające się z pod tłustego nosa, wykrzywia arogancka buta, a w małych bystrych ślepkach igra coś w rodzaju humoru.

Oto wtacza się jeden z workiem węgla na plecach i szczerząc zęby, śmieje się rozkosznie małemi ślepiami.

— Pani te!... Jabłuszka są. Łapieński i spółka. Ny! Ny!

Aż paszczę roztworzył z radości.

— Z pod cudzego wozu — wtrącił Józef.

Tu Andrzej się zaperzył.

— Z pod twego? Zgubiłeś, co? Lubię ja takich wyszczekanych. Widać, żeś wczoraj jeszcze gnój widłami podnosił.

Józef zaczął się odgryzać, jak umiał. Mówił, że przez trzy kwartały jest w mieście, a co do wsi, to „ho, ho — sz-sz!”

Pan Stasiak wtrącił ze swej strony krótką wymówkę.

— Fuszer.

Zauważyłem z dalszego toku rozmowy i z tej miękkiej ostrożności, z jaką wyrażali się o andrusach, że są to pupile panów Stasiaka i Andrzeja. Rasa, aczkolwiek znacznie niższa, jednak nieoceniona.

— Oni mają pieprz — utrzymywał Stasiak.

— To są dranie dodał pieszczotliwie Andrzej.

W szynku począł się tymczasem ścisk formalny. Do mokrej pary, wypełniającej pokój, przyłączyły się jakieś cuchnące wyziewy. Bufet obstąpili goście i kłócąc się, krzycząc, wymyślając sobie bez litości i rzucając „dowciapy“, dobijali się bohatersko o czystą, alembikową, kimel i rzadsze specjały.

Do naszego towarzystwa przyłączył się pan Chojnacki, człowiek nie tak może wykwinny i ogładzony, jak pan Stasiak, niemniej pan całą gębą. Rozmowa przeszła powoli na stosunki fabryczne. Pan Chojnacki nie znajdował dla Walickiego słów pochwały.

— To anioł — mówił.

— Strasznie pyskaty anioł — wtrącił Józef.

Pan Stasiak zadowolił się lakoniczną uwagą:

— Kto ma pozycję, musi mieć i pysk.

Andrzej skorzystał z okazji, by przyciąć Józefowi:

- Na was wymyśla, bo myśli, żeście chłop.
- A cóż to, ja mam na przodku wypisane?
- A wójt nie wymyślał? — drwił Andrzej dalej.
- Jabył się akurat dał.

Stasiak zabrał głos po raz drugi i uspokoił podniecone umysły. Mówił, iż był w Żgierzu, w Łodzi (tam Niemców wymacał, co to za naród będzie), wreszcie był w Sosnowcu, czego dowodem, że po francusku rozumie (wcale nie jest mądry język). Był, jednym słowem, wszędzie, a takiego człeka, jak Walicki, nie widział.

I tę sprawę zapito. Dalsza rozmowa potoczyła się bez ładu i weszła na tory humorystyki. Ku memu zdziwieniu, objął tu przewodnictwo Józef, zwłaszcza w sprawach kobiecych. Oczy biesiadników zaczęły błyszczeć; pomimo wesołego nastroju, czuć było leciutki powiew tego wiatru, co rozdmuchuje namiętności i prowadzi bez powodu do bójki.

Szynk począł się powoli opróżniać i tylko od czasu do czasu wtoczył się pijany już gość. Publiczność stawiała się mniej wyborową. Oto włazi naprzykład jakiś włóczęga w łachmanach, ściskając w garści miedzianą dyskę.

— Y... pani kupcowa. Takie goście? — skrzywił się Andrzej arystokratycznym grymasem.

Przybysz zwraca się do szynkarki i żąda wódki.

- Ja dostaję teraz! — krzyknął Andrzej.
- Niech sobie czeka — mruknął włóczęga.

To wystarczyło. Andrzej zręcznym ruchem przesadził nogi nad ławką i wyskoczył na środek.

— Kto będzie czekał? — krzyknął.

— Pan będziesz czekał.

— Ja będę czekał?

— Ty będziesz czekał.

— Tfu! Ps... kr...!

— W łeb! — zakomenderował Józef.

Andrzej rozkraczył nogi, schwycił za próżną butelkę i stanął tak w postaci wojennej. Włóczęga flegmatycznym ruchem wyciągnął z kieszeni nóż, co wywołało gwałtowny napływ krwi do głowy Andrzeja. Cisnął on butelkę o ziemię z taką siłą, że aż w drobny pył się rozprysnęła, i porwał za stolec.

— Ja cię zabiję! — ryknął.

Panowie Stasiak i Chojnacki stanęli pośrodku i siłą pięknej wymowy starali się go powstrzymać od nierozważnego kroku.

— Nie warto takiego zabijać.

Józef schwycił tymczasem za ławkę, podniósł ją do sufitu i spuścił na kark włóczęgi. Echo powtórzyło to uderzenie. Włóczęga stęknął i przypadł na kolana. Tu spadł na niego Józef jak kot. Chwila, a przybysz znalazł się za drzwiami.

Towarzystwo nie prędko się uspokoiło. Potrzeba było całej butelki, by przywrócić równowagę umysłów.

Stasiak ceremonjował się trochę dla przyzwoitości.

— Ja funduję! — odpowiedział Andrzej, uderzając ręką w stół.

Nie minęło pół godziny, a bractwo już na ła-

wach kiwać się zaczęło. Andrzej był w takim napa-
dzie gościnności, że chciał poczęstować nawet stój-
kowego, który zajrzał do szynku, zwabiony widocznie
zajściem z włóczęgą.

— Panie stojący!... Panie naczelniku... Zdrowie
kochanego... Za miesiąc moje imieniny. Dziś przepi-
jam... Panie naczelniku... Funduję!...

Stójkowy wyszedł, nie odpowiedziawszy ani
słowa.

— Nie? Bierz cię lichol!

Wkrótce szynk zamknięto i znaleźliśmy się na
ulicy. Tu przypomniano sobie moją osobę i każdy
uściskał mnie z kolei. Panowie Stasiak i Chojnacki
cmoknęli w powietrzu, Józef zaś liznął mnie jęzorem.
Nawet Andrzej poczuł znów wyjątkową czułość ku
mnie, gdyż zarekomendował mnie towarzystwu po
raz drugi:

— Mądry szelma, jak sowa.

Przy pierwszym rogu rozstaliśmy się. Każdy
poszedł, a raczej potoczył się w swą stronę. Andrze-
ja ująłem ja pod ramię i prowadzę z trudem do swe-
go mieszkania.

Zatrzymywał się co chwila i spoglądał z cieka-
wością astronoma w gwiazdziste niebo, jakby do-
strzegł tam nadzwyczajny fenomen. Innym razem
utkwiał smutny wzrok w rynsztok i monologował coś
o kanalizacji. Upierał się nieraz, że nie pójdzie, cze-
piał się latarni i tragicznym głosem wołał:

— Nie pójdę!

Chwilami wracał mu dobry humor, jako przypo-
mnienie wesoło spędzonych godzin. Zatrzymywał się

tedy na środku ulicy, wymachiwał rękoma, jak wiatr-
trak, i darł się na całe gardło:

Gdy mi nie dasz świdy — wydry,
To cię szelmo za łeb wydrę.

— Co, ładna piosnka?... No?... Górą nasza!...
Ech-te-huul...

Huknął, aż echo rozbiło się po pustych ulicach,
a pociągnięty za rękę, podreptał za mną, jak dzieciak.

VI.

Obudziłem się nazajutrz z bólem głowy i z jakimś niemiłym uczuciem na dnie serca. Andrzej, który przespał u mnie tę noc, pociesza mnie, że człek po przepiciu czuje się zawsze „jak Saska Kępa w poniedziałek“.

Tylko, że u mnie trwa to poniedziałkowe usposobienie cały tydzień. I jak gdyby na złość zbiegło się na ten czas kilka niepowodzeń fabrycznych, a te zawsze mi humor odebrać są w stanie.

Z rozrzewnieniem wspominam te chwile, kiedy to humor, a nawet myśli normowała różga, zwykła sobie brzozowa różga. Teraz, kiedy już oddawna „skończyłem sztubę“, gdym „poznał, co miłość znaczy“, gdy wasy wysypały mi się pod nosem i gdy rozpocząłem filozofować – zjawia się z kolei coś, czego sam określić nie potrafię: zjawia się początek drugiej epoki. Wątpliwości, pesymizmy, sprawy celu i znaczenia ludzkiego żywota i wiele innych „izmów“, które mam ochotę podprowadzić pod ogólny pierwiastek: idjotyzmów. A jednak tu już różga nie pomoże, tu człowiek wmawia w siebie zawikłane cierpienia, grzebie się w tem bagienku, co wprzód ro-

wem zwykłym było, póki weń wody z książek nie wtoczył, i wmawia w siebie z dumą, że owo trzęsawisko to potężny żywioł zagadkowego „ja“.

I niema nikogo, ktoby mu potrafił ten ćwiek z głowy wybić, gdyż on swe cierpienia tak pieści, że usunąć ich nikomu nie pozwoli.

Faktycznie tęsknię w takich chwilach za matczyną różgą. Jestem w głębi duszy przekonany, że gdyby matka zawołała na mnie gderliwym głosem:

— Kazik, co ci do głowy wlało? Unieśno ko-szułę!

Krzyknąłbym może wtedy:

— Mamo, ojej!

I pesymizm rozwiąłby się natychmiast. Ale że matki nie mam, no i, jak Andrzej powiada, nie potrafię unikać Saskiej Kępy w poniedziałek, więc też noszę swoje bóle i wątpliwości, póki dobrze utoczona śrubka, ładna mutra, gwincik lub coś podobnego rozkoszną dumą serca mego nie wypełni i nie ponie-sie ducha w krainę optymistycznych marzeń.

Mam i ja takie chwile i jestem za nie życiu wdzięczny, wdzięczny nad wyraz. Ale też tem silniej przeklinam je za skrzywione śruby, źle dopasowane gwinty, za te małe, lecz gnuśne i dokuczliwe przy-krości.

Dnie takie wykreśliłbym z kalendarza, wykrajał-bym z pamięci. Dwudziesty lub któryś tam listopada, ta pamiętna rocznica fuszerki fabrycznej, świeci mi ciągle na kalendarzu, jak polip wsysa się do mózgu i wspominać ten dzień każe.

Wstałem niedobrze tego dnia. Gdym nogę na zimną podłogę postawił, wstrząsnął mną dreszcz. Nie

było to jednak rozkoszne drzenie, jakie zimny, świeży wywołuje poranek; był to raczej kurcz febryczny zmęczonego człowieka. (Właściwie nie mam przecie powodu do zmęczenia — pomyślałem).

Podczas umywania mroziła mnie woda, w drodze do fabryki czułem smak żółci w ustach, idąc albo wlokłem nogi, albo podnosiłem je za wysoko. Zapowiadał się, jednym słowem, dzień feralny.

Stałem przy maszynie i zwiesiłem głowę, jak smutny koń. Natychmiast podnoszę ją energicznie do góry i uderzam o pręt żelazny. Zły i zgorzkniały, chwytam sztamaję i szoruję nią z całej siły. — Trach! pęka rurka mosiężna.

— Bodaj cię połamało! — przeklinam na sposób Andrzeja i rozpoczynam robotę na nowo.

Mosiądz zły, czy inne lichy, dość, że nie idzie. Dla osłodzenia tego następuje prelekcja pana Walickiego. Daje mi on w dodatku maszynkę indukcyjną do naprawy, mówiąc, że chociaż to nie do mnie należy, posłuż mi to do nauki.

— Ten drut tu, tamten tędy, tu pan zaczepisz, tu zahaczysz...

— Rozumiem.

— Nic pan nie rozumiesz.

— Ho, ho... wyrwało mi się niecierpliwe westchnienie.

Wreszcie zostawił mnie w spokoju.

— Ten drut tu, — powtarzam, przewlekając go przez szpulę. — Tamten tędy.

Dłubię kilka godzin i nic. Maszynka nie funkcjonuje.

— Ten drut tu, tamten... źle! Nie tak.

Zadzwoniono na obiad. Uczuwaam wyraźne zadowolenie. Składaam rzeczy na kupę i wynoszę się. Nie chcę nic wiedzieć o maszynkach indukcyjnych, przynajmniej przez te półtorej godziny.

Po obiedzie to samo. *Da capo al fine e di nuovo.*— „Ten drut tu, tamten tędy“. Syzyfowa praca z temi maszynkami.

Przyszedeł wreszcie pan Walicki.

— Pokręcił, pogmatwał, pocudaczył, posupłał, po...

— Czego? czego?

— Panie Wali...

Ugrzęzło w gardle i nie wyszło, co wyjść miało. A miała to być pokorna prośba.

— Ja jestem...

— I czego pan beczysz? No, i widział to kto coś podobnego? Rozmazał się...

— Ja jestem nie tego... nie zdrów.

Walicki spojrział na mnie przenikliwym wzrokiem i wargi drgnęły mu nieznacznie. Po dzwonku sprowadził mnie na dół i odwiózł razem z Andrzejem do domu. Pozwoliłem robić ze sobą, co im się żywnie podoba. To zwykły wreszcie koniec płaczu. Lubimy być wtedy lalką, tłumokiem, byle nie człowiekiem.

Andrzej wszedł ze mną na górę i położył mnie do łóżka.

— Jakiś ty dobry — mówię, ściskając mu ręce (od czasu naszej pijatyki byliśmy na „ty“).

— Brzuch cię boli? — odpowiedział na moją rzewność.

— Nie...

— W dołku gniecie?

— Nie... — mówię cierpliwie i potulnie, jak chore dziecko.

— Żyć chcesz?

— Nie...

— Stał na środku pokoju i zamyślił się głęboko, jakby rady jakiej szukając.

— A co, Kazik? Możeby doktora. Oni nam, widzisz, nie wiele pomogą, ale wam...

Gdym zaprotestował poruszeniem głowy, nie obstawał więcej przy swoim.

— Masz rację — zawołał. — To szewcy!

Powoli ustępowało to niedolężne sparaliżowanie. Upewniłem Andrzeja, że mi nic nie jest, i prosiłem, by się mną nie krępował, i jeśli ma gdzie iść, niech idzie.

— Przysięgnij się — mówił.

I nie ustępował, pókim mu nie dał tej przysięgi. Wtedy, uspokojony już zupełnie, wziął czapkę.

— Ja, bo widzisz, do Walerki się spieszę. Ale ty nie wiesz, prawda. E, mniejszość. To ci innym razem powiem.

Ledwo że za nim drzwi się zamknęły, a ja wyskoczyłem z łóżka i zacząłem się spiesźnie ubierać. W myśli odezwało się dalekie echo ongi zasłyszanych słów:

„Gdy źle ci będzie, szukaj tych, co ci dobrze życzą“.

Echo tak miękko, tak rzewnie te słowa mi powtarza...

Jużem miał wyjść, gdy drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju Michaś. O tej godzinie wracał on zwykle od krewnych z drugiego piętra. Tam spę-

dzał popołudnie i przygotowywał lekcje ze swym kolegą.

— Ty wychodzisz? — zapytał.

Spojrzałem na Michasia i zawahałem się.

— Nie lubisz sam zostawać?

— Nie.

Powiesiłem czapkę na kołek i zostałem. Zacząłem się rozpytywać Michasia o jego sprawy szkolne: o stopnie, o sprawowanie. Czyniłem to z większą niż zwykle, życzliwością. Przyznał mi się, że dostał pałkę, i ja, co zwykle strofowałem go za to, dziś klepię ze współczuciem po twarzy:

— Biedny chłopaku!

Robię sobie w duchu wyrzuty, że tak mało się nim zajmuję, i wpadam w tępe rozmyślanie. Michaś wnet spostrzegł, że dziś jestem „dobry“ i że można mnie „nabrać“. Ciągnie mnie tedy za rękaw i powtarza po kilka razy:

— Kazik, wiesz? Jabym tak chciał mieć piłkę.

Wyjąłem portmonetkę i dałem mu złotówkę, za co zostałem obsypany pocałunkami. Długo nie mogłem wszakże tak wytrzymać i zaczynam prosząco.

— Michaś, duszko, ja muszę wyjść koniecznie. Zostaniesz sam?

— Ee...

— Położysz się spać i zaśniesz.

Zgodził się wreszcie i, jakby rad ze swego postanowienia, rozgadał się na dobre.

— A wiesz? Ksiądz się pytał, czy ja pacierz mówię.

— A ty?

— Powiedziałem, że nie. Ksiądz się gniewał.

- Masz ochotę mówić pacierz?
- A no... mam.
- To mów, duszko. Tylko jak młodzi panowie tu będą... nie wrywaj się z tem. Dobrze?
- Dobrze.

Na ulicy było mokro, wilgotno i tak jakoś ślimaczno, żem się na chwilę zawahał, czy nie wrócić do domu. Pogoda potęguje przykre usposobienie i naprowadza taką gorycz, że bezwiednie skrzywiam usta grymasem znużenia. Przemogła jednak chęć zobaczenia panny Heleny i głucha, niewyraźna nadzieja, zjawiająca się za każdym razem, gdy szedłem do niej. Przebijam się prawie przez gęstą mgłę, wypełniającą tak szczelnie ulice, iż wszystko mi przed oczyma zasłania. Widzę tylko szereg latarni, a raczej bladych żółtych języków, wyrzucających w promieniu stożki bladego światła. Z okien domów wypadają zielonawe snopy światła, krzyżują się wzajemnie i tworzą we mgle mętną mozaikę.

Owijam się szczelnie w palto; starając się opanować przejmujący dreszcz, biegnę przed siebie co raz to prędzej.

„Gdy źle ci będzie, przyjdź do mnie“, — powtarzam te słowa po cichu, chcąc sobie dodać otuchy.

Wreszcie dotarłem do jej mieszkania.

Na schodach zatrzymuję się umyślnie, aby ułożyć sobie, czem wytłumaczę narazie moją wizytę. Gdym pociągnął za dzwonek, serce zaczęło mi bić gwałtownie. Spodziewałem się dziś czegoś nadzwyczajnego. Wstrzymuję oddech i wsłuchuję się z całą uwagą.

Czyżby nikogo nie było? Boże, każdego innego dnia, tylko nie dzisiaj!

Ledwie nie drżącą ręką natrafiłem po raz drugi na dzwonek. Już mnie w gardle coś ścisnąć zaczyna. Idzie.

Ja się dziś rozbeczę. Ja się stanowczo rozbeczę.

Drzwi się nie roztwierają, a ja stoję, jak na rozżarzonych węglach.

— Kto tam? — zapytał wreszcie jej głos.

— Ja...

— Ojca niema.

— To ja, proszę pani. Kazimierz, proszę pani, Zaliwski...

Mówię prędko i staram się być przekonywającym z obawy, by mnie ode drzwi nie odprawiono.

Wreszcie roztworzyła drzwi.

— A, to pan? — zawołała i wnet odsunęła się ode mnie.

— O, jakąście wilgoć przynieśli z sobą. Okropna pogoda.

— Mgła — mówię lakonicznie z pewnym odcieniem tragizmu w głosie.

Zdejmuję palto i wchodzę za nią do pokoju. Tu długi czas nie odzywam się wcale, w części dlatego, że nic wówczas powiedzieć nie potrafiłem, następnie oczekiwałem, że lada chwila zapyta mnie: co mi się stało? czemu taki smutny, lub coś podobnego.

Musiałem mieć wtedy bardzo tragiczny wyraz twarzy, a jednak panna Helena nie zauważyła tego.

— Dobrze, żeście przyszli, — zaczęła, przewracając kartki jakiejś książki. — Dopiero co przeczy-

tałam ciekawe zdanie: jakoby w rozwoju społecznym usiłowania i zamiary jednostki nie miały najmniejszego znaczenia.

Tu poczęła czytać długi ustęp.

Zębami zgrzytałbym ze złości.

— I ona mi teraz cytate czyta — myślałem. Teraz, gdy mnie omal diabli nie biorą. Wszak nie po to tu przyszedłem. Wszędzie te cytaty, wszędzie teorie, nauki i dysputy wyłazą mi, jak upiory, wtedy właśnie, gdy najmniej o nich chcę myśleć. Co mnie po tych tam rzeczach! To co teraz czuję, jest mi ważniejsze od waszych „ustrojów społecznych“, „kolektywizmów“, „indywidualizmów“ — i jak tam się to wszystko nazywa!

Takem myślał i aż mnie coś na krześle podrzucało z oburzenia. A ona?...

Ona z flegmą czytała:

— „Filozof niemiecki przyciągnął tedy teorię ewolucyjną Hegla, teorię tezy, antytezy i syntezy, mniemając, że zdoła ją zastosować do rozwoju społeczeństwa“.

— I cóż pan na to? — zapytała, skończywszy rozdział.

— Tezy syntezy, — powtórzyłem, jak we śnie.

— I antytezy — pomaga panna Helena z ożywieniem.

Z ust wyrwało mi się przeciągłe, prawie że rozpaczliwe:

— Tak, taak... I antytezy.

Panna Helena bierze to za wyjątkowe skupienie nad dopiero co przeczytanym rozdziałem.

— Więc zgadzacie się na to?

— Przyznam się wam, że dzisiaj nie jestem w stanie osądzić. Jestem w fatalnem usposobieniu.

— Pogoda tak działa.

— Tak jest, właśnie. Pogoda ma straszny wpływ na mnie. Przyszedłem prosić tylko o książkę do czytania. Nie mam narazie nic w domu.

Ofiarowała mi tę książkę, z której rozdział ów wyczytała, mówiąc, iż może poczekać, póki ja nie skończę. Rozmawialiśmy potem jakiś czas o panu Walickim, poczem pożegnałem się.

— Jak długo pracujecie już w fabryce. — zapytała w przedpokoju.

— Rok.

— Już rok? Jak to prędko czas leci. Ale, ale, muszę też wam powiedzieć, co mi Zanicz o was mówił: „Z niego będziemy mieli pociechę“, — powiedział.

Znalazłem się znów na ulicy, otulony wilgotną, przejmującą mgłą. Patrzałem na zygzaki świetlane przed sobą, na odległe płomyki latarni, i wracałem do domu wolnym, ciężkim krokiem, niosąc pod pachą rozprawę o heglowskiej tezie, syntezie i antytezie.

Było to, jak powiadam, dnia dwudziestego listopada.

Daty tej póki życia nie zapomnę i obchodzić ją chyba będę jako uroczystą rocznicę. A jednak, gdy w kilka dni potem zastanowiłem się nad sobą trzeźwo, odnalazłem przyczynę mego usposobienia. „Każdy stan psychiczny ma swe fizyczne uwarunkowanie czyli umożliwienie“. Tak powiada nasz polski uczo-ny w... już nie pamiętam tytułu. Była to popularna broszurka z cyklu: „Klucz do tajemnic wszechświata“.

„Fizycznym uwarunkowaniem mego psychicznego stanu była owa niefortunna wycieczka do szynku. Szczerze powiedziawszy, nie udało mi się zbliżenie do ludu. Był to kapitalnie niedorzeczny krok“. Wyperswadowałem sobie mój spleen i dziwiłem się potem, jak to nieraz dziwnie zmieniają się usposobienia. Po dniach zgryzoty następują wprost uroczne chwile. Szukałem lekarstwa u panny Heleny, a znalazłem je u samego siebie. W Wolnych chwilach zrobiłem maszynkę indukcyjną — sam, bez niczyjej pomocy.

Walicki powiedział, że już jestem „na drodze“, a pochwała od takiego człowieka, jak on, znaczy więcej, niż medal na wystawie paryskiej.

Walicki — to genjusz! Mówię to bez wahania i bez zastrzeżeń. Gdy myślę o tem, co się niezadługo stanie, samemu sobie olbrzymem się wydaję.

Dowiedziałem się, co znaczą te lustra i ta maszyna, co ją na dachu ustawiają. On mi to powiedział.

Nowa siła — ot, co to znaczy! Przysiągłem, że nikomu przed czasem nie powiem, i gryzę się w język po dwadzieścia razy na dzień. — Toć to przewrót w całej Europie — w politycznym, społecznym i ekonomicznym znaczeniu.

Nowe źródło siły! — Ha, jakże ta maszynka zaśmieje się nad Napoleonem. A nasi kontuszowi poeci i konserwatywne gryzipiórki?... Ale kto w takich chwilach o drobiazgach mówi.

To będzie naszą odpowiedzią. Kto ma rację? My czy wy? — Błogosławię chwilę, która mi tę drogę wskazała, błogosławię każdego z tych, co mnie do tego namawiali.

Radjometr Cook'a! Czy w tej zabawce podej-
rzywał kto epokę? — Dziwnie ślepo ludzkość nieraz
kroczy. — Takie myśli tłuką mi się całymi dniami po
głowie, a to, co widzę, wprowadzało mnie w nerwo-
wy, niespokojny nastrój.

Po pierwsze — Borwicz siedzi całymi dniami
u Walickiego. Słyszałem, jak raz mówił:

— Panie, choćby duszę, i oddam.

Przyprowadził nazajutrz Lafëra. Ten chodzi nao-
koło maszyny, rozpytywał o szczegóły, wahał na
wszystkie strony, aż wreszcie wyjął książeczkę cze-
kową. Widziałem to na własne oczy.

— Koszty maszyny — pomyślałem.

Nie zwracam obecnie na nic innego uwagi. Na-
wet taką scenę oto puściłem mimo uszu.

— Pan znowu partolisz — nudził raz pocziwy
Walicki.

— Czyż to złe? — pytam zdziwiony.

— Rozumie się, że złe. I jak pan pilnik trzy-
masz? Jak kto *gryfu* nie ma, to już nic nie pora-
dzi.

Nie udało mu się coś tego dnia i złość spędził
na mnie. Pocziwa dusza, tylko nudny, okropnie nu-
dny.

W tem nudzeniu jest zresztą, jak na teraz, co-
kolwiek racji. Przez jakiś nerwowy pośpiech i rado-
sne rozdrażnienie psuje mi się coś od czasu do cza-
su. Przyznaję się jednak do tego otwarcie, bo w tem
niema najmniejszej winy z mej strony. Znam o tyle
„psychiczną machine“ człowieka, by odgadnąć przy-
czynę i siebie usprawiedliwić. Jestem surowy tam,

gdzie na to zasługuję, potrafię być wszakże pobłażliwym,

Mam za to wadę znacznie gorszą, która w tych właśnie czasach zaczyna mnie silniej opanowywać. Pod wpływem tego zajścia historycznego budzi się we mnie znów rezonująca dusza. Codzień wieczorem muszę staczać ze sobą walki, by... powiem prosto z mostu: by nie pisać artykułu.

— Jakież to drobne — myślałem — jakie śmieszne, mizerne wobec tego, co się jutro stać może.

„Człowiek z natury rzeczy jest konserwatystą wstrętnym, brudnym konserwatystą. Jakież to niedo, łęstwo myślowe, jaki to ślimaczy chód nie potrafić przeskoczyć dnia dzisiejszego i tych obecnych dni, by siłą woli i ducha wtłoczyć się odrazu w to nasze jutro“.

To zdanie wypisałem niechcący na marginesie książki.

Nasze jutro — powiadami rozumiem przez to epokę radiometru. — Książek czytywać już nie mogę; gdy ujrzę gazetę, śmiech pusty mnie bierze. Rozpraw Zanicza i jego kolegów słucham w pobłażliwym milczeniu.

Słyszałem na przykład, że jakiś tam uczony dowiódł... (już sam nie wiem, czego on dowiódł), że sławny malarz wymalował nowy obraz. Wszystko to dzisiejsze rzeczy i ja nad tem głowy sobie łamać nie będę.

W podobny sposób filozofowałem całemi dniami. W domu wysiedzieć wieczorami nie mogłem. Potrzebowałem ruchu, życia, gwaru. W głowie mi coś harcowało i przewracało wszystkie klepki. Nie mo-

głem wprost zużyć nadmiaru sił. Nieraz stawałem na środku i rozpoczynałem gimnastykę. Wyrzucę ręce i nogi raz w tył, to znów naprzód, przechylam się podnosząc ciężary, skaczę przez krzesła. Lub też wypisuję nieskończone tyrady na marginesach książek. Któregoś dnia, gdyśmy przyszli do fabryki, warsztaty stały. To huczące piekło w cichy grób nagle się zamieniło. Ludzie snują się po warsztatach, jak cienie.

Trzeba być robotnikiem, by móc to zrozumieć. Tu wprost serce nagle bić przestaje i w tejże chwili błyska myśl, że coś nadzwyczajnego się stało. Nikt o nic nie pytał, wszyscy milcząc oczekiwali.

Kazano przerzucić transmisję na nowe koła. W jednej chwili wykonaliśmy ten rozkaz.

Ktoś z kąta począł dowcipkować.

— Milczeć tam! — zawołało kilkadziesiąt głosów.

W sali zapanowała taka cisza, że słychać było ciężkie sapanie robotników.

Oś u sufitu skrzypiec poczęła.

— Ocho!

Był to cichy, tłumiony okrzyk, wydobyty prawie równocześnie z kilkadziesiąciu piersi.

Wszyscy skupili się na środku sali i pozadzierali głowy do góry. Staliśmy tak może przez dziesięć minut.

Skrzyp powtórzył się po raz drugi.

Tym razem oś obróciła się wyraźnie. Koła u ścian zrobiły pełny obrót i wszystkie maszyny wydały krótki szczęk.

Każdy przeniósł wzrok na swoją maszynę i czekał dalej.

Mija znowu pięć minut. Maszyny uderzyły powtórnie i jak gdyby z wysiłkiem opierały się na miejscu,

— Ścierwa!

— Milczeć tam!

Mija pół godziny. Po sali przenosi się głuchy szmer zniecierpliwienia. Ludzie chrząkać zaczynają.

— Koło zrobiło cztery obroty.

— Oho!

— Masz!

— Bierz go!

— A ścierwa!... — A... ścierwa!...

Znów utknęło. Kolosy żelazne robią ostatnie wysiłki i z zaciętym oporem zatrzymują się na miejscu.

Rozległ się trzask i maszyny popędziły w szybkim tempie.

Grupa ludzi zebrana na środku sali rozpierzchła się w okamgnieniu. Każdy dopadł do swojej maszyny i usuwał z pośpiechem narzędzia w obawie jakiego wypadku.

Ruch osłabł wkrótce i przeszedł za chwilę w miarowe uderzenia, aż wreszcie ustał zupełnie.

— Przerzucić transmisję!

Teraz dopiero powstał gwar nie do opisania. W warsztacie zaroilo się, jak w ulu. Uwagi, wykrzykniki, podziwy, drwiny — wszystko to krzyżowało się z takim pośpiechem, że niepodobna było ani słowa z tego zgiełku wyłowić.

Nagle ucichło: wchodzi Walicki. Pierwszy to raz

widzę go w fabryce bez czapki. Oczy ma jakby załamane, włosy opadły mu na czoło, a twarz cała promienieje radością.

— Brawo, panie Walicki! — odezwał się ktoś.

— Brawo! — powtórzyło za nim kilkadziesiąt głosów.

Walicki uśmiecha się i kiwa głową. Stasiak podchodzi i ściska mu rękę.

— Hura! — zagrzmiało w warsztacie.

Usłyszano ten okrzyk w sąsiednich warsztatach, na podwórzu, w giserni.

I rozległ się potężny okrzyk:

— Hura!...

Przeciskam się i ja do Walickiego. Chwytam trzęsącą się jego rękę i... podnoszę do ust. On zachnął się i chciał coś powiedzieć, lecz w tejże chwili zagłuszyły go wołania:

— Hura!...

Po południu puścili nas do domu. Idę razem z Walickim i nie spuszczam oczu z niego.

On zaś mówi:

— Maszynę zrobiłem, ale niech mi kto tam majdrować zacznie, wszystko przepadło. Rysunków nie robiłem, planów nie mam. Wierz pan lub nie wierz, ale mam to uczucie, jak gdyby za przykręceniem ostatniej śrubki wszystko mi z głowy wyleciało.

Był tak zmęczony, że pociągnął mnie na ławkę pobliskiego skweru. Zdjął czapkę, rozparł się wygodnie i był bliski zdrzemnięcia.

Ja zaś, zwykłą koleją rzeczy, wracam do swoich myśli. Obok entuzjazmu dla pana Walickiego uczu-

wam jakąś ciepłą życzliwość i postanawiam zwierzyć się przed nim.

— Boć dlaczego — myślałem — nie mam mu tego powiedzieć?

— Zajdzie pan dziś do nas? — pyta Walicki.

— Rozumie się — odpowiadam.

A w myśli dodaję:

— On się stanowczo tego domyśla.

— Hela będzie panu rada.

Chyba, że uszy mnie nie mylą. Mnie się wprost wydaje, że ten zacny człowiek, chce mi ułatwić wyznanie.

— Panie Walicki — zacząłem.

— No?

— Ja panu już dawno chciałem powiedzieć...

— No, gadajże pan bez wstępów, co panu pod zebro wlażło.

— Uważam za swój obowiązek powiedzieć panu, że ja pannę Helenę...

— Zakochałeś się pan? Nic dziwnego. Jabył się w niej także zakochał.

— Paniel — krzyknąłem z oburzeniem. — Ja ją bardzo kocham.

— Ho, ho!... Tak energicznie? Więc tu raki zimują? A ja sądziłem, że to dla mnie pan sympatię czujesz...

— Panie...

— I wierz tu w ludzką przyjaźń.

— Panie Walicki...

— No, no! Tylko mi się pan znów nie rozbecz. Gadałeś pan z nią?

— Nie jeszcze, bo...

— Oj fuszer, fusrzer! I to ze mną pan naprzód gadasz?

— Ja to za swój obowiązek uważałem.

— No tak... Ojciec... tego. Bardzo ładnie. A powiedz pan to Helci, to ci zaraz mycie sprawi. Ona bo nie uznaje rodziców razem z tym Żaniczem.

Ujął mnie pod ramię i prowadząc w kierunku domu, mówił niezwykłym tonem:

— O tem dużo będzie można mówić. Tylko nie teraz. Jeśli bo mam szczerze powiedzieć, to z was dwóch, wolę pana. Ale ja jestem ojcem. Hela zaś ojców nie uznaje.

Przy pożegnaniu uśmiechnął się do mnie, jak ongi do Żanicza, gdy go o wojnę pytał i poklepał mnie przytem po ramieniu.

— Serce to pan masz i głowę także, tylko gryfu panu brak.

Wróciłem do domu wściekły.

— I pocom ja to mówił? — pytam samego siebie, po kilka razy na dzień.

Ot, oszalałem wprost z radości i palnąłem kolosalne głupstwo!

VII.

Artykuł mój zdecydowałem się ostatecznie wysłać. Pomimo, że w ostatnich czasach miałem głowę wprost przepełnioną wrażeniami tak, że rady sobie z nimi dać nie mogłem — znalazłem jednak czas i na to.

W duchu łajałem siebie za konserwatyzm, nie-dołęstwo, nieumiejętność wyrzenia poza dzień dzisiejszy, a jednak nłepokój mój wzrastał z każdym dniem od czasu wysłania listu.

Codzień wieczorem, powróciwszy do domu, pytam Michała:

— List jest?

— Niema.

Co to może być? — myślałem. Pewno lichorzecza napisana.

„Dobrze ci tak, — monologowałem w fabryce.

— Nie na toś stworzony, by psuć bibułę. Twoje twarde ręce zdadne do tokarni, a nie do literatury“.

Nie przeszkadzało mi to rzucić Michasiowi tegoż wieczora kategorycznego pytania:

— List pewno jest?

Byłbym może długo czekał na odpowiedź, gdy-

by mi szczęśliwa myśl nie przyszła była do głowy. Pobieglem do cukierni i kazałem podać sobie ostatnie numery „Postępu“.

Szybko przebiegam oczami stronicę i natrafiam na tytuł, któremu wierzyć mi się wprost nie chce:

„Z krainy pięknych słówek. — Bajka przez Kazi-
mierza Z“.

Zasłaniam się gazetą, gdyż czuję już rumieniec i kurcz radości na twarzy, który chwyta mnie zawsze, ilekroć mi się coś przyjemnego zdarzy.

— Z krainy pięknych słówek... Z krainy...

Ze dwadzieścia razy ten tytuł przeczytałem, tyleż razy i moją bajeczkę o filozofie.

W druku to zupełnie inaczej wygląda.

Potem chwyciła mnie taka wdzięczność do dziennika, że przestudjowałem go od deski do deski, nie wyłączając ogłoszeń.

— Zamawiam! — huknął mi nad uchem jakiś stary emeryt.

— Co takiego?

— Co? Gazetę. Przecie, że nie pańską czapkę.

— Aha.

— No, tak. Cóż to, pan, nie wiesz? Za granicą, panie, wszędzie jest ten zwyczaj.

Usiadł przy moim stoliku i pogrążył się w czytaniu „Kurjerka“. Wertowałem „Postęp“ jeszcze przez kilka minut, poczem oddałem go, nie mogąc powstrzymać się od uwagi:

— Panie. co to za dziennik!...

— Eet! Narwańcy. Sami nie wiedzą, czego chcą. „Postęp!...“ Hej, mam go znowu!

— Tu jest niezły artykuł — dodałem i ugryzłem się natychmiast w język.

— Wierz mu pan tam!... Chociaż, przeczytam, przeczytam... Dlaczego nie?

Poczem stuknął palcem w „Kurjerek“.

— A czytałeś pan kronikę? To szelma pisze. Co? he, he...

Skrzywił swą starą, pomarszczoną twarz i chichotał, pokazując bezzębne szczęki:

— O baletnicach, uważasz pan, pisze... Innemu nie pozwoli, ale jemu wolno.

— Język mnie świerzbiał, gdyż na pożegnanie powtórzyłem :

— A niech pan tamto przeczyta.

— Rozumie się. Ja, panie, wszystko czytam.

Wprost z cukierni pobiegłem do panny Heleny. Zostałem ją wraz z ojcem przy herbacie. Przywitała mnie chłodniej niż zwykle, nawet z pewnem roztargnieniem, co nasunęło mi obawę, czy się Walicki aby nie wygadał?

Skorzystałem tedy z pierwszej sposobności i wzięłem go na stronę.

— Pan mówił o tem z panną Heleną?

— O czem znowu?

— O naszej rozmowie.

— Bzika pan dostałeś? Będę dziecku ćwiek w głowę wbijał?

A więc nie to. Zachodzę w głowę, co może być przyczyną tej zmiany.

— Zanicz dawno był u państwa? — pytam.

— Dziś ma przyjść.

Spadam nagle z piedestału. Z przed oczu ginie

mi tytuł: „Z krainy pięknych słówek“, a zamiast tego występuje twarz Żanicza. Spoglądam z wyrzutem na pannę Helenę i czuję, że ona tego nie spostrzega, lub też udaje, że nie widzi.

Żanicz nie każe długo na siebie czekać. Oto wchodzi do pokoju z torbą naukowych, politycznych i ekonomicznych nowości. Rozmarzył tem wkrótce pana Walickiego, który wedle zwyczaju, przeszedł do drugiego pokoju, pożegnawszy nas zdawkowymi komplementami.

Zaczynam lustrować Żanicza krytycznem spojrzeniem i zadaję sobie wciąż jedno pytanie:

Jak ona mogła w tym wiórze zagustować?

Po niejakiem czasie przekonuję się, że moje domysły nie są zupełnie usprawiedliwione. Nie przypuszczam w pannie Helenie zdolności politycznych i to, że Żanicza traktuje na równi ze mną, nasuwa mi pewne wątpliwości.

Wkrótce zamienia się ta wątpliwość w słabą nadzieję. Życzę Żaniczowi, by się udławił swym traktatem i wyniósł z pokoju.

Jak ta mała drażnić mnie zaczyna!...

Panna Helena mrukliwa i roztargniona przez cały wieczór, odzyskała nagle humor: stała się ożywioną, gdy m zręcznym manewrem przeciął tyradę Żanicza i zwrócił rozmowę na radjometr. Wpadam w werwę i recytuję bezwiednie te uwagi, jakimi zapisywałem marginesy książek. Jej podoba się to widocznie, gdyż uśmiecha się do mnie co chwila.

— O tak—woła.— Ma pan rację.

Żanicz nasrożył się, puścił w młynek swe binokle i porusza wargami niecierpliwie.

Panna Helena przerywa mi w środku zdania i chwyta mnie za rękę.

— Chcecie zobaczyć jego fotografię w waszym wieku?

— Jego fotografię w moim wieku, — powtórzyłem w myśli i widziałem w tem dobry dla siebie prognostyk.

Wyjęła z komody album i pokazywała nam po kolei wszystkie stadja, przez jakie przechodził pan Walicki. Tu miał lat dwanaście, tu dwadzieścia pięć (fotografował się w dzień ślubu), ostatnia fotografia z przed roku (wtedy gdy to nosił się z myślą o radjometrze). Wpada na tory opowiadań rodzinnych i pokazuje nam wszystkie ciocie, babcie, wujenki. Przy każdej osobie następuje małe opowiadanie, w którym jako bohater figuruje jej ojciec.

— Tu pan Walicki przypomina zupełnie mego ojca — zwróciłem się do Zanicza.

— Wszyscy ojcowie są do siebie podobni.

Ona zaś zapytała roztargnionym głosem:

— Podobny?

I przeszła natychmiast do radjometru, wtajemniczając nas w historię jego powstania.

Stoimy z Zaniczem naprzeciw siebie i słuchamy z rezygnacją nieskończonych sprawozdań panny Heleny. Raz jeden podniosłem oczy i spotkałem jego wejrzenie. Niemądrze musieliśmy oba wyglądać.

Przy rozstaniu odzyskał Zanicz mowę i wtrącił uwagę o groźnej filipice między dwiema gazetami.

— Otóż to — odpowiedziała jemu panna Helena. — Gdy jedni wielkie dzieła tworzą, inni smarują bibułę.

— A to zjadła Zanicza! — przemknęło mi w myśli i w tejże chwili przypomniałem sobie swój artykuł.

— Co? kto? — zapytałem niespokojnie.

A dusza w pięty mi ucieka.

— A no, tamci.

Więc nie wie. Chwała Tobie Boże.

Postanowiłem sobie w duchu, iż nigdy w życiu nie przyznam się do swego artykułu. Całe szczęście, że była wtedy wyłącznie ojcem swym zajęta.

Był to wszakże ceber zimnej wody na łeb mi wylany. Podziałał on tem silniej, że w duchu przyznawałem jej rację.

Nadszedł wreszcie list, wzywający mnie do redakcji „Postępu“. Poszedłem tam z niechęcią, ale poszedłem.

Dano mi do zrozumienia, że będę chętnie widziany w gazecie. Ja zaś odpowiedziałem sucho i bodajże opryskliwie, że pisać nie umiem, a że tamto było tylko wypadkowo, prawie że nie chcący.

— Jestem ślusarzem, proszę pana. Pracuję w fabryce Borwicz, Szwineiger, Lafère i Spółka, pod kierunkiem technika, pana Walickiego (Może pan słyszał?). Widzi szanowny pan, że... Przepraszam pana, ale spieszę się do roboty. Mam właśnie werniksować. Obstałunek śpieszny.

Redaktor nie spodziewał się znaleźć takiego ptaka. Zdziwienie jego bawiło mnie i pochlebiało mi zarazem. Wyraz „werniksować“ wywarł takie wrażenie, że pożegnany zostałem bardzo uprzejmie, lecz i bardzo śpiesznie.

Dziś dopiero godny jestem stać się uczniem Walickiego, — myślałem, śpiesząc do fabryki.

Minęło jeszcze kilkadziesiąt dni tej epoki. Pracuję wciąż jeszcze nie najlepiej. Bywam za to w świecie. Niema nadziei, by mnie gdzieś nie zaciągnięto. Po mieście krążą już głuche wieści i one to sprawiają, że przyjmowany zostaję wprost owacyjnie. Widzą we mnie młodą latorośl dzielnego szczepu.

Gdy się nad tem zastanawiam, odnajduję w tem, coś niezupełnie miłego. Ukrywa się tu jakieś nieporozumienie, czy dwuznaczność. Odpowiedniego słowa nie znajduję na to.

W towarzystwie jestem niby pierwszą osobą, a w fabryce bodaj, że...

Ostatnią niby nie. Ale to zawsze nie to, co pośród inteligentnych ludzi.

Jestem w ostatnich czasach niezupełnie zdrów. Wieczorami nie mogę czytywać, sypiam za dużo, a wstać z łóżka jest dla mnie męczarnią. Na domiar złego, śnieg wali całymi dniami. Pomaga mu wiatr i spędza środek chodników góry śnieżne, przez które z trudem trzeba się przedostawać. A już to samo zmęczyć może.

W warsztacie poustawiano jakieś bańki z niebezpiecznym płynem i każą na palcach koło tego chodzić.

Któregoś dnia kręcono się więcej, niż zwykle. Przyjechało kilku inżynierów, zjawił się tajemniczy Anglik. Wszyscy przesiadują z Walickim koło jego maszyny, która wygląda zdaleka, jak olbrzymi wiatrak.

Aż wreszcie piętnastego grudnia zdarzyło się to, com najmniej brał w rachubę.

Byłem wtedy zły i dłużyłem tam coś na to tylko, by mieć ręce zajęte. Mordowałem robotę, jak mówią robotnicy.

Nagle zrobiło mi się mdło i w oczach pociemniało.

Śwąd, czy co?

I innych to uderzyło. Czuć coraz to silniejszy śwąd. Kilku robotników naraz oderwało się od roboty i wyskoczyło do drugiego pokoju. Inni rzucili się otwierać okna.

Próbuję i ja swoje otworzyć, lecz w tejże chwili zadudniło mi coś w uszach i jakby mnie kto w czaszkę z całych sił uderzył.

Jeszcze raz powtórzyło się to samo i po raz drugi uczułem to uderzenie.

Instynktownie wyskoczyłem na środek. Tu pchnięto mnie silnie i widzę, jak gromada ludzi biegnie na mnie. Pędzą co tchu starczy. Już jestem przy drzwiach.

Trzeci huk.

Ścisnięto mnie ze wszech stron tak, że ledwo oddycham. Przed sobą widzę twarz jakąś, jakby obłąkaną z przerażenia. Zrenice wywrócone, nozdrza rozszerzone, a w oczach strach okropny się maluje.

— Matko Boska, zlituj się — szeptał, ledwo że poruszając wargami.

Z drzwi, w których ścisnęliśmy się kupą, buchnął kłęb ciemnego, jak sadze, dymu.

— Matko Boska! — krzyknął człowiek, stojący koło mnie i uciekł.

Za nim biegną wszyscy do drugich drzwi. W po-

koju zatętniało, jakby stado koni przebiegło. Mnie znowuż popchnięto. Potykam się o coś i padam na podłogę.

— Matko Boska! — powtarzam bezwiednie i zdejmuję mnie straszny lęk.

Już nie wiem, co było dalej.

— Chodź!... Poszedł!... Dalej!...

To potem usłyszałem. Instynkt mną już kierował, gdyż jak kot skoczyłem ku drzwiom i przebiegłem w dymie nieznane mi przejście. Pchnęła mnie czyjaś ręka i znalazłem się na schodach. Kieruję się tymże instynktem: kładę się na piewszym stopniu i staczam się na dół.

Dym gryzie mnie w gardło i oczy prawie wypala. Wtem jasność mnie oślepia. Z trudem, podnoszę powieki: przede mną ogień. Już wstrzymać się nie mogę i toczę się wprost w płomienie.

— Jezusie, Marjo! — krzyknąłem.

— Jezusie! — powtórzył za mną czyjś głos.

Skurczyłem się i zamknąłem oczy. Przetarło mi się po twarzy i po rękach coś ostrego i upadłem na ziemię.

Spadł na mnie w tejże chwili jakiś ciężar.

.

Leżałem na czerwonym płótnie. Wyraźnie na czerwonym. Próbuje dotknąć — zimne. Biorę w rękę i poznaję że to śnieg. Podnoszę z trudem głowę i widzę ulicę przez otwartą bramę. Zajaśniało coś zdaleka, rozległ się turkot i szereg wozów z pochodniami mignął mi przed oczyma. Trąbka gra śpiesz-

nie, słyhać oderwane, krótkie okrzyki. Wozy zataczają kołem i wpadają do fabryki od drugiego podwórza. Wnet za nimi wpadł jeszcze jeden oddział.

Przeraźliwe świstki głównej maszyny ogłuszają mnie narazie. Ktoś nieprawny schwycił przytem dzwon i dudni nim bez końca.

Pali się.

Z okien parterowych dobywa się ogień. Z pierwszego piętra wałą kłęby dymu.

— Na book!...

Na czworakach popelzłem dalej, usuwają się przed sikawką. Słyszę znowu trąbkę i znów przeleciał szereg wozów.

Naokoło wszystko czerwone, a po tym zabarwionym śniegu snują się śpiesznie czarne sylwetki ludzi. Ulica jasna jak za dnia. Widzę na niej tłum gapiów.

— Pali się! pali! — krzyczą przed bramą.

A gdy ogień wyżej strzeli, wtórują mu przeciągłym wrzaskiem:

— Oo!...

Chwytam garść śniegu i nacieram mozolnieskronie. Po jakimś czasie przychodzę do siebie i mogę powstać.

Całe skrzydło fabryki w płomieniach. Okna to paszcze, przez które bucha co chwila ogień poprzeczany kłębem dymu. — Obok syku ognia, komendy strażackiej, krzyku robotników, parskai koni i głuchego zgiełku za bramą słyszę miarowe, silne uderzenia młota, bicie bormaszyny, skrzyp tokarni, świst piły parowej. Ogień pożera wszystko, otulił już cały budynek, a potężne maszyny poddać się nie chcą.

W pełnym biegu obracają się wartko, huczą głośniej niż zwykle, jak gdyby drwiły sobie z potężnego żywiołu. Co chwila łupnie młot nie powstrzymany niczyją ręką, hebel przesunie się po łożysku i trze niezmordowanie jakąś płytę, piła wcina swe zęby w kawał belki, co, urwawszy się od sufitu, przypadkiem na nią spada. — Maszyny pozbyły się dozorującej ręki i sprawiają sobie w ogniu taniec swawolny. Młot, zda się, krakowiaka w takt im wybija.

Z okien drugiego piętra posypały się iskry, przeleciały nad głowami ludzkimi i zgasły z sykiem w śniegu. Za nimi wypadł płomień, ślizgał się po framudze, próbując się uczepić i cofnął się napowrót. Po chwili wyleciały dwa ogniki. Reszta szyb pęka i pada z brzękiem na ziemię.

Wnet znalazła się drabina i dwie czarne postacie, jak dwa koty, wdrapały na górę. Wałą siekierami w belkę póki ta się nie zwali i porywając kawałek muru, nie stoczy się do środka.

Blask czerwony, co rozlał się po całym podwórzu, znika nagle. Przez chwilę znajduję się w ciemności...

I w drugim końcu budynku strzelił płomień do góry. Ten chwycił odrazu za górną belkę, wpadł na dach i spędził stamtąd kilku strażaków.

— Oo!... — zahuczano za bramą.

Krótką komenda — i strumień wody polał się z szumem na niego.

— Na book!... — wołano za mną.

Na marach niosą dwie zczerniałe belki.

Co to znaczy? — myślę i podchodzę bliżej.

To dwa ludzkie trupy, takie skurczone i zmala-

że, że wziąłbym je za trupy dzieci, gdyby nie to, że jeden blaszankę trzymał w ściśniętej pięści...

— Na book!

Drugie mamy mary. — Tu jeszcze człowiek i jeszcze żywy.

Właściwie dwaj obok siebie. Obaj wyją z bólu.

— Do pompy, gapiu! — huknął ktoś na mnie.

Oglądam się: tuż za mną stoi pompa. Chwytam za jedno ramię, choć było już przy niem troje ludzi. — Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie czuję, tylko z całych sił ciągnę za ramię. Od czasu do czasu oślepi mnie śnieg, który nagle przybierze jaskrawszy odcień, lub łuna co pokryła kawał nieba i drga światłem, odbijając w ten sposób grę płomieni.

Jak długo pracowałem przy pompie — nie wiem. Wreszcie odepchnięto mnie.

Ludzie, którzy dawniej stali za bramą, zaczęli się cisnąć na podwórze. Widać sylwetki kozaków oczyszczających plac od gapiów.

Mało to jednak pomaga. Ścisk coraz to większy i niezadługo tłum pierścieniem otoczył budynek.

— „Na publikę!“ — odezwała się krótka komenda.

I strumienie wody zmieniły nagle kierunek, zatoczyły kołem nad głowami ciżby i powróciły do ognia. Tłum odpowiedział długim, przeciągłym szmerem i usunął się dalej.

Potężny żywioł pożera po woli budynek. Maszyny stoją. — Wiatr rozłupał na chwilę płomień w jednym miejscu i utworzył szczelinę, przez którą widać szereg ogników, ślizgających się po podłodze. —

Wreszcie wali się pierwsza maszyna, przebija swym ciężarem sufit pierwszego piętra i wpada do piwnicy.

Ziemia się zatrzęsła pod tem uderzeniem.

Natomiast skierowano tam sikawki i to, czego nie przytłumiła maszyna, dogasiła woda. W tem miejscu ognia już niema, tylko kłęby dymu i sadzy unoszą się do góry.

Niezdługo wali się następna maszyna. — I tak jedna za drugą, pokonane, zwyciężone, staczają się aż do piwnic, by swym ostatnim przedśmiertnym ruchem dusić swego wroga.

W tym zamęcie zostałem wepchnięty w kąt i przyparty do komina giserni. Ustępując przed naporem, wchodzę na schody i siadam, wycieńczony, na najwyższym stopniu.

Rozległy widok ujrzałem stamtąd.

Łuna — to całun szkarłatny zarzucony na całe miasto. Dachy sąsiednich domów, pokryte grubą warstwą śniegu świecą odbitym blaskiem. Naokoło zwarta, ciemna masa — to tłum ciekawych. Dalej ulica, przez którą biegą spóźnieni gapie. Tam znowu fabryki okoliczne z wysuniętymi kominami, jakby zdziwione, osłupiałe i zgrozą przejęte. — Druga ulica kołem otacza kilka niskich domków robotniczych. Na chodnikach gromady bab i grupy dzieciaków stoją jak wryte, patrzą jak płomień pożera fabrykę, jedyną ich ucieczkę. Środkiem ulicy snują się dorożki, powozy i wolanty: publiczność corso dokoła widowiska urzęda.

Tuż przed bramą sterczą cztery suche, wysmu-kłe topole, jako cztery widma śmierci...

VIII.

Obudził mnie płacz kobiety. — Unoszę z wysiłkiem głowę i spostrzegam, że leżę na słomie. Naokoło leżą ludzie z obwiązanymi głowami, z bandażami na rękach i na nogach. Po prawej stronie klęczy jakaś baba przed posłaniem i szłocha. Nade mną jegomość w urzędniczej czapce wydaje rozkazy stójkowemu.

— No? — zapytał, spostrzegłszy moje przebudzenie.

— Nic — bąknąłem, nie zdając sobie jeszcze sprawy z położenia.

— Kiedy nic, to i dobrze. Możecie wstać?

Wstałem i zatoczyłem się jak pijany.

— Nic mi nie jest — mówię do doktora.

Ten ujął mnie za rękę i dopiero teraz spostrzegłem, że mam bandaż na ramieniu.

— Boli? — zapytał, widząc me skrzywienie. — Na boku macie okład. Nie zdejmować tego i bandaża nie ruszać. Jutro zrana przyjść się pokazać.

Zapisał moje nazwisko, rodzaj zajęcia, numer mojej maszyny i kazał iść do domu.

Przechodzę szpalerem między dwoma szerega-

mi posłań i wzrok mój pada co chwila na znajomą twarz. Niejednego z trudem poznaję. Strupy i rany na policzkach, miejscami gołe mięso, i to wszystko jakby mąką zasypane. Niektórzy mają otwarte oczy i patrzą ławym smutnym wzrokiem.

— I tegośmy się doczekali — zdają się mówić.

Wydostaję się wreszcie z tego grobu. U drzwi zebrała się już gromada ludzi i wita mnie przyjaznym szmerem. Spostrzegam Andrzeja i idę wprost na niego.

— Jesteś? — krzyknął, zobaczywszy mnie.

— Walicki? — pytam.

— Żyje.

— Stasiak?

— W szopie.

— Antoni?

— Nie wiem.

— Józef?

Machnął ręką.

— Ot!

— Nie żyje?

— To bydlę zabłąkało się w korytarzu. Tak i znaleźli dziś zrana. Zczerniały, zwęglony, a taki maluśki!... Myślą, że to będzie Józef.

Zwiesiliśmy obaj głowy w zadumie. Andrzej nie mógł darować nieboszczykowi i wymyśla na niego.

— Zabłąkał się jak w lesie. Chłopska natura. Bodaj go!...

— Co teraz będziemy robili? — pytam Andrzeja.

Zastanowiło go to pytanie. Podrapał się w głowę i wycedził z wolna:

— A no...

Zrazu chciałem iść do fabryki. W porę przypomniałem sobie Michasia i powlokłem się do domu.

Znalazłem go u krewnych na drugim piętrze. Do szkoły iść nie chciał, siadł sobie w kącie i beczy. Gdy wszedłem do pokoju porwał się z miejsca, rzucił mi się na szyję i tu rozszołał się na dobre.

Wziąłem go na kolana i uspakajałem, jak mogłem.

— Tyś się Kazik nie spalił? — pyta i popłakuje od czasu do czasu. — Kazik, spaliłeś sobie rękę? Co, Kazik?

Położyłem się do łóżka i powoli skupiam szczątkowe wrażenia. Obraz wczorajszej klęski odbił mi się tak wyraźnie w myśli, że aż oczy zmrużyć musiałem. Zdawało mi się, że patrzę na oślepiający ogień.

Mnie cud wczoraj ocalił, a właściwie ten instynkt, co nigdy nie opuszcza człowieka wobec grożącego niebezpieczeństwa. Dziś, na trzeźwo, nie potrafiłbym rzucić się w ogień. Oto wzdrygam się na samą myśl o tem. Tylu ich tam zginęło, Józef i Chojnacki spalili się jak drzazgi, inni, kalekami na całe życie zostali. Losowi spodobało się mnie ocalić.

Ta myśl rzewność za sobą prowadzi. Czułbym się szczęśliwym, gdybym mógł komu podziękować za to.

Biedny Józef! — marzę napół sennie. — Walicki... co on teraz robi...

Widzę przed sobą znów płomienną masę, jakby lawę, co płynie szerokim łóżyskiem i pędzi wprost na mnie. Uciekam co sił starczy i spostrzegam przed sobą, jako jedyną drogę, palące się schody. Teraz

mną rozsądek kieruje i śmierć niechybną, straszną, nieubłaganą stawia mi przed oczyma, a skoczyć na płonące schody nie pozwala. Staję jak wkopany, a fala ognistej lawy płynie coraz bliżej i bliżej...

Przespałem snem gorączkowym kilka godzin. Zerwawszy się z łóżka pobiegłem natychmiast do fabryki.

Brama otwarta naoscięż, jak to zwykle przy nieboszczykach bywa, a koło niej tłum pogrzebowych gości — z ulicy. Przy wejściu na podwórze wionęło na mnie pustką. Narazie nie śmiem podnieść oczu od czerniałego, sadzą zasypanego śniegu.

Pożarem dotknięte zostało tylko prawe skrzydło, w którym mieściły się warsztaty mechaniczne. Główne jego ściany sterczą z bezładnej kupy pogorzelska nagie, popękane i ociekłe wodą. W niektórych miejscach popękał mur w koszlawe zygzaki i potworzył jamy, przez które przejrzeć można było do wnętrza. — Ze środka wciąż jeszcze się dymi. Kilku strażaków nieustannie pompuje wodę na zgłiszczą i bacznie zagląda, czy iskra się gdzie nie pokaże. Maszyny utworzyły wielką bezładną kupę, leżą jedna na drugiej w jak najdziwaczniejszych pozach. Niektóre z nich czynią wrażenie, jakby o pomoc jeszcze wołały, inne zwały się ciężko i legły sztywnie i dumnie na ziemi, tamte znowuż sztorcem utkwily, te na bok się przechyliły, kilka pokryły zupełnie cegły, żużel, przepalone belki.

I ten martwy widok mówi o rozpaczliwej obronie i długiej agonii. Jakby na urągowisko ocalała część z prawej strony i w niej dwie tokarnie, w zupełnym porządku.

Woń spalenizny taka silna, że ludzie długo tu pozostawać nie mogą. Popatrzą, pokiwiają smutnie głowami, mrukną kilka razy: „mój kochany Boże, i wracają, skąd przyszli.

Szwineiger siedzi na belce i zapisuje coś gorliwie do notatnika. Borwicz skacze jak kot po zgłiszczach i przeklina, na czym świat stoi. Przybiegł i Lafère — zły i roztargniony. Stanął przed zgłiszczami, skrzywił się, pociągnął kilka razy nosem i wycedził zwolna:

— Pięćkroć sto tysięcy.

— Dwieście ubezpieczenia — dorzucił Szwineiger, nie podnosząc oczu od notatnika.

— Trzykroć sto tysięcy — powtórzył jak echo Lafère.

— Towarów na pięćdziesiąt.

— Trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

— Można budę zamknąć — zawołał rozpaczliwie Borwicz.

Podjął kilka kamyków i począł je rzucać przed siebie.

— Ładny grosz.

Anglik, który dotychczas się nie odzywał, spojrział bystro na Lafèra i rzekł stanowczo:

— Za miesiąc stanie nowa.

Wspólnicy skupili się koło Anglika. Szwineiger zląkł nawet z belki i, idąc ku niemu, uderza palcami w dłoń i woła:

— *Geld! Geld!*

— Znajdzie się.

Nawinał się tu i Andrzej. Opowiedział mi, iż wraca z kasy, gdzie zrobił obrachunek i dziś jeszcze

mówi będzie „adiu Fruziu!“ Chcieli mu pono zmniejszyć płacę, on w odpowiedzi „naurągał- Szwineigeroi“.

— Gadają, że fabryka teraz mniejsza. Mnie bez to nie mniejsza robota. Jeszczem ja na świecie nie zginął. O-la-la!

Począł mnie namawiać, bym szedł czempredzej do kasy i żądał zwrotu kaucji.

Jutro mogą mi robić trudności, a na robotę nie mam tu co liczyć.

W innym razie nie zrobiłbym może tego. Dziś wszakże pod wpływem słów Andrzeja, wstąpił we mnie praktyczny duch i zdecydowałem się upomnieć o swe pieniądze, nie żądając wszakże płacy za ostatnie dwa tygodnie.

— Trzeba mieć na nich wzgląd — myślałem.

Zbyt było jasnem, iż zostanę teraz bez roboty. I kto wie na jak długo? W kieszeni mam wszystkiego dziesięć złotych, a to cały nasz majątek: mój i Michasia.

Nie lekko mi było na sercu, gdym wchodził do kantoru. Po raz to pierwszy w życiu upomnieć się miałem o pieniądze. Uważałem to zawsze za coś nieładnego, a tem bardziej teraz — nazajutrz po takiej kłęsce. Nic mi wszakże innego nie pozostaje do czynienia, z uwagi choćby na Michasia.

Koło okienka kasy tłoczy się kilkudziesięciu robotników z warsztatów mechanicznych.

Oto interes likwidują — pomyślałem. Akcjonariusze pracy zjawiają się ze swemi akcjami „fircen-tagu“.

Ten widok odejmuje mi resztę odwagi i nie po-

trafię wprost ułożyć sobie zdania, z jakim się mam zwrócić do Szwineigera.

— To wprost nieszlachetnie — mówię do Andrzeja.

— Co? Nieszlachetnie? Widzisz go, szlachcicu! A żyć będziesz chciał?

Nadchodzi wreszcie Szwineiger.

— Pan sobie życzy? — pyta.

— Przepraszam pana, ale... tego...

— Mów pan prędzej, bo nie mam czasu.

— Jestem zmuszony z braku funduszków prosić o zwrot... kaucji.

Poczerwieniałem po same uszy i opuściłem wzrok na dół.

— Kaucji?

— Tak jest. Właściwie, bo...

— Aha... Chodźno pan ze mną.

Wziął mnie ze sobą do gabinetu, kazał mi siąść na krzesło i wyciągając jakiś papier z szuflady, pyta:

— Ileś pan dał?

— Pięćdziesiąt rubli.

— A na ileś pan zepsuł?

— Zepsuł?...

— Toż to właśnie.

— Nie wiem, proszę pana.

Ciepło mi się robić zaczyna.

— Ale ja wiem — mówi Szwineiger.

Bierze kartkę ze stołu i czyta:

— Cztery krany, trzy statywy do ręcznych pras, dwanaście kweczchanów.

Już mi zimno i ciepło na przemian. Gdyby było

można, porwałbym się z miejsca i uciekł, nie oglądając się za siebie.

Szwineiger czyta dalej:

— Sześć libeli, dwa winkelmesery, dwa gryfy do elektrycznego klucza, jedna statywa do aparatu Stucera...

Mrowie mnie po ciele przechodzi, gdy słucham tej litanji. Każde jego słowo to chlaśnięcie bicia. Nigdy, przenigdy nie byłem tak upokorzony. Za każdym wyrazem kłuje mnie coś w piersiach, a wstyd o mało, że nie spali mi policzków. — To jakby ktoś bez końca powtarzał: „osioł, osioł, osioł“, a ja odpowiadam: „racja, racja, racja“. — Nie widziałem tego dawniej, nie czułem, nie rozumiałem tych małych przewinień, rozproszonych w ciągu półtora roku. Ale był ktoś, co je skrzętnie spisywał, jakby na to, by mi potem cisnąć w oczy: patrz, coś wart!

Szwineiger wciąż czyta:

— Jedenaście mosiężnych śrubek, trzydzieści dwie... słyszysz pan? trzydzieści dwiel...

Wyrwałem mu kartkę z przed oczu i podarłem w drobne kawałki.

Precz z tem świadectwem niedołęstwa, głupoty i hańby mojej!

Gotów byłbym połknąć te ćwiartki, by zniszczyć ten ohydny protokół życia.

Szwineiger osłupiał ze zdziwienia.

— Pan masz rację — wołam. — Pan ma... ma... ma...

Bez końca powtarzam tę zgłoskę.

On uśmiecha się niewyraźnie i chcąc mnie widocznie zgnieść ze szczętem, dodaje:

— Borwicz i Walicki nalegali, by panu płacić trzy złote dziennie, dla zachęty.

I gdy mnie już spłaszczyl i prawie, że nogami pokopał, mruczy pod nosem, jakby pociechą.

— *Fatal! fatal!* Nie pańska to była rzecz. Walicki mówił, że pan nie masz gryfu. W kantorze znaleźlibyśmy dla pana bardzo ładne zajęcie.

Prawda, i Walicki mówił. A wtedy śmiałem się z niego, bom miał jeszcze nadzieję: „Osioł — osioł — osioł!” — „Racja — racja — racja!” Wpadam w dziwny stan. Odczuwam zeszytnienie fizyczne, potem jakby mnie kto lechtał po krzyżu. Stoję oto przed Szwineigerem jak skarcone zwierzę i słucham, jak on rozprawia o Walickim. — Wreszcie wpadają mi w ucho te słowa:

— Francuz dał się wziąć na kawał z tym radjo-metrem. *Dummheit!* Gotów byłbym przysiąc, że to dynamo obracała podczas próby.

— Panie, to...

— Ha, ha, *lieber Freund*. *Passiert schon*, zdarza się. Gdybym miał przysiąc, że ten ogień jest sprawą czystą...

— To znaczy?! — zapytałem takim głosem, że Szwineiger cofnął się o kilka kroków.

— *Ich sage nichts*. Niech pan idzie. Z nami *aus*. Koniec! Skończone! *Fertig*..

Zadzwonil na szwajcara.

Oburzenie głos mi odebrało. W jednej chwili znalazłem się na podwórzu.

— Jest tu Walicki? — pytam pierwszego robotnika z brzegu.

— A toć od rana siedzi i patrzy na swój wiatrak.

Wskazał mi na jakąś postać siedzącą na kamieniu.

— To nie on.

— Posiwał trocha bez tę noc. Maszyna mu się spaliła.

Zachodzę z przodu i zaglądam mu w twarz.

Boże wielki! — Ten siwy człowiek z obłąkaną twarzą — to Walicki?

On podjął głowę i swe głęboko zapadłe oczy skierował na mnie. — Spazm chwycił mnie za gardło i stanąłem jak wryty. Utkwiłem wzrok w niego i długo patrzymy tak na siebie. Wreszcie on odzywa się.

— Stracone...

I łzy potoczyły mu się po twarzy.

Przesiedziałem tu do wieczora, nie spuszczać ani na chwilę wzroku z pogorzeliska.

Ruiny, szczątki — zgłiszcza!... I maszyny i nadzieje w nie włożone i przewrót Europy — wszystko się spaliło.

Zgłiszcza — tylko zgłiszcza. Dym i para dobywa się z nich jeszcze, choć się to wczoraj dopiero stało. — Strażacy szukają zarzewia. Późna praca! — Tu już nic więcej spalić się nie może...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA

I.

Walicki odebrał sobie życie.

— Są może ludzie, którzy takie rzeczy umieją przewidywać i zapobiec złemu, dla mnie było to niespodzianką życiową, że gdy wpadł do mnie zadyszany Andrzej i krzyknął:

— Kazik, bój się Boga, Walicki się obwiesił!

Odpowiedziałem mu narazie:

— Kłamiesz!

Musiał mi to dwa razy powtórzyć, zanim uwierzyłem. Wtedy dopiero klusem puściłem się przez ulicę, rzucając Andrzejowi krótkie pytania.

— Kiedy?

— W nocy.

— Nie żyje już?

— Nie.

— Co robi panna Helena?

— Krzyczy, spazmuje. Okropności!

— Doktor był?

— Był, kiej już ciało stygło.

Przechodnie usuwają się nam z drogi i patrzą na nas jakby ze współczuciem. — Nareszcie wpadliśmy do mieszkania.

I tu już dużo ciekawych się znalazło, jak wtedy przed fabryką i przed szopą: zwietrzyli nieszcześnie.

To chyba pierwsza okropna wskazówka rzeczywistości. Drzeć już zaczynam, gdy patrzę na ich niby smutne a ciekawe twarze.

Andrzej wepchnął mnie prawie gwałtem do pokoju. I tu go ujrzałem: wynalazcę radjometru, twórcę nowej epoki. Na łóżku leżał wyprężony, ze wzdętymi sinemi policzkami, z napół rozchyłonymi wargami, błędnymi oczami, utkwionymi uroczyście w sufit. Głowa w tył się przechyliła, ręce w pięści ściśnięte, nogi sztywno wyprostowane: to śmierć prawdziwa, nieomylna. Tłumaczy ją mały rzemień okręcony o szyję.

— Na tym haku — mówi Andrzej, wskazując na sufit.

Patrzę na sufit, a w głowie jak grzechotką mi kołacze:

— Czemu on to zrobił? Czemu?

— Kartka jest — mówi Andrzej.

Na małym świstku papieru drżącą ręką wypisane były słowa:

„Szwineiger kłamie. To nie była dynamo... Helu, dziecko moje, nie przeklinaj mnie. Kazimierz, nie zapominać o sierocie. Mnie ktoś tamto z myśli wydarł. Nie wiem... nic“.

Do pokoju wszedł jakiś obcy człowiek i zwrócił się do mnie po niemiecku z zapytaniem, czy jestem synem zmarłego.

— Profesor — szepnął do ucha Andrzej.

Przybysz popatrzał na trupa badawczo, ujął go

pod brodę i spojrzał mu w oczy, jakby w nich ostatnią myśl chciał wyczytać.

— Maniak — mruknął do siebie.

Andrzej nie zrozumiał dobrze, a obcesowość profesora nie podobąca mu się.

— Czego? — bąknął.

— Maniak.

— Co on plecie? — zwrócił się Andrzej do mnie.

Profesor wzruszył ramionami i rzekł:

— Radjometr? Boże kochany! Dziwak, dziwak...

Kazał sobie przetłumaczyć ostatnie jego słowa. Usiadł potem u nóg trupa i zamyślił się głęboko.

Pogrzeb odbył się na trzeci dzień z kaplicy Dzieciątka Jezus. Za karawanem szło kilkunastu robotników, panna Helena, ja z Michasiem i profesor. Ten przybył do Warszawy na nieustanne prośby Lafëra. Jechał, śmiejąc się w duszy, w nadziei, iż zobaczy kilkunastu warjatów wynalazców nowego *perpetuum mobile*. Przyjechał i ot co zastał: zamiast historycznej maszyny kupę śmiecia, a zamiast geniusza — trupa. To złośliwe zarządzenie losów sprawiło, że spoważniał. Całymi dniami przesiadywał nad trupem, rysował, wyliczał i zwracał się co chwila okrążających łóżko.

— Maniak-psychopata.

Ci nie rozumieli i odpowiali na uwagi pobożnem westchnieniem.

Poszedł nawet na pogrzeb, czem zjednał sobie niesłychanie Andrzeja i jego towarzyszków.

— Szwab jest — mówił do Stasiaka, — ale porządny człowiek.

Kazali mu iść za karawanem, tuż obok mnie i panny Heleny, sami zaś szli zbitą gromadką o kilka kroków dalej.

Prowadzę pannę Helenę pod rękę i widzę przed sobą tylko czarne frendzle karawanu, wlokące się po ziemi. Chwilami strąci który z karawaniarzy popiół z pochodni i budzi mnie tem z zamyślenia. Przyciskam silniej ramię panny Heleny i czuję, jak ona drży na całym ciele. Michasia prowadzi profesor za rękę.

Wychodzimy za rogatki. Dzwon powązkowski wita już zdaleka nowego brzybysza pieśnią pogrzebową.

Gdy grudy ziemi głucho uderzały o wieko, Helę wybuchła spazmatycznym płaczem:

— Ojcie! ojcie! — powtarza bez końca.

Za chwilę stanął skośny czworobok z błyszczącą blachą wetkniętą u góry: pogrzeb ukończono.

Pannę Helenę trzymamy razem z profesorem i próbujemy daremnie ją uspokoić. Świeżą mogiłę otoczyli robotnicy i, trzymając czapki w rękach, powtarzają słowa modlitwy.

Andrzej nachylił się ku mnie i szeptał:

— Dryndę sprowadziłem. Odwieźcie ją do domu.

Wsadzili nas do dorożki: mnie, Helę, profesora i Michasia, sami zaś poszli do szynku.

— Wypada, — mówił mi Stasiak, szukając widocznie usprawiedliwienia. — Koniecznie wypada. Tak już obyczaj.

— Dokąd oni idą? — pytał mnie profesor, gdyśmy z miejsca ruszyli.

— Do szynku. Taki u nich zwyczaj.

— Aha — odparł tolerancyjnie.

Andrzej i Stasiak stanęli na schodach szynku i żywą gestykulacją zapraszali kolegów do środka. Mieli przytem obaj smutne i poważne miny, jakby sprawiali smutny obrządek.

— Panowie, na syrek! Wypijem za spokój duszy poczcziwego Walickiego.

Drażnił mnie ten widok niesłychanie i byłem zadowolony, gdy dorożka skręciła w boczną ulicę. Ona siedzi nieruchoma z opuszczonym na twarz woalem.

— Śpi? — zapytałem profesora.

Poruszył przecząco głowę.

W mieszkaniu, na widok pustych pokojów, rozpłakała się znowu. Profesor wymknął się cichaczem i zostawił nas z Michasiem.

— Panno Heleno, moja droga... niech się pani uspokoi.

Wnet jednak wydało mi się to banalnem i zamilkłem. Ona schwyciła mnie za rękę i pyta tak cicho, że ledwie mogę dosłyszeć:

— Dlaczego?

— Panno Heleno...

Po krótkiej pauzie szepce:

— Sama jedna...

— Ja pani nie opuszczę nigdy w życiu.

— Czytał pan?

— Czytałem.

Uścisnęliśmy się za rękę.

Próbuję namówić ją do snu. Ona zdaje się nie

słyszec tego i porusza wargami, jakby mówić coś chciała. Nagle rzuca mi się na szyję, przyciska głowę do mych piersi i wybucha serdecznym, niepowstrzymanym łkaniem.

Wraca profesor i przynosi z sobą lekarstwo na sen. W krótkich słowach udaje mu się nakłonić ją do zażycia proszku. Skutek był prędkie, gdyż w pół godziny zasnęła twardym snem. My zaś przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie siedział zdziwiony i przybity Michaś.

— Kto to był ten pan, co go chowali? — pyta.

— Mój nauczyciel.

— Chodźmy Kazik do domu — prosił wyczerpany tem wszystkiem, co widział.

Profesor daje mi drugi proszek i radzi, bym go zażył, przyszedłszy do domu.

— Wyglądasz pan okropnie — mówi. — To zbyt silne naprężenie nerwów. A ręka boli pewnie jeszcze?

Na stole spostrzegam kartkę Walickiego i to zwraca myśl moją do zagadkowego radjometru. Nie namyślając się tedy długo pytam profesora:

— Niech mi pan powie krótko węzłowato: czy to możebne?

— Krótko i węzłowato: Nie.

— Ależ kiedy... kiedy to nie mogła obracać dynamo...

Wzruszył ramionami.

— Grób niejedną zamknął tajemnicę.

— Wcale niemożebne? — pytam niezmordowanie.

— Ha, dla podniesienia puchu na grubość włosów, tak, ale dla obracania kilkudziesięciu maszyn...

— A próba.

I znów poruszył ramionami.

— Mnie się to wszystko snem wydaje. Alboście wszyscy powarjowali, albo tylko on jeden. Wreszcie on sam mógł wierzyć w to, pomimo, że sam... A zresztą, bo ja wiem... Wobec ludzkich ówieków wszelka nauka milczy. Słuchajno pan: Miałem ja kiedyś przyjaciela Polaka, który pilnie studjował wasze gazety. Człowiek ten co miesiąc przynosił mi tego rodzaju nowiny: Wynaleźli u nas płyn do gaszenia pożarów, zbudowano ster do balonu i t. d. Jaki płyn do gaszenia? Wyraźnie woda. I nic innego być tu nie może. Nie, powiada, płyn. Po miesiącu pytam o ów płyn i otrzymuję w odpowiedzi, że „jakoś nic nie piszą“. Wy musicie być tu bardzo wynalazczym narodem?

Niecierpliwić mnie to zaczyna.

— Ależ on mógł zrobić wynalazek, genialny wynalazek.

Kazał mi usiąść obok siebie i, uderzając mnie po kolanach, mówił:

— Młody przyjacielu, czy pan myślisz, że i my marzyć nie potrafimy? Nam tylko trudniej, znacznie trudniej, niż wam. Gdy fruniemy w niebiosy, prawo Newtona ściągnie nas na ziemię; prawo tarcia i dotyku przypomni nam, żeśmy ludźmi; gdy krzywo stąpniemy, cofamy wnet nogę, wiedząc, że wedle prawa równowagi przywrócimy się niechybnie. O, nam trudniej marzyć, a zwłaszcza mnie. Spójrz pan, jużem posiwał. Domyślam się, że pana bliskie węzły łączą

z tym domem i bodaj przeczuwam, że pan zaczniesz kopać w zgłiszczach, szukać resztek, by owo wielkie dzieło świata pokazać. Daj pan pokój; z tego nic nie będzie. A wreszcie, co tu mówić. Na to, by zrozumieć, jak dalece to jest niemożliwym, trzeba dużo, bardzo dużo wiedzieć...

— Więc on był warjatem?

— Prawie.

Tu urwał rozmowę i zadał mi pytanie, czym się zajmuję i gdzieś szkoły kończył. Moje odpowiedzi wywołują nowe zdziwienie. Kiwa głową i mruczy pod nosem:

— Ależ dobrze... po skończeniu szkół... ślusarka? nie może mi się to w głowie pomieścić.

— U nas, panie, inne stosunki. Takich ludzi potrzeba.

— Ludzi pracy? Toż to wprost metafora, przetłumaczona niezgrabnie na rzeczywistość. Czyż inni nie pracują?

— Ee... I czy pan sądzisz, że pan społeczeństwu służy?

— Tak sądzę.

— Hm... Może być. A czy pan nie tęsknisz do książki?

Przypomniałem sobie swoje artykuły i zmieszałem się nieco. Profesor uważnie patrzy na mnie, gładzi się po brodzie; wreszcie żegna mnie słowy:

— Wracam do Berlina z bardzo dziwnym wrażeniem. Nie myślałem, by o czternaście godzin od mego laboratorium tacy ludzie mieszkali. Wiesz pan, jak u nas patrzą na fabrykę, ślusarkę i tym podobne rzeczy? Jako na ciężkie przekleństwo losów. Tu

idą dobrowolnie z uniwersytetu do fabryki, budują radiometry, zbawiają ludzkość... Marzyciele! warjaci. Ale dziwnie sympatyczni warjaci. Do widzenia, drogi przyjacielu! Do widzenia...

Wybiegłem za nim na schody i przechylając się przez poręcz, wołałem:

— Panie profesorze, ostatnie słowo. Czy żadnym ludzkim sposobem zrobić tego nie można? Czy nigdy, nigdy?

— Nigdy? Tego nie powiedziałem.

— A teraz?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie tak ciepło i życzliwie, jak matka nieraz patrzyła. Potem smutnie zwiesił głowę i rzekł z wolna lecz dobitnie:

— Nie.

Za chwilę znikł w bramie.

II.

Nie przypuszczałem w niej tyle hartu duszy. Po trzech dniach przyszła o tyle do siebie, że zaczęła mówić z zupełnym spokojem o wyjeździe na wieś. Popłakiwała od czasu do czasu, lecz starała się opanować te wybuchy. Zbladła, zmizerniała prawie że nie do poznania, oczy zapadły jej w głąb, czoło pokryło się zmarszczkami, wargi ma suche i spieczone; trzyma się jednak sztywniej niż zwykle, chcąc widocznie dodawać sobie odwagi.

Ja przesiadywałem u niej całymi dniami. Mówiliśmy niewiele. Bo i co moglibyśmy sobie powiedzieć teraz? Spoglądamy sobie często w oczy, ściskamy się za ręce, dziękujemy sobie i przepraszamy się po kilka razy na dzień. Ta mimika uczucia wystarcza mi w zupełności. Zbyt wielki chaos miałem w głowie, zbyt dobrze pamiętałem rozmowę ze Szwi-neigerem i zdziwienie profesora, bym mógł o czemś-kolwiek mówić. Przy łada sposobności mógłbym stracić panowanie nad sobą i wypowiedzieć nagą prawdę. A do tego nie chciałem w żadnym razie dopuścić.

Po tygodniu spakowała rzeczy, załatwiła wszy-

stkie formalności i była gotowa do wyjazdu. Odpraważiłem ją na kolej, kupiłem bilet wsadziłem ją nawet do wagonu.

Na kilka minut przed odejściem pociągu mieliśmy następującą rozmowę:

- A pan co zrobi teraz?
 - Bo ja wiem.
 - Czy pan nie myśli szukać zajęcia?
 - Szukam.
 - Niech mi pan w oczy spojry.
 - Muszę. Z czegoż bo będę żył?
- Twarz jej ściąga się zdziwieniem.
- Więc tak?

Wychyla się bardziej z okna i każe mi wejść na stopień.

— Panie Kazimierzu — szepce mi na ucho. — Mój drogi... może pan teraz... Proszę tylko szczerze.

— Cóż znowu! Niech pani o tem nie mówi.

Maszynista puścił świstawkę, wiązania wagonów uderzyły ze szczękiem o siebie i pociąg ruszył zwolna.

— Panie Kazimierzu — mówi panna Helena błagalnym głosem.

Potrząsam głową na znak przeczenia tak długo, póki pociąg nie znikł wśród zabudowań kolejowych.

Teraz dopiero począłem myśleć o sobie. Poczułem się tak samotny i opuszczony w wielkiem mieście, tak odsunięty od ludzi i życia, że bałem się wprost wracać do domu, by nie potęgować tego wrażenia.

Niema gorszego cierpienia nad to poczucie samotności.

Zawracam z drogi i zachodzę do Żanicza na lekcje nauk wyzwolonych. Wiedziałem, że tam nic innego nie znajdę, a jednak poszedłem, i co dziwniejsza, dysputowałem z wyjątkowem zaciętrzewieniem.

Żanicz wtrącił nie chcący zapytanie o pannie Helenie i tak oto przeskoczyliśmy na drugi temat.

On nie domyślał się chyba, jak wielką sprawi mi przyjemność tem, że o niej mówi. Gadał wszakże wedle swojej mody, że ma ona duszę nawskroś metafizyczną i tym podobne brednie. Wspomniał o jednym z wieczorów spędzonych u Walickich.

— Wtedy była w różowym staniczku? — wtrąciłem zapytanie.

— Nie wiem. Zauważyłem właśnie wówczas, że jest to umysł *par force* transcendentalny. Mówiła miąnowicie z uśmiechem...

— Prawda, jak ona ładnie się śmieje?

— Tak?

— Zmizerniała biedaczka teraz.

— Nic dziwnego. Po takiej emocji. Zresztą ona nigdy nie utyje.

— A to, proszę, dlaczego?

— Bo jest anemiczna.

— Gadanie!...

— Nie gadanie tylko fakt. Pokażę wam książkę. Zobaczycie, symptomy... Ale mniejsza o to. Powracając do naszej dysputy, muszę zauważyć, że angielskie Trade-Uniony...

Przerwałem mu obietnicą, że zajdę kiedy indziej, by spór nasz dokończyć. Wróciłem do domu i tu upiór wspomnienia znalazłem.

Co się odwlecze, to nie uciecze, a najmniej

przykre myśli. Można je zagłuszyć rozrywką, zajęciem, książką, ale niechaj pierwsza wolna chwila na-
dejdzie, wyleci ten upiór z za węgła i wyszczerzy
nam swe zęby.

Ja odpycham od siebie nagą prawdę, wzdrygam
się przed sformułowaniem nabytku doświadczenia; ale
tuż obok stoi upiór zgryźliwy, śmieje się piekielnie
i woła:

— Nie jesteś zdatnym do niczego. Uposażyła
cię natura mizerną głową, nędznymi zdolnościami,
odmówiła ci nawet tego gryfu, który pierwszy lep-
szy chłop ze wsi posiada.

— Nieprawda! — bronię się.

A on:

— Zapomniałeś? Cztery krany, dwie statywy,
pięć kluczy, jedenaście szrub...

Nie, nie trzeba myśleć o tem.

On precz się śmieje.

— Dwanaście kweczhanów, sześć libeli, trzy-
dzieści dwie... Genjusz!

Biorę Michasia na kolana i głaszcząc go po gło-
wie zaczynam najgłupszą rozmowę.

— Lubisz Michaś grać w klipę?

— Ojoj...

A on stoi precz na boku i szczerzy zęby.

— Tybyś i tego nie potrafił — zda się mówić.

— A w zbijaka? — dopytuję dalej Michasia...

— Kiedy tak u nas szachrują...

— Kto szachruje?

— A no chłopcy.

Moja mara znów się odzywa.

— Ty samego siebie oszukujesz.

Kilka dni to trwa. Na przeróżne tematy, najrozmaitsze warjacje przeżywam swoje upokorzenie. Rozwał mnie wreszcie list od panny Heleny:

„Drogi Przyjacielu! — pisała. Oto pierwsza swobodna chwila, jaką znajduję, uwolniwszy się na minutkę od pocziwej i nudnej troskliwości mojej ciotki. Zrozumie Pan, jak mnie ta opieka rozdrażnia, jak przypomina całe moje nieszczęście i ten pożałowania godny stan, w jakim się znajduję. Litość? Od niej los każdego uchroni. Z każdego słowa, z każdej pieśzoty mojej ciotki przebija chęć płaczu nade mną. Nie mówi mi naprzykład inaczej jak: „kochana Helusiu“, lub „moja biedna Helciu“. Ale dosyć już pisałam o sobie.

Czy chodzi Pan na grób mego ojca? Niechaj Pan nie drwi z mej naiwności, ale brak mi tu tego okropnie. Chodzę na wiejski cmentarz i upatrzawszy tam grób jakiegoś starego wieśniaka, stroję go kwiatami. Prawda jakie to śmieszne? Chciałam już te słowa przekreślić, ale zastanowiłam się, że mi Pan tego za złe wziąć nie powinien. Jestem jeszcze tak niedołązna, że zdobyć się na krytyczny sąd jeszcze nie umiem. Być może, iż słowa tego listu nie wiążą się w zdania. Nie wiem. Potrzebuję pisać i pisać. A z kimże będę rozmawiała, jeśli nie z Panem?

Proszę się kłaniać Zaniczowi. Napiszę do niego, jak przyjdę do równowagi. Próbowалам czytać Wundta (otrzymałam to na drogę od Zanicza) ale nie mogę. Wieczorami czytuję kalendarz. Niech się Pan nie śmieje!

Teraz prośba, pokorna prośba przyjaciółki. Jeśli

Pan będzie w kłopotcie pieniężnym, proszę pisać. Koniecznie. Ja wymagam szczerości od Pana. Do widzenia. Ręka mi się już trzęsie.

Helena“.

Odpisałem jej w te słowa:

„Najdroższa Panno Heleno!

Jak mi teraz ciężko, jak samotnie, nie potrafię tego pani opowiedzieć. Całemi godzinami myślę o przeszłości i o Pani. Nie wiem czemu, ale teraz częściej i uporczywiej myślę o Niej. Że Pani tęskno do grobu Jej ojca, a mego najdroższego nauczyciela, z tego nie tylko się nie śmieję, ale przyznaję się samotwarcie, że chodzę na Powązki codziennie. Zapewne — jest to tylko folgowanie zabobonowi, ale cóż zrobić, kiedy my mamy zabobony. Ktoś na grób przyniósł kwiaty, co mnie bardzo zaciękawilo. Któregoś dnia zauważyłem tam młodą dziewczynę, jak uprzątała grób. Powiedziała mi, że ją przysłał Andrzej, że kwiaty postanowiono kupić na owej stypie, jaką wyprawili sobie po pogrzebie. Poczciwi to jednak ludzie.

Napisałbym bardzo długi list, gdyby nie to, że i ja nie zdobyłem się jeszcze na równowagę i męczę się różnemi myślami. Co zaś do zaofiarowanej mi pomocy pieniężnej, to odpowiem jak na dworcu: mam, i nie potrzebuję. Mówilem wreszcie Pani, że sprawia mi to przykrość.

Andrzej każe się „grzecznie pokłonić i pocałować rączkę“, do czego i ja się przyłączam. Proszę do mnie często pisywać, — moja najdroższa i jedyna przyjaciółko.

Kazimierz“.

A o tem, co mi najbardziej dolegało ani słowa. Nie potrafiłem tego napisać, jak nie umiałem spokojnie myśleć o tem. Wreszcie, czyż nie powinienem był milczeć? Oto co mi pisała po tygodniu:

„Kochany Panie Kazimierzu!

Proszę mi nie brać za złe roztargnienia, z jakim pisałam ostatni list. Gdyby mnie Pan teraz zapytał, com wtedy napisała, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Posiadam jednakże silną naturę i przychodzę do siebie prędko, prędzej niż ciotka myślała. Żałuję bardzo, że zarzuciłam grę na fortepianie. Potrzeba mi teraz czegoś takiego... Muzyki czy też... (sama nie wiem, jak to powiedzieć). Wundta czytam, a raczej sylabizuję leniwie. A poza tem pomagam ciotce w gospodarstwie, co mnie trochę rozrywa. Na cmentarz chodzić nie mogę, gdyż spadły tu olbrzymie śniegi. Oto wszystko, co mogę powiedzieć o sobie.

Co słyszeć u Pana? Czy ma Pan już zajęcie? Jak silnie wierzę w mego przyjaciela, niechaj bodaj to za dowód służy, że o mały włos nie posprzeczałam się z ciotką o młodych ludzi wogóle.

Ciotka myślała o złotej młodzieży i o różnego rodzaju niedołęgach, ja zaś wyłącznie o Panu, i w imię tego broniłam bezwzględnie wszystkich młodych ludzi. A jednak jak mało u nas takich. Nic dziwnego, że o Panu mówię wszędzie jak o unikacie. Dumną jestem, że mogę się nazwać Jego przyjaciółką. Bo nią jestem i zostanę chyba na zawsze.

Sądzę, że Pan pogrążył się już w pracy i du-

ma nad maszynami. Ja zaś pewno przeszkadzam Mu swoim listem. Dlatego też kończę z pośpiechem.

Helena“.

List ten dziwnie mię uderzył. Czytałem go kilka razy; porównywałem z pierwszym i daremnie szukałem tej nuty, co tak żywo drgała w poprzednim liście. Tu zaledwie małe ździebełko tego znalazłem i ustęp ten umiem na pamięć: „Potrzeba mi muzyki lub czegoś takiego. Sama nie potrafię określić, czego mi brakuje“.

I jak ona we mnie wierzy, jak niesłychanie wierzy! Spodziewa się, że pracuję już w fabryce, a ja szukam zaledwie zajęcia i to wcale nie z największym wysiłkiem. Przychodzą mi przytem różne zamiary do głowy. Jeden z nich zadziwił mnie tak dalece, że gotówem przysiąc, iż poddał mi go kto inny.

„Gdypy tak wziąć się do czego innego“.

Wnet się jednak zmytłowałem.

Nigdy w życiu tego nie zrobię. Wszak osiągałem sobie, że gdy wytrwania nie starczy, uporem pokonywać się będę. Czego mi odmówiła natura, to zdobędę pracą i wytrwaniem. Któż mi wreszcie zaręczy, że Szwineiger umyślnie nie kłamał?

Takem rozważał, pisząc list do pana Kwaśniewskiego o wyszukanie mi zajęcia. Odpowiedź przyszła na drugi dzień; mieściła w sobie jednak tylko przyrzeczenie i prośbę odwiedzenia starych znajomych.

Włóczę się tedy po mieście i wlokę za sobą przykre myśli. O pożarze, o śmierci Walickiego a o radjometrze, prawie, że nie myślę. Uczuwam tyl-

ko nudę, przynębiającą, straszną nudę. Wrażenia, które, zdało się, w pamięci na zawsze pozostaną, rozwiały się w szarej mgle. Chodzę po kantorach fabrycznych, wyleguję się na łóżku, a wszystko to męczy mnie niesłychanie. Po raz pierwszy w życiu jestem bez zajęcia.

Dawniej czytałbym może; dziś gdy spojrzę na książkę, ziewam. Najciekawsze jest to, że nie czuję najmniejszej chęci pisywania artykułów; nie rozprawiam ze sobą jak dawniej; zdania nie formują mi się w zaokrągloną stylistycznie całość, lecz rozproszone, urwane i niejasne skaczą w nieładzie po głowie.

Kiedyś wpadła mi do ręki książka zapisana na marginesach memi frazesami o radjometrze. Przypomniałem sobie profesora i poszedłem do starej fabryki. Gruzy już uprzątnięto: po wielkim wynalazku ani śladu nie pozostało.

— Maniak — powtórzyłem słowa profesora.

Chwilami budzi się we mnie energia. Przypominam ostatnie zajścia i wpadam w tragiczne usposobienie. Owocem takiej chwili był następujący list do panny Heleny:

„Czy Pani nigdy nie miała chwil takich, kiedy wszystkie myśli i cele zda się toną w rozległym, szarem jeziorze życia i gdy występuje zwykła, jako szkielet naga, rzeczywistość? Praca przed południem, obiad, praca po południu, cztery ściany pokoju, sen i znowu praca: takiem mi się nieraz życie wydaje.

Dziś siadłem zmęczony na ławce w alejach Ujazdowskich. Zamyśliłem się głęboko i nic naokoło nie widziałem. Po chwili wydaje mi się, że przechodnie,

mijając mnie, zwalniają kroku, toż samo wozy i dorożki. Wir uliczny, huczący zdala, jak gdyby zastygł w tem miejscu. Wreszcie nie posuwa się dalej, lecz kołem przede mną zatacza: tworzy się powolna, leniwa karuzela. Wokoło suną przechodnie i dorożki, naokoło wloką się stójkowi, nakoniec w wir ten pochwycone zostają domy, drzewa, kioski: wszystko się obraca, zrazu wolno, potem pędzi i miga mi przed oczyma. Ja jakoś pozostaję nieruchomy.

Oto co obecnie odczuwam!

Roboty jeszcze nie mam i chodzę jak włóczęga z fabryki do fabryki. Traktują mnie nie zawsze najlepiej, niewiele sobie wszakże robię z tego. Ale, gdy wracając, spostrzegę po drodze grupy studentów, coś kipieć we mnie zaczyna. Czyżby to była drobna zazdrość? Nie wiem.

Nie dobrze robię, przyznając się do tej brzydkiej wady, ale dziś powstrzymać siebie nie potrafię i wszystko wypowiem. Bo dla czegoż żaden z nich nie poszedł w moje ślady? Wszak oni uznają również potrzebę tego. Czyżby się bali bluzę włożyć, by nie stracić w niej kredytu „człowieka inteligentnego“, i nie stać się natrętem dla dyrektorów? Nie chcą może wyslizgnąć się ze sfery tych, co wiecznie kogoś nauczają?

Toć oni wprowadzili mnie na drogę przemysłu, oni nauczyli mnie, że czyn jest lepszym od słowa. Oni jednak muszą kruszynę swej wiedzy jak kura ją obnosić. Mają przytem odpowiedni wyraz, mowę, ruchy: całą dekorację człowieka z inteligencji.

I któż się wobec tego zdecyduje bluzę włożyć, tę bluzę, pod którą wielkiego człowieka nikt się nie

domyśli? Oni wolą w tużurku pozostać i prawić o potrzebie fizycznej pracy, inteligentnych fachowcach i t. d.

Zawsze to co innego mówić komuś: „idź buty szyć“, a samemu zasiąść do kopyta.

Nie wiem, skąd mnie te myśli 'nadchodzą. Być może, iż chciałbym więcej takich widzieć koło siebie. Wtedy naradzilibyśmy się wzajemnie i szlibyśmy do celu z wyraźniejszym planem. Ostatnie słowo wypisałem prawie niechcący, a ono wszystko wypowiada. Tak — z wyraźniejszym planem...

Dosyć tego!... Niechaj mi Pani za złe nie bierze, iż jej wszystkie swe wątpliwości wypowiedziałem. One już dawno, bardzo dawno mnie męczą. Dziś wszakże dopiero zdobyłem się na odwagę, by się z Tobą, droga, jedyna przyjaciółko, swemi myślami podzielić.

Kazimierz“.

W list ten włożyłem całą duszę i z szalonym niepokojem wyczekiwałem odpowiedzi. Jak ona przyjdzie to wszystko? Wszak to było całą moją istotą, całym dobytkiem wiedzy i doświadczenia. Po tygodniu otrzymałem taką odpowiedź.

„Kochany towarzyszu!

Role nasze, jak widzę, zmieniły się. Podczas gdy ja odzyskuję powoli równowagę, Wy wpadacie w pesymizm. Ostrożnie, bo ta droga do kościoła prowadzi! W tem, co piszecie, jest dużo racji (czytałam już nawet podobne sądy), ale jest też i jeszcze więcej przesady.

Drażni Was bezczynne życie: w tem sekret całej. I ja myślę najdalej za trzy lub cztery tygodnie zawitać do Warszawy i rozpocząć na nowo swój zawód nauczycielski. Pisał do mnie Żanicz, i jak zwykle poruszał bardzo ciekawe sprawy. Co to za ruchliwy umysł! Przyznam się jednak Wam, że wolę otrzymywać Wasze, nawet pesymistyczne listy, wieje od nich coś męskiego, podczas gdy... Ot i o mały włos nie skrzywdziłam Żanicza. Życzę Wam, byście jak najprędzej znaleźli robotę, to Was najprędzej wyleczy. Wstyd, by człowiek tego rodzaju mógł wpadać w takie usposobienie. O, niedobrze! Żądam od Was poprawy. Ciotka zawstydza mnie przypominaniem tych dziwactw, jakie wyprawiałam tu z początku. Dzięki silnej woli potrafiłam i ja przyjść do równowagi po tym okropnym ciosie, jaki mnie spotkał. Możecie brać ze mnie przykład.

Ściskam serdecznie dłoń Waszą

Helena Walicka“.

P. S. Wundta skończyłam. Wspaniała rzecz! Radzę Wam przeczytać“.

Nazajutrz po otrzymaniu tego listu poszedłem do fabryki. Znalazłem wreszcie zajęcie, dzięki staraniom pana Kwaśniewskiego. Przyszło to w porę, gdyż zadłużyłem się u moich krewnych na całe dwadzieścia rubli.

Będę pracował i zapracowywałem się, postanawiałem sobie. To najlepsze lekarstwo, by zapomnieć o tem, o czem myśleć się nie chce.

„Ona czytała już takie sądy“. To zdanie przesładuje mnie na każdym kroku. Pierwszy i ostatni raz

piśalem w ten sposób do panny Heleny. W niej kryją się jakieś dwie istoty: jedna taka sympatyczna, taka mi droga, jak nic na świecie, druga zagadkowa i nieprzyjemna. Lepiej zatem milczeć, jeśli się nie wie, do której z tych dwóch istot się trafi. A przede wszystkim lepiej pracować.

Próbuję powrócić do dawnego trybu życia; niestety z małym powodzeniem. Czytywać wieczorami nie mogę i, mimo największych wysiłków, nie potrafię zmusić się do pracy umysłowej. Najczęściej kładę się do łóżka natychmiast po odbytej lekcji z Michasiem. Śpię przytem jak kamień, snem ciężkim, bez sennych obrazów. Nieraz odwiedzam swych dawnych znajomych i kolegów, zachodzę do Żanicza wprost dlatego, że w domu wysiedzieć nie mogę. Dzięki przyzwyczajeniu zadaję sobie codzień pytanie: co będę czytał? a kończę drugim: dokąd pójdę? Gdy wszystkich znajomych obejdę po kolei, chodzę do pobliskiej cukierni i spędzam tam cały wieczór.

Artykułów jednak nie czytuję: męczy mnie to i nudzi, a najczęściej po przeczytaniu nie wiem, o co idzie. Zajmują mnie za to wiadomości z miasta“, rubryka wypadków i feljetony, o ile nie są zbyt na moralizatorską nutę nastrojone.

Niemalą rozrywkę sprawia mi stary emeryt, udzielający mi codzień na ucho jakąś nowość polityczną. Po kilku dniach poznaliśmy się tak dobrze, że siadamy zwykle przy jednym stoliku. Gdy wejdę do cukierni, słyszę już w progu głos staruszka:

— Panie te! Chodźno pan.

Lubię z nim rozmawiać, chociażby dlatego, że nie potrzebuję niczego dowodzić, ani też zażarcie

bronić swego stanowiska. Uległość staruszka oddziaływała i na mnie. Tak, to tak, a nie, to nie: w ten sposób rozmawiamy z nim.

— Pan mi się podobasz — mówił nieraz. — Widzę, żeś rzemieślnik, ale interesujesz się pan tem i owem i za trzy grosze pana nie sprzedą. Przyjdzie sobie, panie dziu, do cukierni, przeczyta *Kurjerek*, dowie się, co słyhać tudy—siudy. To mi się podoba.

Nie zawsze słuchałem tych uwag z największą ciekawością i nieraz zerkąłem jednym okiem w gazetę. Wtedy starowina kładł na stół kościste ręce i, zmuszając mnie do podniesienia wzroku, prawił dalej, postukując od czasu do czasu palcem.

— Słuchajno! za granicą, uważasz, każdy doróżkarz czyta gazetę. Tak panie! Stróżę siedzą przed bramą z cedułami w rękach, a kto nie ma na gazetkę, stanie przed redakcją i bodaj wypadki sobie przeczyta. Chociaż ja tego nie pochwalam. Nie. Podług mnie (dajże pan spokój gazecie i słuchaj, co ja gadam!). Otóż podług mnie tak: Żyj jak potrafisz, ludzi nie oszukuj, chwal Pana Boga jak umiesz, w politykę się nie wtrącaj, i dosyć. No co, nie? A widzisz pan, że i od starego można się czegoś nauczyć. He... he... No, czytajże, czytaj swoją gazetkę; i ja kroniczkę przejrzę. He... he... he...

Po kilku minutach zwraca się znów do mnie.

— Słuchajno pan, co ten tu wypisuje. Zobacz tylko, czy kobiet w bliskości niema, bo strasznie tłusty kawał. Uważasz tak: „Złowrogie wieści niosą, że krynoliny mają być zupełnie skasowane“. Uważasz?

Skurczył się na swem krześle i zakrywszy twarz ręką, śmiał się cieniutkim, cichym dyszkantem.

- Gdzież tu dowcip?
- Jak to gdzie? Poczekaj, niechaj się wyśmieję.
- Ja tu nic śmiesznego nie widzę.
- Nie widzisz? Toć to, panie, pęknać ze śmiechu.

Innym razem mówił wprost:

- Złóż pan gazetkę, pogawędzimy trochę.
- I, jakby przewidując opozycję, brał mi gazetę z ręki i kładł ją na stoliku.

- Powiedz mi pan, jakiegoś pan fachu?
- Ślusarz — mówię, śmiejąc się ze starego gaduły.

- A spruch jaki macie?
- Nie mamy żadnego.
- Jak to nie macie? A jak na wędrownkę pójdziesz?

- Nie pójde na żadną.

- Kubek dasz do cechu? A jak się z czeladzią porozumiewasz?

— Panie kochany, dawne czasy! U nas niema ani czeladzi, ani kubków, ani cechów, jest tylko fabryka.

- No, a kto robotę robi?
- Robotnicy.
- Ale skąd się oni biorą?
- Zewsząd: ze wsi, z miasta.
- Takie sobie wycirkąty, szmiruchy?...

Przez kilka wieczorów tłumaczyłem mu nasze stosunki. Starowina wierzyć nie chciał.

I ten naiwny dziadek stał się dla mnie sympatyczniejszym od naładowanego teorią Zanicza i od poważnych jego kolegów.

Panna Helena powróciła wreszcie do Warszawy i pierwsza przyszła mnie odwiedzić. Rozumie się, że jej wejście zelektryzowało mnie tak dalece, że ponad okrzyk radości, nic innego wydobyć z siebie nie potrafiłem. Chwytam za krzesło i, kręcąc się koło niej, proszę zadyszanym głosem, by siadła.

— Panno Heleno, proszę usiąść. U mnie trochę po kawalersku: ale... Niech pani siądzie, panno Heleno.

— Toć mnie pan na środku pokoju nie posadzi. Jakież pan zabawny z tem roztargnieniem. Siądziemy razem na kanapie.

Zacząłem zdejmować jej rękawiczki, nie wiedząc sam poco, chyba dla okazania swej gościności. Ściągnąwszy jedną nie wytrzymałem i pocałowałem ją w rękę. Wyrwała mi ją natychmiast.

— Nie róbcie tego.

— Panno Heleno, ja jestem taki szczęśliwy, tak bardzo szczęśliwy, że musi mi pani...

— Więc znów jesteśmy na pan i pani.

— Nie, niech Bóg broni. Żebyście wiedzieli, jak ja dziś jestem kontent. Wiecie co? Tak mi było przykro przez ten czas, że rady dać sobie nie mogłem. Tak się jakoś nie wiodło... Ale to głupstwo! Wiecie? pesymizm już pierzchł... Ale ale... chciałem wam powiedzieć, że z tym radjometrem to jeszcze nie przegrana sprawa. Oho! niewiadomo. Tam pewno w fabryce są jakieś rysunki. Napewno. Zanicz pytał się o was. Ale wiecie, co on o was mówił? Powiedział, że macie transcendentalną głowę.

— Głupi on jest.

— Prawda, jaki on głupi? jaki śmieszny? Ale tego... Jakież ja dziś jestem szczęśliwy!

Ukradkiem pocałowałem ją po raz drugi w rękę. Pana Helena powstała z miejsca.

— Dajcież pokóci, bo wyjdę w tej chwili. Że też wy wszyscy jesteście jednakowi. To, że przysłałam do was nie upoważnia...

Jak oparzony cofnąłem się na drugi koniec pokoju.

— Przepraszam — bąknąłem.

— Już się obraził!

— Ja nie jestem taki, panno Heleno!

— No widział to kto? Więc ja was przepraszam. Siadźcie tu i pogadamy rozsądnie.

Tem ujęła mnie natychmiast. Usprawiedliwiałem się przed nią, że to był tylko warjacki napad radości.

— Jak ja się cieszę, to już granic nie znam.

Ona przerwała mi to tłumaczenie i zaczęła poważnie:

Wspomnieliście coś o radjometrze. Niestety i ja w to wierzyć przestałam.

— Taak?

— Słuchajcie, co powiem. Przeprowadziłam obszerną korespondencję z Żaniczem, z kilkoma studentami fizyko-matematycznego wydziału, napisałam nawet do profesora z Berlina. I ot czego się dowiedziałam: siła tarcia jest to przeszkoda nieprzewyższona wobec wielu maszyn; zwyczajny motor, na przykład, traci prawie połowę siły na pokonanie tarcia; gdyby nie tarcie, kula rzucona po gładkiej powierzchni toczyłaby się bez końca. Rozumiecie?

- Rozumiem.
- Matematycznie da się wyliczyć, ile w najlepszym razie może otrzymać radjometr (tylko podczas słonecznego dnia), a ile straci na tarcie. Następnie..
- Ależ tamto było właśnie wynalazkiem.
- Można się wszakże przekonać, czy to wogóle możliwe.
- A pani ojciec? — przerwałem.
- A fizyka?
- Prawda, fizyka. Więc da się wyliczyć?
- Matematycznie.
- Biedny pan Walicki.
- Oj, biedny...

W uszach zadźwięczała mi, jak odległe echo, przysięga Walickiego: „to nie obracała dynamomaszyna“. Pomimo wszystkich argumentów panny Heleny, nie potrafiłem jej potakiwać. Przerwałem tedy uwagę:

- Nie myślmy o tem.
- O tak, nie myślmy.

Przesiedzieliśmy, milcząc, obok siebie dobry kwadrans.

Wreszcie ona się odezwała.

— Od dziś dnia zaczynam nowe życie dla siebie. Sama jedna.

To druga struna jej duszy zadrgała w tych słowach i dziwnie zmieniła jej twarz. Była to wprost inna kobieta, nie mająca żadnej wspólności z tą, co przed chwilą powoływała się na matematykę i dowodziła z elementarza fizyki.

— Wszak niezupełnie sama — wtrąciłem. — Czytaliście ostatnie jego słowa.

- Umiem je na pamięć.
- O kazał mi o pani... O was pamiętać.
- Mój drogi., coś wy mi pomóc możecie...
- Zapewne niewiele. Ale jabym z całej duszy chciał.

Uśmiechnęła się smutnie i odparła.

- Dziękuję wam.

Poczem wstała, by mnie pożegnać.

Teraz oto najlepsza chwila, pomyślałem. I, gdy była już przy drzwiach, zawołałem niespodziewanie:

- Ja przed wami coś ukrywam.
- Przede mną?
- Tak.
- Co wam się stało?
- Ja muszę coś powiedzieć...
- Ależ co?
- Ja... was kocham...

Stało się — powiedziałem. Ona stanęła jak porażona tą niespodzianką i nic mi nie odpowiada. Ja zaś spuściłem wzrok ku ziemi i czekałem jej wyroku. Długo trwało milczenie. Wreszcie ona kładzie mi rękę na ramieniu.

Zachnąłem się:

- Tylko nie tak! Nie tak! Ja tego nie zniosę! Niech pani lepiej nic nie mówi.

Ręka jej opada i powtarza się po raz drugi milcząca scena.

Wreszcie pyta szeptem:

- Czy my dziś nie możemy pożegnać się jak bracia?
- Nie.
- Panie Kazimierzul!...

Nic jej nie odpowiedziałem.

— A ja nie potrafię panu odpowiedzieć. Ja nie myślałam nad tem, ja znam siebie za mało. Wreszcie jestem teraz w żałobie. Mam dla pana dużo sympatji, ale dotychczas o innych rzeczach myślałam. Ja nad tem się nigdy nie zastanawiałam... Ja...

Tu łzy jej pociekły po twarzy. I, jakby w poczuciu własnego niedołęstwa wobec pierwszego pytania życia, błagała prawie pokornym głosem:

— Niech się pan nade mną nie zżęca.

I wysiłkiem woli wstrzymując się od płaczu, wyszła, nie oglądając się za siebie.

III.

Pracuję przy bormaszynie. Robota nudna, jednostajna i ogłupiająca, ma jednak to do siebie, że usuwa wszelkie fuszerki. W dwa dni nabyłem trochę wprawy i robię zupełnie mechanicznie, pozwalając myślom bujać, gdzie im się podoba. Gdzieś w głębi duszy budzi się sceptycyzm i zadaję sobie następujące pytanie:

— Czy dobrze wytresowany szympanś nie mógłby z równym skutkiem pracować przy owej bormaszynie.

Prosiłem dyrektora, by mi dawano inne roboty.

— Już o płacę mniej mi idzie — mówiłem. Drżałem wszakże, by mi nie zechciano uskąbnąć co z mych czterech złotych.

Dyrektor obiecał, że przy pierwszej sposobności poleci mnie majstrowi. Obietnica pozostała obietnicą, a ja wciąż pracuję przy bormaszynie; właściwie zaś podnoszę i opuszczam rączkę, co wprowadza w ruch ciężki świder, wyłabiający w żelazie okrągłe dziury.

Przy tem można ostygnąć. To też z dnia na dzień staję się bardziej opieszałym i leniwym. Da-

wniejszą żywość zamieniły ruchy miarowe, jak w zegarze. A co najważniejsza, nie mogę czytywać wieczorami. Litery skaczą mi przed oczyma, zdania harcują po głowie w bezmyślnym nieładzie. Wiele rzeczy, które dawniej mnie zajmowały, teraz nudzić poczynają. *Kurjerek* czytuję raczej z przyzwyczajenia, niż z ciekawości.

Szukam przyczyny tej zmiany i różne przypuszczenia przychodzą mi do głowy.

Czyżbym ja za dużo pracował wprzód? Lub, co gorsza, może praca książkowa z pracą przy bormaszynie pogodzić się nie dadzą? Kończę tem, że wieczorami wcale już w domu nie siaduję. Natychmiast po skończonej lekcji z Michasiem biorę czapkę i zaczynam wędrówkę po mieście.

Kilka miesięcy minęło od czasu, gdym jej wyznał me uczucia, a ciągle jeszcze pokutuję za to. Jestem wobec niej onieśmielony, niezgrabny, mało mówny i wprost głupi. Coś mi usta zamyka, gdy mam się bodaj słówkiem odezwać o sobie. Słucham tedy z cierpliwością obojętnych dla mnie rzeczy i powracam do domu. Zauważyłem i to jeszcze, że chwilami oczekuje ona czegoś ode mnie: jakiejś wiadomości nadzwyczajnej, heroizmu, czy wielkiego czynu. Czy ja wiem wreszcie, czego ona chce?

Nieraz rzuca mi naprzykład zagadkowe pytanie:

- Czy jeszcze pracujecie przy bormaszynie?
- Aha.
- No?

Co ma znaczyć owo „no?” — nie wiem. Czasem, gdy wpadnę do niej zaczerwieniony od chłodnego powietrza, pyta z pośpiechem:

— No?

Wyraźnie spodziewa się czegoś ode mnie. Może również jakiego wynalazku?

Cóż zatem dziwnego, że chodzę do niej coraz to rzadziej i, chociaż ból sobie sprawiam każdego wieczora, w którym jej nie widzę, idę do cukierni pogadać z emerytem. Ten bo zawsze jednakowo mnie przyjmuje.

— Cóż pan tak dawno nie był? hę?

Albo też:

— O gazetkach zapomina się powoli. Pewno kobieta wlaźła w drogę.

Opowiadał mi o swojej rodzinie, o tem, jak dnie spędza, jak chodzi na kawkę do ogrodu, a na mleczko do Henneberga, uskarżał się, że chłopcy ogród Saski zniszczą niezadługo, że mu stróżka psa struła surowem mięsem.

Raz zastałem go bardzo zamyślonego. Chrzakał bez ustanku, wyciągał z kieszeni olbrzymią płachtę czerwoną i ucierał nos niezwykle długo.

— Co panu? — pytałem.

Spojrzał na mnie bystro i rzekł tragicznym głosem:

— Wyprowadzam się.

— Tak?

— Dwadzieścia pięć lat mieszkałem.

— Więc czemu się pan wyprowadzasz?

— Dwadzieścia pięć lat...

— Ot! Tyle zmartwienia dla głupstwa.

— Jak to głupstwa? Panie, słowika mają!

— Co takiego?

— Słowika — powtórzył rozpaczliwie.

Spostrzegłszy moje zdziwienie, dodał, uderzając ręką w stół:

— Toż to panie okropne jest zwierzę.

— Słowik?

— A rozumie się. Calusienką noc: tiu-tiu i tiu-tiu...

Panie kochany, toć to bzika można dostać... A tak, śmiej się pan, śmiej ze starego. Rozumie się. To bardzo śmieszne, bardzo śmieszne.

Pośpieszyłem naprawić swój błąd.

— Ja panu wynajdę mieszkanie.

— Mój kochany, zrób to. Mój złoty człowieku... Ja bo, widzisz, jużem zniedołężniał, zestarzał się...

— Omal, że nie rozplakał się z wdzięczności.

— Słowika musiała sobie bestja zafundować.

Jakaś lafirynda, szelma. Bodaj jej Pan Bóg tego nie spamiętał.

Wynająłem mu dwa pokoje w moim domu, o piętro niżej, i od tego czasu otrzymuję prawie codziennie jego wizyty. Tą drogą doszedłem do urozmaicenia sobie wieczorów. Urządzam mianowicie herbatki, spraszam na nie swoich przyjaciół: Andrzeja i pana Zakrzewskiego (tak się ów emeryt nazywa). To zachęca ich obu do zawiązania ze mną bliższych stosunków. Pan Zakrzewski zagląda, by zapytać: „jakże zdrówko?"; Andrzej — tak ot: „by ino zajrzeć“.

Skromne są te nasze kolacyjki, a przytem niesłychanie nudne, jakem się niezadługo o tem przekonał.

Pan Zakrzewski zjawia się z punktualnością zegarka o 9 godzinie i z dokładnością pozytywki pyta we drzwiach:

— Co słyhać, Andrzeju?

Andrzej odpowiada z niezwykłą rozmaitością słów i myśli:

— Beczka z gnojem wylała się.

W ustach Andrzeja jest to satyrą na codzienność życia. Staruszek nie rozumie tego, czy też udaje codziennie, że nie rozumie — dość, że pyta:

— He, he! Gdzież to się stało?

Andrzej dla urozmaicenia swego humoru, podaje codzien inny adres. Raz stało się to na Marszałkowskiej, to znów na Brackiej lub za Żelazną Bramą i tak dalej. Nieraz, gdy chce dociąć Zakrzewskiemu, mówi:

— Na Powązkach.

I ta nieszczęśliwa beczka na ulicy Marszałkowskiej sprowadza nas codziennie na tematy jak najnudniejsze. Czasami (od święta rozumie się) wszczynamy dysputę religijną. Ja biorę w niej mało udziału. Słucham wymyślań Andrzeja i gderań pana Zakrzewskiego, jak się słucha monotonnego uderzenia fal morskich lub kołatania maszyny w fabryce.

Początkową stacją tych sprzeczek jest znowuż beczka na Powązkach.

— Dalibyście Andrzej pokój — oburza się pan Zakrzewski. — Z kościoła będzie drwił. Czyście wy może luter, albo co?

Mówi tak umyślnie, bo wie, że Andrzeja to gniewa najbardziej.

— O, luter! Widzisz go?

Pan Zakrzewski korzysta ze szlachetnego uniesienia i zaczyna swój wykład o tem, jak to „człek

powinien Pana Boga nie obrażać, kościół szanować i do spowiedzi chadzać“.

Andrzej słucha zrazu uważnie, wtrącając od czasu do czasu swoje:

— Juścić...

Gdy jednak kazanie przybierze zbyt pobożno-sentymentalną formę, zrywa się z krzesła i woła:

— Ee, gadanie!...

Takie jest moje towarzystwo!

Któregoś dnia pożyczyłem od dawnego kolegi tużurek (gdyż moje ubranie było już bardzo zniszczone) i wybrałem się z wizytą do państwa Kwaśniewskich. Ten bo nic się nie zmienił. Przytył może trochę i zleniwił w ruchach, a poza tem pozostał, jakim był.

Ledwie że zdążył przywitać się ze mną, zawołał:

— Artykuł pański, rozumie się, czytałem.

— Mój artykuł?

— A co? Ukrywałeś się pan, alem się od redaktora dowiedział.

— Już zapomniałem o nim.

— Piękna rzecz, bardzo piękna. Z pana będziemy mieli pociechę.

Uśmiechnąłem się nie wyraźnie i zapytałem grzecznie, lecz dobitnie.

— Słowa te słyszałem już raz od pewnego studenta. Zechce mi pan wytłumaczyć, kto mianowicie będzie miał ze mnie pociechę?

— No my, ludzie pracy. My, którzy cywilizację w kraju naszym posuwamy. Nie zapieraj się pan. Co tu gadać! Ja tak w pana wierzę, że szyję dam za to.

Ujął mnie za rękę i śmiał się basowym głosem

— Ale, ale — krzyknął potem. Wiesz pan co? Możebyśmy sobie poszli na miasto? Siądziem w jakim skromnym lokalu i pogawędzimy trochę. Tak się, panie, u nas rzadko widuje człowieka do rzeczy, że chce sobie choć raz sprawić ucztę duchową.

— Bo wiesz — dorzucił po chwili — w naszych uczonych ja nie gustuję.

Zaprowadził mnie do handelku, gdzie, jak powiedział, zbiera się świat finansowy. Widząc, jak ciekawie oglądam się naokoło, pośpieszył ze swemi objaśnieniami.

— Widzisz pan tego na rogu? To Strum, fabrykant wstążek gumowych. Bardzo obrotny człowiek.

— Dobry wieczór, panie Strum — wołał, podchodząc ze mną do stołu.

— Dobry wieczór — odpowiedział pan Strum mocno niemieckim akcentem.

Pan Kwaśniewski przedstawił mnie jemu z taką miną, jakby chciał powiedzieć:

— Ja cię ze wszystkimi zapoznam. Stosunki ci wyrobię.

Pan Strum powstał z miejsca i złożył mi ten specjalnie niemiecki, przesadny ukłon.

— A, pan Zaliwski. Słyszałem już...

Zwrócił się do Kwaśniewskiego.

— Takich nam panie fachowców więcej, a do kąd my nie zajdziemy... Cóż u pana słyszać?

— Te — odparł z grymasem Kwaśniewski.

— A jakże wyżymaczki?

— Ładnie idą, ładnie. Nie mam powodu do uskarżania się.

— A co, nie mówiłem? Piękny interesik.

Młasnął przytem językiem, aż echo rozniosło po sali.

— A jakże u pana? — zapytał zkolei Kwaśniewski.

— Znakomicie.

— Chwała Bogu.

Następuje pożegnanie, przy którym panowie wymieniają sobie nowości dnia.

— Beistein, kłapa. Wiesz pan?

— Panie, co się teraz z rublami dzieje. Strach.

Usadawiamy się wreszcie w kącie przy okrągłym stoliku. Pan Kwaśniewski kazał przynieść butelkę wina.

— Jakże się panu podobał Strum? — zapytał po cichu.

— Tak sobie. On także fachowców potrzebuje.

— Rozumie się. My wszyscy potrzebujemy. Ale zauważył pan, jak on skwapliwie zachwalał swe interesy. Kredytu szelma potrzebuje.

— A zatem kredytu i fachowców.

— Wytrawne węgierskie! — krzyknął Kwaśniewski na kelnera i zwrócił się do mnie.

— Ten pan przy drugim stoliku, to Majchert... Dzień dobry panie M.!

— Dzień dobry. Jakże wyżymaczki?

— Jakoś tam idą.

— Powinszować.

Wymieniwszy jeszcze kilka słów, objaśniał mnie znowu:

— Zakupił, uważasz pan, przed trzema laty grunta pod Mokotowem za bajecznie tanią cenę. Dziś

sprzedaje po szesnaście rubli za łokieć. Bardzo dzielny człowiek.

— Dzielny? Czy tem się tylko wslawił?

No, w historii miejsca może nie znajdzie, ale jako sumienny pracownik u podstaw społeczeństwa... Czego pan wreszcie chcesz? Oj, panie Kazimierzu, pan się zaczynasz idealizować.

Jeszcze kieliszek wina.

Następuje dalsza historia gości. Pan Kwaśniewski nie szczędzi mi swych wiadomości, wskazując brodą na coraz kogo innego, opowiada mi o każdym z nich najrozmaitsze szczegóły.

Ten, pod piecem — to dostawca skór, obok niego — właściciel tartaków, tam — przyszły spadkobierca dystylatora Starckmanna, przy nim właściciel dwóch browarów, dalej — agent firmy berlińskiej: Wendrich i Sikora, dyrektor lombardu akcyjnego. A niejeden wprost: znany i ceniony kapitalista.

Rozejrzawszy się w tem Eldorado pracowników u podstaw, zapytałem pana Kwaśniewskiego, co znaczą te wyzیمaczki, któremi się tu wszyscy interesują.

— Pii... — zawołał — toż to cały romans. Dasz pan wiarę, że do zeszłego roku nie było ani jednej wyzیمaczki krajowego wyrobu. Z Ameryki wszystko sprowadzano. Toż to każda praczka potrzebuje. Obliczże pan zatem, ile to ciężko zapracowanego grosza naszego ludu wychodzi za ocean. Ile to krwawego potu i znoju w tem się mieści. Otóż, zeszłego roku postanowiono założyć fabrykę. Interesik, jak pan widzisz, buzi dać! Koniec końców kapitał się znalazł i rzecz poszła w ruch. Po pół roku, wierz pan lub nie wierz (ja przecież nie mam racji

przesadzać), dawał ośmnaście procent dywidendy. Ośmnaście! Rozumiesz pan, co to znaczy? Ja sobie zatem tak kalkuluję: amerykańska (to jest niby wyżymaczka) kosztuje dwanaście rubli, krajowa dziesięć. Myślę, myślę, ażem swoje zrobił.

Ujął się pod boki i zawołał z triumfem:

— Ja sprzedaję za sześć! I co pan powiesz na to? Ta biedna praczka ma teraz dwa ruble w kieszeni. Jakby znalazł.

Szeroko otworzyłem oczy z podziwu, słuchając jego rezolutnej mowy. Gdy skończył, wypadło mi z ust prawie bezwiednie krótkie i suche pytanie:

— Toż pan tamtym konkurencję zrobił?

— No, i jaką jeszcze! Po trzech miesiącach musieli zwinąć swoje... Ba, pan się krzywisz. Ale ja zapytam pana, na czym świat dziś stoi? Na co tu dużo gadać? Co największe czyny stwarza, co arcydzieła do życia powołuje, co genjuszów na świat wyprowadza, jeśli nie konkurencja (panowie młodzi nazywacie to walką o byt)? Bez konkurencji płaciłbyś pan za swą czapkę akurat tyle, ile wynosi pańska pensja miesięczna, a za miskę soczewicy kazaliby ci sprzedać rodzonego brata. Dziś płacisz za nią sześć groszy.

Więc to tak wygląda? — pomyślałem. Wino mi chyba głowę zamroczyło i ja go źle rozumiem. Przecież to nie może być, by to był nasz ideał? To nie podobna, byśmy się tego z taką zażyłością dobijali, bym ja tam poszedł dlatego, że pan Strum fachowców potrzebuje?

Pan Kwaśniewski nalał mi kieliszek wina i zmusił prawie do wypicia.

— Cóż panie — ciągnął dalej — kiedy kapitał u nas drogi.

— Nie rozumiem.

— To jasne. Gdzieindziej płacą za niego trzy, dwa procent; tutaj pięć, owszem, a nieraz i dwanaście. Tyle się o tych rzeczach pisze, tyle gada, a tego nikt nie poruszy.

Pociągnął tyk z kieliszka i mówił protekcyjnym, napół żartobliwym głosem:

— Pan, panie Kazimierzu, jesteś w tem szczęśliwym położeniu, że, jako członek tego olbrzymiego ciała, będziesz znał jego potrzeby i będziesz mógł...

— Ja?!

— I czego się pan dziwisz? To właśnie jest zadaniem i obowiązkiem prasy. Przyznać muszę, że prasa była dotychczas... no, jeśli nie najlepszą, to zawsze jakoś znośną. Tylko górnolotne frazesy nierazbym powykreślał. Ale w ostatnich czasach psuć się coś zaczyna. Bredzą, jak we śnie. Gada się na przykład: „inicjatywa bez poparcia — to chroniczna choroba nasza“. Naco tyle pięknych słówek, kiedy można jasno i wyraźnie powiedzieć: kredyt dwuprocentowy.

Nalał wina i, pociągnąwszy z kieliszka, mówił, obcierając z rozkoszą usta:

— Tu trzeba, by specjalista zabrał głos.

— Pan się cokolwiek myli — odparłem. — Ja jestem tylko robotnikiem. W najlepszym razie mogę być werkmajstrem, nigdy literatem.

— A ów artykuł? Pan jesteś tem, co Anglicy nazywają *all round man*. I dlatego, powtarzam, że my się z pana doczekamy pociechy.

— O, wątpię, bardzo wątpię. Zwłaszcza, że nie wiedzy nie przybywa, ale...

Było to ostatnie rozsądne zdanie, jakie powiedziałem. Wino już dobrze skutkować zaczęło i czułem, że gdy dalej będę mówił, głupstw naplotę.

Jeszcze kilka kieliszków wina, a zapomniałem o swem rozgoryczeniu.

— Pan Zaliwski! — zawołał ktoś za mną.

Odwracam się i widzę Borwicza, silnie już podchmielonego. Podał mi obie ręce i witał, jak starego przyjaciela.

— Jaka to szkoda, żeśmy pana stracili.

Usiadł przy naszym stole i zaczął mnie obsypywać pochwałami.

— Pyszny człowiek — mówił do Kwaśniewskiego. — Po skończeniu gimnazjum... Ciekawa historia, panie tego... A to zabawa! Po skończeniu... No... Ciekawy kawal!

Mówił tak głośno, że zwracał ogólną uwagę. Goście spoglądali na nas z początku ze zdziwieniem, a potem z pewnem zainteresowaniem. Borwicz, który musiał tu być, jak u siebie w domu, zwrócił się do publiczności i przechylając się przez krzesło, wołał pijanym głosem:

— Panowie, uważacie: facet z uniwersytetu... tego do fabryki. To pycha, panowie...

Podszedł do nas pan Strum i począł ze mną rozmawiać; za nim przyszedł Majchert i powoli utworzyło się przy nas małe kółko. Pan Kwaśniewski dowodził coś o mych cnotach obywatelskich.

Ktoś podał myśl zsunięcia kilku stolików, co też niezwłocznie wykonano.

— Sześć szampańskiego! — zawołał Kwaśniewski na kelnera.

Ja staję się czuły i uległy, jak baranek. Uczuwam rzewną wdzięczność do Borwicza, który wiedział chyba o mych fuszerkach fabrycznych, a teraz owację mi oto wyprawia. Odpowiadam na życzenia pijanym uśmiechem, niezręcznym ukłonem, uściśnięciem ręki i jestem do głębi wzruszony.

Strzeliło kilka korków i wysokie kieliszki na stole napełniły się musującym płynem. Gdy wszyscy ucichli, zabrał głos pan Kwaśniewski:

— Panowie! piję zdrowie młodego pokolenia. Niech żyje nasz przyjaciel, pan Kazimierz Zaliwski. — Szczęk szkła, uśmiechy do mnie skierowane i kilka komplementów, — potem znów ucichło: siadamy na miejscu.

Łzy pijanego rozrzewnienia staczają mi się po twarzy. Wstaję z krzesła i opieram się o ścianę, gdyż trudno mi stać. Unoszę kieliszek: cisza.

— Panowie, — zacząłem — panowie, ja jestem głęboko wzruszony, panowie... Ja wam, panowie, w krótkich słowach za to życzliwe przyjęcie...

Tu znów kilka łez stoczyło mi się po twarzy.

— Dziękuję... za... Panowie! Niech żyje sprawa postępu... niechaj żyje konkurencja!

— Wiwat!

Znowu szczęka szkło i grupa ludzi stoi przede mną. Z kąta słyszę głos Borwicza:

— Strąbił się trochę młody człowiek. Ale to nic... Chrzest!

— Chrzest — potwierdzam, zwracając się do

Borwicza i śmieję się tak rozkosznie, że aż zęby wyszczerzam.

Podobnym uśmiechem wtóruje mi towarzystwo.

Po niejakiem czasie panowie się rozchodzą. Jedni idą do domu, drudzy powracają do swych stolików. Pan Kwaśniewski począł mi rozwijać swe plany. Mówił coś o galanterji żelaznej, o zużytkowaniu odpadków...

— Panbyś tą rzeczą wspaniale pokierował. Zamawiam też sobie pana na dyrektora... Fatałaszkę — ciągnął dalej — breloki, fantazyjne rączki do lasek. Toby się wspaniale rozchodziło.

Roześmiałem się sam, rozumie się, nie wiem z czego.

— Jeszcze buteleczkę! — zawołał pan Kwaśniewski.

Mówiliśmy potem o czem innem. O czem tego dobrze nie pamiętam.

Wypóźniwszy butelkę, wyszliśmy wreszcie z handlu, ująwszy się pod ramię; lawirowaliśmy między rynsztokiem a murami kamienic. Po drodze zatrzymujemy się bez widocznej przyczyny.

— Panie Kazimierzu — mówi Kwaśniewski — dajmy sobie buziaka na zadatek przyszłej przyjaźni. O tak, z dubeltówki!

Zaledwie uszliśmy kilkanaście kroków, a stanął znowu, rozkraczył nogi i nachylając się nade mną, wołał już zupełnie nieprzytomnie:

— Bu-zi...

IV.

Przebudziwszy się koło południa, przypominam sobie z mozołem wczorajsze zajście. Zagmatwane myśli rozplątuję jako motek jedwabiu, starając się nie zerwać nici. W miarę jak dumam, w głowie kołować mi się zaczyna. Mam wrażenie, jak gdyby ziemia rozstępowała się pode mną i wpadam w przepaść bezdenną. Walę głową na dół, lecę bez końca i dna dosięgnąć nie mogę. Już nie rozróżniam, gdzie dół, gdzie góra: jako kamień rzucony nabieram coraz to większej szybkości, rozpruwam swą masą powietrze, lecz coraz to prędzej i wciąż jeszcze nie upadam.

I rzeczywiście: nie wiem, gdzie jestem, czem byłem, czego chciałem i czego chcę teraz.

I ja tym ludziom dałem się otumanić, taką małą, takiego poliszynela z siebie zrobić? A, jakże oni śmiać się ze mnie mogą. Toć ja na ich cześć bajki układałem, a gdym je czytał, głos drżał mi ze wzruszenia!

Tamten w gazecie miał rację: ja świstałem na groszu. Nie na swoim, bom go nigdy nie miał, mnie cudzy grosz w zęby wsadzono i ja czułem na nim wygwizdywałem romanse. A jednak niechaj mi Bóg bę-

dzie świadkiem — ja myślałem, iż robię to krajowi na pożytek.

Teraz już nie wiem, co jest moją wiarą, co zaś we mnie węgano, co jest prawdą, a co pokryciem wstrętnej obłudy. To najpewniejsze, że własnej wiary nie miałem nigdy, tak, nic własnego nie miałem. Wszystko było we mnie pożyczanem, wszystkiego wyuczyłem się, jak papuga na pamięć i powtarzałem za drugimi. Samym sobą nigdy nie byłem. Ani jednej myśli ani jednego uczucia nie miałem, o którym mógłbym powiedzieć: mojem jest ono. Żyłem ich słowem, ich myślą, teorią, książkami, głupotą — wszystkim, wszystkim! Nawet ruchy ich mowę małpowałem — ku dobru społecznemu.

Stałem już na tej granicy, gdzie bać się swych myśli zaczynam. Nigdy nie odczuwał tak piekącej potrzeby uskarżenia się przed kimkolwiek. Już nie rzucał na nich i na siebie piorunów, ale skarzę się przed kimś półgłosem. Oto wyciągam ręce przed siebie i mówię do swego mistycznego powiernika:

— Patrz i przyjrzyj się, co ze mnie zrobili!

Nad wieczorem wyszedłem, by odnieść tużurek znajomemu. Oddaję mu zawiniątko i mówię wyjątkowo rzewnie:

— Dziękuję wam, moi drodzy, serdecznie dziękuję za tużurek.

— Ot głupstwo — odpowiada tamtem. — Ale cóż to wy jakiś nieswój?

— A wiecie, przykróść miałem.

— No?

— Rodzinną.

— Oo!... To niemiłe rzeczy.

— Bardzo niemiłe.

— Nie powinniście tego do serca tak brać.

— Macie rację, macie rację. Do widzenia wam, moi drodzy. Dziękuję za tużurek.

— Do widzenia. Ale zapomnijcie o swojej przykrości. Głupstwo!

— Zapomnę, zapomnę, moi drodzy. Dziękuję za tużurek.

Dwie godziny spacerowałem po mieście, a wróciwszy do domu, zastałem u siebie obu moich przyjaciół: Andrzeja i pana Zakrzewskiego.

— Będzie herbatka? — zapytali prawie jednocześnie.

— Nie.

Obaj spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Pan Zakrzewski pożegnał się nawet.

— Wybaczcie — mówię ale dziś jestem nieusposobiony.

— Nieusposobiony — przedrzeźnia Andrzej. — Jakie to słówka francuskie jucha wynajduje. Gadaj wprost, że nie chcesz.

— Nie mogę...

— Nie mogę — drażni Andrzej.

— A milcz, bo!...

— Hola, panicz! Niech ino panicz za gębę się złapie. Ja nie jestem zwyczajny do milczenia. Jak gadać chcę, to będę, a zabronić mi nie masz nijakiego prawa.

I pan Zakrzewski czuł się prawie obrażonym i wtrącił swoje trzygrosze w kłótnię. Mych przyjaciół nie można było łatwo się pozbyć.

— Czego wy ode mnie chcecie? — zawołałem..

rozkładając ręce. — Czego? Że też nie można chwili spokoju znaleźć!

— Dam ja ci spokój, dam! uczony ślimaku.

Nacisnął demonstracyjnie czapkę na uszy i kiwnął na Zakrzewskiego.

— Chodźmy, kiej nas nie chce.

— Panie Zakrzewski — zacząłem. — Nie bierz mi pan za złe, i ty, Andrzej. Ja miałem dziś przykrość i z wami pozostać nie mogę. Zlitujcie się na de mną.

To zastanowiło Andrzeja.

— Przykrość? Naurągał ci kto? Bij w pysk i tyle.

I, widząc zakłopotanie, stara się załagodzić swe poprzednie wystąpienie.

— No, siedźże sobie, kiedy chcesz. Jak mnie robak gryzie, idę do szynku. Ty lubisz książkę, czytaj. Może sobie wyślabizujesz pociechę... Ale ale, przyniosłem ci przyciśnik. Widzisz? Żebyś nie myślał, że ja ino na wyzyrkę do ciebie przychodzę.

Wyjął z kieszeni przycisk żelazny i postawił go na stole.

— A ładne jest, widzisz? Ślusarz mi zrobił w fabryce.

Poczem wyszedł, mówiąc, iż zajrzy do Walerki.

Pan Zakrzewski poczuwał się do obowiązku pocieszania mnie. Został tedy i począł dopytywać, co się stało. Odpowiadam mu krótko i opryskliwie, chcąc się go pozbyć jak najprędzej. On zaś, niezmordowany w swej troskliwości, westchnął smutnie:

— Do spowiedzi, do spowiedzi. Ot, czego panu potrzeba.

— Daj mi pan święty spokój. Wyjdźmy gdzie, bo ja w domu bzika chyba dostanę.

— A no, chodźmyż tedy na gazetki.

Tak też i zrobiliśmy. Mijając po drodze jakąś olbrzymią cukiernię, zaproponowałem, byśmy poszli tu dla odmiany.

— Na co? po co? Żeby się na przykrość narazić!

— Jaką przykrość?

— Spójrzyno pan na swe ubranie. Chodźmy lepiej do swej dziury.

Poszliśmy tedy do starej cukierni i kazawszy sobie podać po szklance herbaty, zaczęliśmy przerzucać gazety. Pochwyciłem kilka zdań ze środka wstępnego artykułu, kawałek jakiegoś opowiadania, sprawozdanie z taniej kuchni i złożyłem gazetę.

— Panie Zakrzewski — zwróciłem się do starego — czy moje ubranie bardzo brudne?

— Nie najpiękniejsze.

— Czy ja wyglądam jak włóczęga?

— Co za gadanie. Posłuchaj pan lepiej, co ten pisze.

Przeczytał mi kilka wierszy. Spostrzegłszy wszakże w porę, że nie zadaję sobie trudu wysłuchania tego, umilkł.

— Ja czytam, czytam, a ten much szuka po suficie.

— Panie Zakrzewski, czy ja wyglądam na zwykłego robotnika?

Ale... Toć po twarzy poznać.

Po twarzy? Jednak w przyzwoitych lokalach, mówisz pan, pokazywać się nie należy?

— Bo ludzie są głupi.

— A gdybym poszedł?

— O, nudny się pan robisz. To pana za drzwi wyrzucą.

Ażem na krześle podskoczył.

— Panie Zakrzewski? Co pan sobie wyobraża? Co mają znaczyć te słowa?

— W Imię Ojca i Ducha Świętego. A co temu się dziś stało?

— Ja zastrzegam sobie więcej szacunku, panie Zakrzewski. Nie zniosę podobnych uwag i nie życzę ich sobie.

Rzuciłem kelnerowi dziesiątkę i wyszedłem z cukierni. Żły, rozdrażniony biegałem po ulicach i zaglądałem w oczy przechodniom, jakby chcąc w nich wyczytać ten wyraz niezadowolenia czy niesmaku, z jakim, wyobrażałem sobie, witać muszą takich, jak ja włóczęgów. Zastępowałem niektórym umyślnie drogę i spoglądałem badawczo w twarz. Ludzie mijali mnie, nie domyślając się nawet mej waleczności.

Chcąc się widocznie bardziej podrażnić, przechodzę kilka razy koło wielkiej cukierni.

A gdyby tak wejść?

Ta myśl sprawia, że dostaję gwałtownego bicia serca. Powtarza się ono za każdym razem, ilekroć przejdę koło cukierni. Nie zapuszczam się już dalej w ulicę, lecz spaceruję tam i z powrotem przed oknami. Gdy jestem od niej odległy o jakie dwadzieścia

kroków, postanawiam wejść, przyspieszam kroku
i — mijam wejście.

— Niech tylko spróbują!

Wnet jednak mityguję się, że w ten sposób wystąpię jako rzeczywisty cham fabryczny.

— Pokonam ich dystynkją. Wszak Zakrzewski mówił, że po twarzy poznać? Rozumie się, że poznają, kim jestem.

Zatrzymuję się przed otwartym sklepem i prze-
glądam się w szybie.

— To niemożliwe! To fizycznie niemożliwe, by
mnie wzięto za włóczęgę.

Przybieram energiczny chód, podchodzę do cu-
kierni i znów ją mijam. Nieszczęście chciało, iż w tej-
że chwili wyszedł stamtąd Żanicz z kilku kolegami.

Spoglądam im arogancko w oczy i ani myślę
zdjąć czapki.

— Chwała Bogu ukłonili się pierwsi.

Więc jestem gorszy? — pomyślałem. Więc mnie
nie wolno, gdy tym małpom...

Pójdę!

Zawracam się i wchodzę zamaszystym krokiem.
Gdym jednak próg przestąpił i znalazł się pośrodku
sali, odwaga mnie opuściła.

— Tylko z dystynkją — powtarzam po cichu,
aby dodać sobie odwagi. — Tylko skandalu nie ro-
bić.

Waham się i byłbym może wyszedł, gdyby mię
wstyd nie zatrzymywał. Siadam przy stoliku w środ-
ku sali i to mnie jeszcze bardziej onieśmiela. Oglą-
dam się podejrzliwie naokoło i wsuwam ukradkiem

swoją czapkę za pazuchę, by nie poznano robotniczej maciejówki.

— Czarnej kawy! — wołam na kelnera basowym głosem.

Ten zmierzył mnie od stóp do głowy i mruknął.

— Niema kawy.

Coś w piersi mnie ukuło.

— Prosiłbym w takim razie, jeżeli można, o szklankę herbaty — mówię grzecznie, starając się opanować drżączkę w głosie.

— Niema herbaty.

— Niema? To szkoda.

Wskazuję brodą na tacę, zacieram ręce i staram się grzecznie uśmiechnąć.

— Prosiłbym zatem ciasteczek.

Niema ciasteczek.

Wstaję z krzesła chwiejnym krokiem podchodzę do bufetu i wskazując palcem na tacę, powtarzam:

— Tych ciasteczek.

— Niema tych.

Czuję, że muszę być blady, jak trup. Robię niewyraźny ruch ręką (mający widocznie oznaczać dystynkcję) i mówię wolno:

— Ja mam pieniądze.

— Czego pan tu szukasz? — huknął na mnie kelner. — Wynos się pan. Tu nic pan nie znajdziesz!

Przy tych słowach popycha mnie ku drzwiom.

Czy mi się w głowie pomieszało, czy też zidjowałem pod wpływem tego obejścia, dość, że zachowuję się skandalicznie. Dystynkcja pierzchła, pozostał zamiast tego jakiś dziecięcy upór.

— Ja, panie, zapłacę, z góry zapłacę — wołam, młynkując naokoło kelnera.

Wnet przypominam sobie swoją dystynkcję, mierzę go wzgardliwem spojrzeniem i zwracam się, ni by od niechcenia, do poważnego pana w cylindrze.

— Tu, panie ubranie więcej szanują...

Poważny pan zmarszczył brwi i rozkazał majestatycznym ruchem ręki, bym mu z drogi ustąpił.

Ja naśladuję tenże ruch przed kelnerem i wychodzę z cukierni. Wracałem do domu z gołą głową, trzymając pod pachą moją maciejówkę.

Łkałem po drodze.

Miałem nad czem rozmyślać przy swej bormaszynie. I dziwnie zaczęły się te myśli układać: Gdy koło osiowe obracało się równo i powoli, maszyna monotonnem uderzeniem kula w żelazo — słowa w podobnemże tempie, równo, silnie i dobitnie, jak uderzenia zegara, wybijały mi w głowie. Niechaj jednak zrzucę transmisję, a tem koło u sufitu w wartki ruch wprawię — wnet myśl moja galopem biegnie i wpada w rytm koła; tworzy się jakiś kołowrotek, jakaś wściekła gonitwa słów bez sensu, bez treści, bez myśli; aż póki koło znów nie zwolni, maszyna w miarowe przejdzie uderzenia. Posłuszna myśl dobiera słów krótkich, urywanych, rytmicznych, jak uderzenie młota.

Gdym to po raz pierwszy zauważył, zląkłem się o swe władze umysłowe. Uspokoili mnie jednak moi towarzysze, mówiąc, iż oni nieraz tego doświadcniają zwłaszcza gdy są zmęczeni.

— Tu człowiek jest tak zależnym od tych stworów — mówi majster — że nie tylko rusza się,

jak maszyna, gada i oddycha w jej takt ale nawet myśleć tak musi, jak ona mu każe.

Przez cały tydzień urozmaicałem sobie wieczory zmyślonemi epizodami w cukierni.

— Kelner, kawy! — wołam, opuszczając rączkę od maszyny.

— Słucham! — odpowiada mi młot, uderzając w kawał żelaza.

— Przynieś mi, mały, gazetkę — fantazjuję dalej, przesuając z mozołem płytę.

Lub też innym razem:

— Kelner! prędzej, prędzej!... Co za harde fagasy!

— Lecę, lecę, lecę. — odpowiada mi koło u sufitu.

Pod wieczór jestem tak zmęczony, że ledwo do domu się dowlokę. Zaszedłszy na poddasze, snuję dalej to samo na inny trochę sposób. Tu jestem waleczniejszy: wszczynam bójkę z kelnerem i tłukę go bez miłosierdzia.

— Kazik — zapytał mnie kiedyś Michaś — powiedz mi, czym ty jesteś.

— Czego ty chcesz ode mnie?

— Nie, bo widzisz, pan się pytał.

— Powiedz zatem, że twój brat jest robotnikiem.

— Ii...

— Słyszałeś?

— Kiedy bo... śmiać się będą.

— Kto się będzie śmiał?

— Chłopcy w szkole...

— Milcz! — wrzasnąłem — bo ci kości połamię.

V.

Słuchaj, mały – zawołałem raz na Michasia, przyszedłszy wieczorem do domu. Powiedz w szkole, że twój brat jest urzędnikiem w banku.

Dzieliłem się w ten sposób swoim nieodwołalnym postanowieniem. Że krzyk z tego powodu podniosą, wiedziałem aż nadto dobrze, spodziewałem się nawet, że panna Helena pierwsza w alarmujący dzwon uderzy. Ale było to, jak powiadam, postanowienie nieodwołalne.

Więc takim tylko jest życie? – myślałem. Zaprzągnijmy się zatem do lżejszego pługa. Jeśli mam być wołem, nie chcę przynajmniej kamieni ciągnąć.

Zamiar porzucenia fabryki nie jest bynajmniej owocem jakiegoś buntu moralnego, chęci zreformowania swej egzystencji; jest on raczej spekulacją cierpliwego wołu. Czy tu, czy też tam jednakowy mnie los czeka. Zamienię co najmniej młot na pióro, a to-karnię na biurko. Marzyć oduczyłem się na zawsze i myśli moje nie wybiegają poza codzienne kłopoty, arytmetykę wydatków i złośczenia wszystkiemu i wszystkim. Myślę przy robocie, tak jak moi towarzysze warsztatowi.

Zanicze dosyć długo grzebali w moim mózgu, dosyć długo pracowała nad nim maszyna, dosyć go namęczyła panna Helena. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę wyjmowano mi po małej szczypcie rozsądku, po tak drobnej i niepostrzeżonej jak ziarnko piasku; aż póki powoli i niepostrzeżenie nie wyjęto mi wszystkiego, pozostawiając akurat tyle, ile potrzebuje maszyna. Dzieła społecznego dokonano. A jeśli tam gdzieś w zakątku serca lub mózgu tli się jakaś iskierka, to wiem, że i tę mi zagaszą i to uczucie wydrą.

Taką iskierką jest myśl o Heli. (Straciłem już galanterję myślową i wspominam ją zwykle po imieniu). Nim też mój zamiar w czyn wprowadziłem, poszedłem ją uprzedzić o tem.

Z jak płaską pokorą szedłem do niej, tego wypowiedzieć nie potrafię. Zdaje mi się, że skurczyłem się w pałąk i że oczu na nią podnieść nie śmiałem.

— Nie jestem do tego zdolny — powiedziałem jej.

— Co się z wami stało? — zapytała tonem, przez który dosyć wyraźnie przebijało oburzenie.

— Nic się nie stało, tylko że wstępuję do banku.

— Ale skąd tak nagle?

— Nie mam zdolności.

— Kto wam to powiedział?

— Ja sam.

Potrząsnęła energicznie głową i porywając się z krzesła zawołała:

— Ot, głupstwa gadacie.

— To nie głupstwo. To nieodwołalne postanowienie.

— Więc wszystkiego już się wyrzekacie?

— Czego mam się wyrzekać?

— A, Boże wielki! Chociażby ideałów.

— To było dzieciństwo.

— Taak?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i powtórzyła po raz drugi, uśmiechając się złośliwie:

— Tak?

— Chciałem panią uprzedzić i prosić...

— O co?

— O... o wyrozumiałość.

Pocałowałem ją w rękę z taką pokorą, jak żebrak, gdy dwa grosze dostanie. Rozumiałem wszakże, co robię i to boleśnie rozumiałem.

Była to rola niegodna... Kogo niegodna? Czy takiego wołu, jakim ja wtedy byłem?

Gdybym miał przed kim prawdę wyznać i gdybym przysięgać się umiał, takbym może wtedy powiedział:

Swego postępowania nie wytłumaczę, nie dowiodę, ale ja je czuję, głęboko czuję. Tylko, że wygadać się nie potrafię... Nie umiem ładnie mówić... Ja nie chcę stracić Heli, jak pragnę wiecznego spoczynku mojej matki!

Zmiana zajęcia nie poszła wszakże tak łatwo, jakem sobie wyobrażał.

W kantorze bankierskim powiedziano mi, że będą płacili dopiero po roku; na kolei, że „ani marzyć o miejscu“; w biurze kanalizacyjnem, że „może kiedyś“.

Zrozumiałem, że ja mniej, niż kiedykolwiek bądź, mogę liczyć na posadę urzędniczą. — „Gdzieś pan był przedtem?” — zapytają. „W fabryce”. — „Coś pan robił?” — „Pracowałem przy bormaszynie”. Widzę zdziwienie, malujące się na ich twarzy, widzę, jak kiwają głowami, słyszę, jak mruczą coś pod nosem i żegnają mnie obietnicą, „jeżeli coś... tego... w przyszłości”. I ci panowie wiedzą, co znaczy bormaszyna. A to, że tam kiedyś byłem w gimnazjum, to wprost śmiechu warte. Wszak ja piszę już tak, jakbym w elementarnej szkółce abecadła się uczył.

Mówiono mi dawniej o pewnym dyrektorze banku, jako o człowieku bardzo wpływowym. Przypomniałem sobie o nim i poszedłem z prośbą o protekcję.

— Coś pan skończył? — pyta mnie.

— Gimnazjum.

— Znasz pan języki?

— Trochę niemieckiego i trochę francuskiego. Jak to ze szkoły.

— Panie, mam już dwudziestu takich kandydatów.

Dla potwierdzenia tych słów wyjął notatnik i pokazał mi długą litanję nazwisk. Spostrzegłem tam imiona kilku moich kolegów.

— Przepraszam zatem — bąknąłem, powstając z krzesła.

— Wszakże i pańskie nazwisko zapiszę. Ale, jak powiadam, u nas są całe legiony takich, co...

— Niech pan dyrektor nie kończy. Już ja wiem jakich.

Skończyło się na tem, że wróciłem do fabryki.

Lasciate ogni speranza — zdawał się mnie witać dzwon fabryczny.

Rozpocząłem swój powrót z prośbą o forszus. Inaczej prosiłem wtedy, niż o zwrot kaucji i sposzregłem, że to wcale nie tak trudno, gdyż po miesiącu, zmuszony warunkami, powtórzyłem swoją prośbę. Wtedy postanowiłem sobie, robię to po raz ostatni. I byłoby tak może, gdybym sam był na świecie.

Któregoś dnia uskarżał mi się Michaś, że koledzy śmieją się z jego dziurawych spodni. Proste były słowa Michasia, a jednak nic w życiu tak silnie na mnie nie podziałało.

— Kazik — mówił — widzisz jakie porty? A tak się śmieją!

Wszystko zniósłbym cierpliwie, ale by mego malca chlastano tymże biczem i to dzięki mojej głupocie, na to pozwolić nie mogłem.

Pogłaskałem Michasia po głowie i pobiegłem po forszus, jak po swoją prawną należność. Gdy podchodziłem do fabryki, dyrektor siadał właśnie do powozu.

— Cóż tak późno? — wołał, nieodwracając głowy.

Energicznym krokiem zbliżyłem się do niego i powiedziałem krótko suchym tonem:

— Prosiłbym pana o forszus.

Nie było tu ani śladu pokornej prośby, jak za pierwszym razem. Było to raczej żądanie.

On odpowiedział mi ironicznie:

— Tak?

— A jakże. Ja to przecie odrobień.

— Proszę...

— Brat chodzi do szkoły i nie ma ubrania. Ja

nie przychodzę prosić pana jak zwykły robotnik. Ja, panie, gimnazjum skończyłem.

— Otóż to, brat nie ma ubrania, pomimo że pan gimnazjum skończyłeś. A ile to razy powtarza się wam: oszczędzać! oszczędzać! A wy: nie i nie! Trudna rada, panie kochany, to musi raz mieć swój koniec.

Byłem więcej oszołomiony niż zagniewany temi słowami.

Wszak ja mu powiedziałem, kim jestem, a on mię precz jak chłopą traktuje.

Zdziwienie pierzchło jednak natychmiast, gdym mu w twarz spojrział. On patrzył na mnie z tymże grymasem, co poważny pan w cukierni i co ów kelner.

Zląkł się mnie, czy też zlitował (trudno mi to słowo wypowiedzieć), dość, że sięgnął do pugilaresu i wyjął trzyrubłówkę.

— Masz pan — mruknął, wyciągając rękę i odwracając głowę ode mnie.

Więc ja całe życie mam być poniewieranym? przemknęło mi w myśli. I przemówił do mnie instynkt samoobrony, ten, co każe nie tylko swego ciała, lecz i swej godności bronić.

— Masz! — krzyknąłem, ciskając mu trzyrubłówkę w twarz.

W tejże chwili świsnęło mi coś nad uchem i bicz oplątał się koło mej szyi. Odskokczyłem obok. Świsnęło po raz drugi i jakby rozpalone żelazo prysnęło mi w twarz.

Stangret stał na koźle i chłostał mnie biczem. Ból i wściekła rozpacz głos mi zatamowały. Rzuciłem

się na niego jak tygrys, lecz on śmignął raz jeszcze batem i trafił mię w oczy. Gdym je roztworzył, powóz był już daleko. Skoczyłem za nim, lecz wnet potknąłem się i upadłem na środku ulicy.

— Ty... y, psie! — wyłem w poczuciu swej bezsilności, wyciągając rękę w kierunku powozu.

Jakem zaszedł do domu, nie wiem.

Upadłem na łóżko i wiłem się po niem jak wąż, gryzłem poduszkę i wydawałem nieludzkie dźwięki. Co chwila zeskakiwałem na ziemię, podchodziłem bez widocznej przyczyny do okna, zawracałem natychmiast, by, upadłszy znowu na łóżko, skomleć jak obite szczenię.

Jak to było? Mówię mu, że Michaś nie ma spodni, a on wyjął trzyrubłówkę. Ze swoich pieniędzy dał, nie z kasy, jak żebrakowi dał... Ja mówię, że Michaś...

Kilka godzin z rzędu powtarzam to zdanie. Nadszedł Michaś i spojrzawszy na mnie, zląkł się i uciekł z pokoju. W pół godziny powrócił z Andrzejem, Ten chciał mnie widocznie dopytywać o coś; schwycił mnie za ramię i domyślił się, o co idzie.

— Kto? — krzyknął.

— On.

— Kto?...

— On, on... dyrektor.

— Jak się nazywa?

— Werkmann.

— Gdzie mieszka?

— Na Długiej.

— Ty mi się stąd nie ruszaj.

I z temi słowami wybiegł.

Ja uspakajam się powoli i powstawszy z łóżka, biorę lustro do ręki. Tu zaczęła się cicha, dręcząca męka. Blizny na twarzy, prawdziwe blizny od bicia — one nie pozwalają mi odłożyć lustra na bok. Położyłem zwierciadło na stole i oparłszy się na łokciach, patrzę w nie bez przestanku; nawet oczyma nie mrugnę.

Było już późno wieczorem, gdym obudził się z tego odrętwienia. Michaś siedział jak strusia w kącie pokoju i nie spuszczał oczu ze mnie.

— Kazik — rzekł, widząc, że powstaję z miejsca.

— Czego?

— Nic. Tylko tak.

Wziąłem kij w rękę, nasunąłem czapkę na uszy i wyszedłem do sieni. Tu spotkałem się oko w oko z Andrzejem.

— Zrobiło się! — zawołał. — A ty, Kazik, dokąd?

Kij wypadł mi na ziemię, ręce obwisły bezwładnie. Nawet mu głową na podziękowanie nie kiwnąłem. Zdobyłem się zaledwie na przeciągłe:

— Taak?

— A juści — odparł. — Całuchne trzy godziny warowałem, ażem ci go wreszcie przydybał.

— Tak? — powtórzyłem po raz drugi.

— Wylazł z bramy — ciągnął Andrzej dalej — a ja do niego. „Pst! panie, jak się pan nazywasz?” Złakł się i powiada. A ja: „tak się, jucho, nazywasz?” i bęc! On: „ratujcie” krzyczy. A ja: „piszczysz?” i bęc

drugi raz. Jakem się rozhuśtał to mi ino łapa latała, Oo!... potyrałem.

Spojrzał potem na mnie i pokiwał głową.

— Fiu, fiu!... Ten cię zdrowo podrapał.

Nic mu na to nie odpowiedziałem.

— A boli?

Tu, jakby mnie kto ukropem oblał. Zagryzłem wargi aż do krwi.

— To on cię tak: prosto batem?

— Andrzej! — zachnąłem się rozpaczliwie.

— No co? O jej! Że też takie ceregiele, jak z chorym. Idę sobie, idę. Ino, że mam do ciebie interes.

— Jaki? — pytam oschle.

— Mnie uważasz, Kazik, wezmą pewno do rataja za obrazę (niby cielesną...) Czego się dziwisz?... Idź uważasz, na tej ulicy, co fabryka stoi, pod numer piąty (ja tu wszystko wypisałem: co i jak). Tam, niby w oficynie, zapytasz o panią Józefową i powiesz, że Andrzej grzecznie się kłania i pyta o pannę Walerkę. Jak ona (niby Walerka) jest w domu, to powiedz, że także się kłaniam i że jestem zdrów i do brze mi się powodzi ino, że za obrazę wzięli mnie do rataja i bez to mnie niema. Rozumiesz?

— Andrzej! — zawołałem chwytając go za rękę — to za mnie.

— Co za ciebie?

— Za mnie będziesz siedział.

— Ee!... Austriackie gadanie...

Zbiegł ze schodów. Na dole zatrzymał się i wołał ku mnie przez dłoń:

— Kazik! a natrzyj se pysk sadłem; prędzej
zelży.

Podjąłem kij z ziemi, obracałem go czas jakiś
w rękę; potem, nie wiedząc sam, co robię, oparłem
o kolano i złamałem na dwoje.

VI.

Minął wreszcie ten dzień. Poza głuchą goryczą, ukrytą gdzieś na dnie serca, posiadam zaiste ślimaczy spokój. Opatrywałem swą twarz z zupełnym spokojem, nawet z pewną pedanterją. Z angielskiego papierka wykrajałem tasiemkę i zalepiłem nią pręgę na policzku, pokryłem to watą i przewiązałem twarz chustką. Pierwszemu ze znajomych, jakiegom spotkał na ulicy, zacząłem się uskarżać na ból zębów.

Robotę znalazłem tym razem prędko i wszedłem po kilku dniach w zwykłą kolejkę. Brak mi ludzi jak zwykle, a właściwie bardziej niż zwykle, gdyż do panny Heleny za karębyłm nawet nie poszedł i za podobne zachcianki karcę siebie zmudnem i niemiłosierdnie złośliwem przypominaniem swego upokorzenia. Andrzej siedzi w kozie, i nie mam o nim żadnej wiadomości. Zakrzewski obraził się na mnie wtedy w cukierni i nie kłania mi się nawet na ulicy.

Wieczorami odwiedzam na stary sposób swych znajomych i wizyty te stają się plagą dla pilnych ludzi. Uciekam z domu już nie tyle z obawy nudów, jak wprost z litości nad samym sobą. Co ja za awan-

tury nad książką wyprawiam! Chcę czytać, a nie mogąc zrozumieć najprostszego zdania, gryzę ze złości własne ręce. Wreszcie ciskam książkę i wybiegam szukać ludzi. Za mną goni jakaś mara i szepce mi ciągle do ucha:

Idjociejesz — idjociejesz!...

W narożnym domu, tuż obok, mieszka Borowicz. Znam go wprawdzie mało i nie lubię takich kretów, jak on. Zresztą wszystko mi jedno. I do diabła bym zaszedł, byle nie zostawać z samym sobą. Wchodzę zatem do niego i pytam ze słodką miną:

— Nie przeszkadzam?

— Nie bardzo.

— Ja na chwileczkę tylko, zobaczyć, co u was słychać.

— Nic nowego. Zajęcia dużo.

— Tak?

— Aha.

— Bo za dużo pracujecie.

(To zdanie powtarzam ze szczególną satysfakcją każdemu. Bodaj że szukam w tem usprawiedliwienia, iż sam w domu nad książką nie siedzę).

— Macie jaki interes? — zapytuje Borowicz.

— O nic ważnego. Tak tylko.

Milczymy obaj. On bębni z niecierpliwością po stole, ja zaś pocę się nad wymyśleniem jakiego pretekstu, któryby mi pozwolił dłużej u niego pozostać.

— Wiecie, Modrzejewska przyjeżdża — zacząłem ni stąd, ni zowąd.

Powstał z krzesła i zaczął biegać z niecierpliwością po pokoju.

— Jutro mam egzamin — zawołał, zatrzymując się przede mną.

— Tak?

— A jakże. I nic nie umiem.

— Ja przeszkadzam zatem?

— No, tak... chociaż, dalibóg... Wybaczcie. Mam jednak nadzieję, że... Wszak my w sąsiedztwie mieszkamy?

Biegnę do drugiego. Tu powtarza się prawie to samo. Zachodzę wreszcie do Zanicza. Ten bo najcierpliwiej znosił moje wizyty.

— Co słyhać?

— Czytam właśnie.

Siedzę znowu w kłopotliwym milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Nudno w Warszawie? — zapytuję.

— O, nudno.

Przeciągnął się tak, aż mu w stawach zatrzeszczało. Nuży go wkrótce ta rozmowa i zaczyna przewracać kartki w książce.

— Co czytacie obecnie? — pytam.

Zanicz spojrział na mnie od niechcienia i wyrecytował jednym tchem:

— *The economical princips in the evolution of the human society.*

— Po angielsku?

— Aha.

— To wy umiecie po angielsku?

— Umiem.

I to się urywa. Spoczął wzrokiem przez chwilę na książce, odrywa go wszakże śpiesznie, by rzucić mi zdawkowych kilka słów:

— Bardzo łatwy język.

Po jakimś czasie przestaje się krępować i czyta, nie odrywając oczu. Z początku siedzi jeszcze bokiem do książki, później i ten mały wzgląd uważa za zbyteczny. Opiera łokcie na stole i odwraca się do mnie tyłem.

— Jeżeli sądzisz, że mnie w ten sposób wyrzucisz — pomyślałem — to się grubo mylisz. Zostanę tu, choćbym ci się najwstrętniejszym natrętem wydał. Zostanę, bo mi tu nawet lepiej niż w domu; bo choć gardzę tobą, czuję jednak przy sobie żywą istotę. A ty możesz myśleć, co ci się żywnie podoba.

Przesiedziałem u niego całą godzinę, aż wreszcie samego mnie to znudziło i wyszedłem na ulicę.

I gdzie ja teraz pójdę — co zrobię z sobą? Wracać do domu? Wszak nie zasnę przed północiem? Siedzieć zatem i dumać? Za nic w świecie! Wolę iść tam, dokąd mnie pan Kwaśniewski niegdyś zaprowadził. Tam są również ludzie.

Niedługo namyślałem się.

Chodzę tam coraz to częściej. Jest to jedyna moja ucieczka przed samym sobą i przed Michasiem, gdyż na tego chłopca już patrzeć nie mogę.

Którejś niedzieli wrócił Andrzej i wprost z kozy zaszedł do mnie. Nieraz zastanawiałem się nad tem, co my za wspólność mieć możemy i co nas łączy. Czyżby to znowu maszyna robiła? Nie wiem, nie rozumiem. A jednak jakąż mi radość sprawił jego rubaszny głos!

— Kazik — wołał jeszcze na schodach. — Jak się masz! Co malec porabia? Jakże go tam? Michaś, co?...

Spostrzegł Michasia i obdarował go natychmiast piernikiem.

— Na — mówił. — Nie bój się, to nie z ratu-
sza. Tam ci takich specjalów nie dają.

— To ty Andrzej całe dwa miesiące siedzia-
łeś? — pytałem, ściskając go serdecznie.

— Jakbyś zliczył. Całuchne dwa miesiące... A to
bez tego sędziego. Bo ja ci opowiem, jak to było.

Michaś rozbawiony gestykulacją i mową Andrze-
ja, pokładał się od śmiechu.

— A ty, czego się śmiesz? — huknął na nie-
go Andrzej. — Obaczysz... sam wlecisz jeszcze do
ula. Jenó wyrośnij, bo teraz to ci ino w skórę dadzą.

Musiło go to szczerze zagniewać, gdyż zwró-
cił się do mnie z napół obrażoną miną.

— Taki knot!... Najgorsze bestyjstwo jest to, że
mi do paśportu wpisali. Niby że Andrzej Młocik sie-
dział w ulu za burdę. Z pieczęcią jest.

Tu wyjął z kieszeni brudny, pomięty świstek
i pokazał ów przykry dokument.

Położyłem mu ręce na ramionach i patrząc wy-
mownie w oczy, zapytałem:

— Andrzej, czy to warto było dla mnie?...

— Może i nie warto — odpowiedział naiwnie. —
A zresztą stało się i pluć na to. U Walerki byłeś?

— Byłem.

— No?

— Powiedziałem, coś chciał.

— Zara idę do niej. Chciałem ci ino powiedzieć,
że mnie już puścili, no i żem po drodze spotkał two-
ją kobietę.

— Moją?!

— Ano? Pannę Walicką. O... smaczna kobieta!

— Co ty pleciesz? co ty pleciesz?

— Nie twoja? Dla mnie możesz i nie spowiadać się. Prosiła tylko, żebyś zaszedł... A widzisz, jakęś pokraśniał? Aha?

— Nie błażnij, Andrzej, nie błażnij — mówiłem spokojnie.

A jednak wargi mi drżały, gdy mu zadawałem pytanie:

— Czy naprawdę prosiła?

— Jak Boga... Mnie bo do Walerki prosić nie trza. Mówiła tak: Niech Andrzej spyta pana Kazimierza (niby ciebie znaczy), czemu do mnie nie przychodzi.

Rzuciłem się Andrzejowi na szyję i pocałowałem go.

— Widzisz go, jak się gzi? Ech-te-tel... No a tera gadaj: twoja czy nie twoja?

Roześmiałem się, jak już dawno się nie śmiałem.

— No? — dopytuje upornie Andrzej.

— Moja, moja! — wołałem, ściskając go po raz drugi.

— I widzisz go! Taki ślimak książkowy i jak to się rozhuźdał. A teraz chodźmy: ja do Walerki, a ty do swojej. Jazda!

Andrzej wpadł w znakomity humor. Ujął mnie pod rękę i śpiewał przez całą drogę.

— Takiej mnie ci Stasiak piosnki nauczył, słuchaj:

„Hej panowie w górę szklanki!

Każdy zdrowie swej bohdanki,

Ty Heli, ja Walerki" *(nie pasuje, psia kość).*

Wpadłem do niej jak szalony i bełkotałem zadyszonym głosem:

— Panno Heleno... Andrzej mówił, że...

Powitała mnie tak serdecznie, jak nigdy dotychczas.

— Niedobry — mówiła pieszczotliwie i mrużyła przytem oczy. — Nieładnie... całe dwa miesiące.

Boże, jak ona to ślicznie mówiła!

— Niech pan siądzie tu, koło mnie. Zadam panu jedno pytanie. Albo nie... Niech mi pan w oczy spojrzysz.

Taką radością śmiały się moje oczy, że pannie Helenie nietrudno było znaleźć odpowiedź.

— Już wiem — wyszeptła po chwili i wnet pospieszyła z usprawiedliwieniem:

— Pan mi tego za złe nie bierze? Wszak my możemy być zawsze przyjaciółmi.

— Zawsze, zawsze! — wołałem.

I jakby pod tchnieniem czarownem lub wróżki jakiej dotknięciem spadła maska, co mi twarz w kurcz bólu i zniechęcenia skrzywiła, usta uśmiechem się rozchyliły, z głowy spadł ciężar, co ją tak tłoczył, znikła ociężałość i niedołęstwo myślenia; odzyskałem całą siłę i energję dawniejszą, a obwisłe skrzydła, zda się, znów do lotu się rozpięły.

O czem myśmy wtedy nie mówili? Wspominaliśmy głupiego Kazia i jego tłustą mamusię, śmieliśmy się nawet z Zanicza i jego wielbicieli.

— Pan jest jednakże niedobry — przerywa mi panna Helena.

— A to dlaczego?

— Bo kryje się z czemś przede mną.

— No?

Wyjęła z szuflady stary numer „Postępu“ i wskazując mi na tytuł „Z krainy pięknych słówek“, zapytała cicho i pieszczotliwie:

— Kto to pisał?

— Stare dzieje.

— Tem gorzej, że dopiero od Kwaśniewskiego dowiadywać się muszę. Myślałam, że pan mi więcej dowierza, niż Kwaśniewskiemu.

— Co też pani mówi. Wstydziłem się i dlatego milczałem.

— Było też czego się wstydzić. Ale, czemu pan więcej nie pisze?

Roześmiałem się serdecznie.

— Ł, bo się pogniewamy — grymasiła, udając, że odwraca się ode mnie. — Musi mi nieznośny Kazio (pan się nie gniewa za to?) obiecać, że napisze coś dla mnie. Dobrze?... Tylko proszę głową nie kiwać, ja nie lubię tego.

— Czyż ja potrafię, paniusiu?

Chciałem jej odpowiedzieć również pieszczotą i zdobyłem się zaledwie na tak pokorny przydomek. Jej podoba się to wszakże, gdyż grozi mi palcem i śmiejąc się, mówi.

— Taki skromniutki. Gdybym ja tak umiała, już-bym całe libry papieru zasmarowała.

Jest mi tak lekko, tak swobodnie na duszy, jak nigdy. Obiecałem jej napisać długi, nieskończenie długi artykuł i nie żałować „tych tam“. Śmiałem się i dokazywałem jak dziecko. Gotowem był nawet skakać po pokoju z radości.

Trwałoby to zapewne i dłużej, gdyby nie jedno niezręczne jej słówko.

— Co pan teraz robi? — zapytała.

Odpowiedziałem jej ni to, ni owo, starając się pokryć uśmiechem niemiłe wrażenie. Od tej chwili zaczęło iść kulawo. Raz wpadłszy na tory „dnia dzisiejszego“, trudno było z nich zboczyć. Z ust wyrwała mi się mimowoli jedna i druga skarga, na pytanie odpowiedziałem podobnem pytaniem, czem i ją w zakłopotanie wprowadziłem. Próbujemy być i nadal wesołymi, lecz nie udaje się to nam obojgu.

Powoli wynurza się z tej wesołości upiór dnia wczorajszego, za nim idą wypadki ostatniego tygodnia: i tak oto zacząłem grzebać we wspomnieniach. W całym nastroju powstaje wszakże niewyraźna świadomość chwilowego szczęścia, szczątek wesołości. Chwytam się tego rozpaczliwie i odpycham niemiłe myśli. Udaje mi się to w części, gdyż wpadłam w jakieś senne zadowolenie. Mówić nie chcę, by nie powiedzieć lub nie usłyszeć czegoś przykre-ggo. Jest mi dobrze i chciałbym tak siedzieć bez końca i czuć ją koło siebie.

Teraz dopiero spostrzegłem, że panna Helena ma na sobie obcisły kaftanik, który znakomicie jej kształty uwydatnia. Rękawy zagięły się jej tak, że widzę rękę aż po łokieć. Jakież ona ma białe, delikatne rączki. Nigdy przedtem tego nie zauważył.

Bezwiednie prawie kładę dłoń na jej rękę.

— O czem pan tak дума? — zapytała zcicha.

— O niczem... Tak, ot.

Podniosłem jej rączkę do ust i złożyłem na niej długi pocałunek. Potem ująłem ją w obie dłonie i zacząłem się bawić jej palcami.

Ona nie spostrzegła tego w zadumie. Oczy jej otworzyły się szeroko i patrzą błędnie w dal, policzki ubarwił rumieniec, usta rozchyliły się cokolwiek. Jakże ona piękną wtedy była.

Ośmielony jej roztargnieniem, pocałowałem po raz drugi, trzeci; ująłem za łokieć i zagiąłem wyżej jej rękaw. Wreszcie przestaję już panować nad sobą. Chwytam ją wpół i wyciskam na ustach długi, namiętny pocałunek.

Ona nie odrazu się przebudziła. Odpycha mnie lekko i pochyla mi głowę na ramię.

Widzę, jak w jej wielkich, zadumanych oczach kilka łez się perli.

— Helu, Helciu!

Wyrwała mi się z rąk i odskoczyła na drugi koniec pokoju.

— Co pan robi? — zawołała. — Kaziu, panie Kazimierzu!... Idź, idź... nie zbliżaj się do mnie. Nie składaj rąk, ja nie chcę widzieć tego. Jakże ty wstrętnie wyglądasz... Panie Kazimierzu, proszę natychmiast wyjść... Zaklinam pana!... Prędszej!...

Wytoczyłem się jak pijany na ulice i ledwo że drogę do domu znalazłem.

Dawniej mogłem z nią obcować i nigdy tego nie było. Dziś jestem skończonym chamem: zdrętwiał mi umysł, poszło za nim i serce.

Z takimi myślami kładłem się do łóżka. A jednak, usypiając, marzyłem o niej: o jej cudownych oczach, drobnej, białej rączce, o delikatnej twarzy, utoczonej piersi, o jej małej nóżce.

Inaczej dawniej o Heli myślałem.

VII.

Skąd się wziął we mnie ten gnuśny i apatyczny pesymizm. Oto na drugi dzień zadaję sobie następujące pytanie:

Co ją skłoniło do wezwania mnie? Czyżby wiadomość o mym artykule? Więc ja jej znów imponować zacząłem? Jeśli na takich podstawach przyjaźń nasza spoczywa, runie ona niezapowiedzianie z nieubłaganą koniecznością. Wreszcie jeśli mam się w piersi uderzyć i wyznać szczerze, to ja ani na chwilę nie wierzę w tę przyjaźń.

Jak jej głowa była stodołą, w którą rzucono bezładnie wszelkie śmiecia, tak i serce nabrało okrucichów najrozmaitszych wrażeń i zachowawszy je w nieładzie wytworzyło węzeł tak pogmatwany, że sama rozplątać go nie potrafi. W tym składzie były szczątki wspomnień z tych czasów, kiedy moja osoba na wierzchu tego śmietnika leżała. Wystarczyło tedy nawet tak miernego bodźca, jak ów artykuł, jakiegoś słabego nimbu tajemniczości, by wywołać zwrot wsteczny ku odległym czasom. A to, że zaszła za daleko?... To był tylko słaby odgłos jej natury, spowodowany mojem zachowaniem się. A jednak i to

nawet jest mi sympatyczniejszym od niej całej. To był głos tej samej natury, która, gdyby nie Żanicz, boski twór daćby mogła.

Może to owoc grymaśnego usposobienia wykolejonych natur, lub może ów jadowity skorpion sumienia podsuwa mi złość i niechęć ku tej Heli, którą wczoraj jak kochankę ściskałem.

Gdy myślę o niej, krzywię usta i czuję chęć dokuczenia jej, sprawienia bodaj drobnej przykrości. Wydaje mi się nawet, że drażnię ją jak dziecko, szczypię boleśnie i sprawia mi to pewne zadowolenie.

O tym wieczorze zapomnieć nie mogę. Przeżyłem go potem setki razy z największą dokładnością. A gdy tak marzę — płaczę, to znów śmieję się i gadam ze sobą... Nieraz zrywam się i chcę biec do niej; jak zwykle brak i na to odwagi. Zostaję w domu, by po raz nie wiem który przeżuwać miłe wspomnienia. Dodaję do nich przeróżne warjacje i odmiany; fantazjuję na ów temat bez końca.

Niepokoi mnie to, że nie mam od niej żadnej wiadomości przez całe dwa tygodnie i chciałem już Andrzeja posłać na przespiegi, gdy któregoś wieczora wróciwszy z fabryki, zastałem bilecik od niej.

„Panie Kazimierzu“ — pisała. — „U Twardzikich zbiera się dzisiaj kilku naszych przyjaciół. Polecono mi Was zaprosić“.

Więc nie chce ze mną zerwać. List był krótki i suchy, zawierał wszakże cenną wskazówkę; mianowicie: słówko „wy“. Domyślałem się, na jakim stanie my obecnie stanowisku, i ta myśl wywołuje znów jadowity grymas.

Jakżebym ja chętnie powiedział jej:

— Towarzyszko Helu, chciałbym wyciąć wasze szliczne, mądre oczki.

Zanim pożyczyłem tużurek i kamasze, zanim wreszcie zmyłem z twarzy i rąk gruby pokład brudu tabrycznego, minęły dwie godziny. Do Twardzickich zaszedłem zaledwie na dziesiątą godzinę.

Już z przedpokoju usłyszałem gwar i zawziętą sprzeczkę. Dawniej i ja umiałem gadać całemi godzinami, zmieniać porządki społeczne, ćwiartować Europę, fruwać po wszystkich dziedzinach ludzkiej wiedzy, rzucać cytatami, których nie pamiętałem, wywoływać cienie wielkich mężów, o których zaledwie słyszałem. Robiłem to wszystko z jednym celem: by wyjść zwycięsko z dysputy. Dziś? — Jakże mi to dziś obojętne. Ale oni nigdy się nie zestarzeją, wiecznie zostaną takimi, jak byli, póki synekurka, mały urząd lub co najpewniej bogata żona nie nauczą ich mądrości życiowej i każą z uśmiechem politowania mówić o czasach, kiedy to w zapalanej głowie Bóg wie co się roіło. Tymczasem wygodnie im w mundurkach; a że na świecie nudno (jak Żanicz mówi), więc też schodzą się od czasu do czasu z mocnem postanowieniem przyprawienia się wzajemnie o rozmiękczenie mózgu.

Przekonałem się nieraz, że taki wygadany młodzieniec wypowie przez jeden wieczór nietylko to, o czem wie i nie wie, lecz i o czem wie jego ciotka, kuzynka, o czem słyszała stróżka w jego domu. Seanse te nazywają się: „herbatnikami“ i sprasza się na nie młodzież płci obojga. Kobiety grają w tym turnieju językowym rolę dam średniowiecznych: dodają

zapału i zarazem trochę pieprzyku do suchych i nudnych rozpraw teoretycznych.

Wysłuchuję się w ten gwar i zadaję sobie pytanie: po co ja tu przyszedłem? Naprzeciw mnie siedziała panna Helena i w tem bodaj było rozwiązanie zagadki.

Musi być wszakże w dyspucie coś zaraźliwego, gdyż po chwili odczuwam i ja potrzebę opozycji, aczkolwiek nie wiem jeszcze, o czem tu mowa. Wysłuchuję się uważnie i chwytam za ledwie kilka napuszonych frazesów, parę nazwisk, znanych w świecie naukowym, coś w rodzaju rozumowania *contradictio in adjecto*. Nie mogę wszakże zrozumieć, o co tu chodzi. Wreszcie wyłowilem z trudem kilka niezrozumiałych słówek: „ekspropriacja“, „pauperyzm“ i t. d.

Mówi Zanicz i okrasza swą orację makaronikiem angielskim, zapewne zapożyczonym z tej książki, którą u niego widziałem. Dowodzenia jego robią wrażenie nowości na słuchaczach.

Zanicz bawi się filuternie binoklami, wymachuje długimi palcami, wygina się co chwila ku pannie Helenie i mówi potoczyście, nie zająknąwszy się ani razu.

— Tak, moje panie — kończy. — Jedynie zjednoczenie sił produkcyjnych wedle pewnego planu może doprowadzić do postępu. Jednostka jest zerem.

— Zerem? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Niestety, panie Zaliwski — uśmiecha się Zanicz, szczęśliwy, iż może mnie oślepić nowością.

— A cóż wobec tego znaczy wolność indywidualna, „szlachetne zapasy o pierwszeństwo“, ów egoizm w pojęciu dodatniem?

Nie dał mi skończyć, powtórzył kilka zdań z poprzedniej mówki i nie troszcząc się wcale o to, że ja nic absolutnie nie rozumiałem, zwrócił się do drugiego oponenta.

Nie daję za wygraną; zbieram szybko dowody i zwracam się z niemi do Żanicza. Ten powtórzył po raz trzeci owe zagadkowe twierdzenia. Po nim zabrał głos drugi i mówiąc spokojnie i trzeźwo, z pewną miękkością w głosie, stara się mnie przekonać, że Żanicz ma rację.

Odczuwam pewne zakłopotanie i czuję, że po ich stronie jest więcej słuszności. Ambicja nie pozwala mi wszakże przyznać się do tego. Im mniej pewny jestem, tem kategoryczniej się odzywam. Spostrzegam wkrótce, że mój sposób myślenia jest zupełnie odmienny, że z dwóch przeciwnych stron zapatrujemy się na rzecz i że wreszcie język nasz jest nawet do pewnego stopnia inny. Ja w ich sposób rozumowania wmyśleć się nawet nie potrafię i bezwiednie powtarzam całe zdania wyczytane kiedyś podczas bezsennych nocy. Uwierzyć w to nie chcę, by to, czem żywiłem mój umysł przez tyle lat, miało być czczem słowem. Po prostu brak mi argumentów.

Dziwny charakter nosi ta rozmowa: Oni zda się wypowiadają, w uczonej formie „pauperyzmów“, „eksproprjacji“ i lichu wie czego, myśli, do których ja sam doszedłem ciężką drogą życiową, kosztem własnego zdrowia, umysłu i serca. Tak, oni mówią coś podobnego, a ja im zaprzeczam.

Nawet Żanicz, ten głupi Żanicz, powiedział:

— Jednostajne i monotonne zajęcie spowodowane podziałem pracy i maszyną, ogłupia człowieka.

Ja kiedyś powiedziałem, że robi się małą, a teraz zaprzeczam mu. Skąd on, doszedł do tego?

— Nieprawda! — krzyczę. — Praca uszlachetnic.

Zdanie to było wprost wyjęte z elementarza.

Ledwo Żanicz skończył, a rzuca się na mnie drugi. Mówi piskliwym, ironicznym głosem i górę dowodów stacza na mą głowę. Po nim zabrał głos poważny jegomość; radzi mi przeczytać tę i ową książkę i nie wygłaszać sądów dawno pokonanych przez naukę.

Zaczyna mi się już w głowie kręcić, tracę wątek myśli i nie wiem, co odpowiedzieć. Obsaczony ze wszystkich stron, mieszam się, i pomimo że zbieram dowody z szalonym wysiłkiem, czuję, że bywa, wpadam w złość i nie mając argumentów, zaczynam ratować się zgryźliwością.

Lecz i na tem polu mnie pobito. Po prostu kręcę się, jak piskorz w sieci. Nie potrafię już zdania rozsądnego skleić, a rumienie się przytem jak żak. Najchętniej biłbym teraz.

Otóż już mam nowy dowód, lecz zaledwie głos zabiorę, potracę o to, com chciał powiedzieć, i zaplączę się we własne słowa; zbaczam wnet z drogi i mówię już Bóg wie o czem.

Urwałbym może i zamilkłbym, gdyby nie to, że naprzeciwko mnie siedzi panna Helena.

Krążę tedy uparcie koło mej myśli, nie mogąc dobrać do środka, jakam się niemożliwie, przepraszam co chwila słuchaczy, ilustruję swój sąd niedorzeczniemi przykładami, powołując się na zdrowy roz-

sądek; aż wreszcie myśl się rozproszy i cała budowa rozumowania runie. Zaczynam pleść już koszałki.

— Ee! — grymasi zniecierpliwiony Zanicz.

— Przepraszam... bardzo proszę... Weźmy na przykład (Niech to państwa nie nudzi). Ale weźmy dajmy na to człowieka... (Pan się niepotrzebnie krzywisz, panie Zanicz). Otóż weźmiemy na przykład chłopca, który orze ziemię (Czego pan się śmiejesz?) Orze ziemię, mówię... (Czym może źle powiedział?) Orze ziemię... A drugi sadi buraki...

Zębami zgrzytam ze złości, słysząc jak się ze mnie śmieją. O, gdybym ja ich dostał przed rokiem bodaj, dałbym sobie z nimi radę. Dziś mogą drwić bezkarnie.

— Bardzo przepraszam! — krzyczę niezmordowanie, przerywając Zaniczowi. — Weźmy na przykład tych dwóch chłopów... I cóż?

Zanicz spojrzał na mnie z ironią i wycedził:

— Jeden orze ziemię, drugi sadi buraki...

— Tak jest, właśnie... Otóż jeden...

— Sadi buraki — wtrąca Zanicz.

Już dygoczę ze złości i zagryzam wargi, by nie wybuchnąć. Muszę nawet zmrużyć oczy, by ukryć łzy. Spoglądam przed siebie i widzę, jak Hela mieni się na twarzy, wstydząc się za mnie. Daje mi nawet znak ręką, bym zamilkł i potwierdza ten gest zmarszczeniem brwi.

— Cóż z tego wynika? — pytam dalej, jak gdybym był gotów wyciągnąć konsekwencję z mych słów.

Zanicz mi odpowiedział:

— Oczywiście buraki.

Tego było już za dużo. Nadomiar złego Hela, chcąc ukryć zmieszanie, zwraca się do Żanicza i obdarza go miłym uśmiechem.

Zerwałem się z krzesła i wyciągnąwszy kułak ku Żaniczowi, krzyknąłem:

— Ja ci, szelmo, zęby powybijam!

Zapanowała cisza grobowa. Ja oprzytomniałem i wymykam się z sali. Z przedpokoju pochwyciłem jeszcze te słowa:

— Trudno, i demokratyzm ma swoje niemiłe strony.

Wybiegam na dwór i staję na środku ulicy. Nie mogę się zorientować, gdzie się znajduję, w której stronie mój dom. Nagle, jakby myślą jakąś porażony, biegnę co sił, wpadam do bramy, przeskakuję po kilka schodów naraz: już jestem u siebie. Drżącą ręką zapalam lampę i chwytam pierwszą książkę z brzegu.

Uczułem szaloną i warjacko nagłą potrzebę nauki. Od dziś już zacznę — myślałem — od tej chwili. Ja muszę się uczyć, by nie wolno było mną ponieierać byle komu, by nie stać się zwykłą małpą do posługi maszyny... Muszę, bom to sobie zaprzysięgał!

Otwieram książkę i wychwytuję pierwsze zdanie z brzegu.

Nic nie rozumiem!...

Czytam po raz drugi — toż samo. Czytam trzeci, czwarty i piąty raz, a wątku precz pochwycić nie mogę.

Pamiętam to zdanie na pamięć, pamiętam je dziś jeszcze.

„Ure tak się wyraża o maszynie do drukowania

perkalików: Nareszcie przemysłowcy postarali się wytłamać z pod nieznośnego prawa. W tym celu zwrócili się do nauki i znów zostali przywrócenii do należytych praw swoich“.

Tak, pamiętam znakomicie, pamiętam, z jakim uporem powtarzałem to zdanie:

„Ure tak się wyraża o maszynie do drukowania perkalików... Ure tak się wyraża o maszynie...”

Nie rozumiem!... Boże wielki, Boże miłosierny, zlituj się nade mną!... Ja nie jestem jeszcze idiotą. „Ure tak się wyraża o maszynie do drukowania perkalików...”

Podejrzywałem, iż w tem zdaniu kryją się abstrakcyjne spekulacje, część zawilego rozumowania, którego rozplątać nie mogę. Słyszę słowa, lecz nie chwytam treści. A tę wydobyć musiałem, by sprawdzić swe władze umysłowe. Może nigdy nie zdobyłem się na tyle zapamiętałego uporu, jak przy powtarzaniu tego niewinnego zdania:

„Ure tak się wyraża... Ani słówka nie rozumiem.

Przeczytałem raz jeszcze to zdanie. Łzy zbiegły mi do oczu, spazm gardlany głos mi zatamował. Upadłem na łóżko i ukrywszy twarz w poduszce, darłem się, jak opętany:

„Ure tak się wyraża o perkalikach!...”

VIII.

Obudziłem się około południa. Pierwszym moim czynem było przeczytanie wczorajszego ustępu. Przeczytawszy nie roześmiałem się, ani nawet ramionami nie wzruszyłem. Przejrzałem spokojnie, z takimże spokojem położyłem książkę na półkę i wyszedłem na ulicę.

Jeśli to prawda, że można czasami wcale nie myśleć, to ja wtedy nie myślałem. A chwile takie bywają bez wątpienia. Jest to znów nuda – wszakże nie to, co męczy filistrów w niedzielę, damy salonowe w dzień, lecz nuda, wobec której każda myśl o ziewanie przyprawia, każdego człowieka mdłym i wstrętnym czyni.

Coś podobnego i ja odczuwam.

Oto ulica moja zawsze i wiecznie jednakowa (mój świat nigdy się nie zmieni). Na rogu stoją, jak zwykle, trzy dorożki, numery: 325, 586 i 1232. Codzień je tu widuję. Znam twarze dorożkarzy i maść ich koni. Naprzeciw mnie idzie piekarz.

Znam go dobrze, znam nawet jego historię: ożenił się dwa lata temu i ma, rozumie się, dwoje dzieci; żona jego choruje na zęby. Zawsze na powitanie

powtarza mi z jednakowem brzmieniem: „dzień dobry, kochanemu sąsiadowi“. Oto podchodzi do mnie i mówi słowo w słowo toż samo. Kilka kroków dalej bawi się gromada dzieci. Spotykam je tutaj codzień w południe i znam je po imieniu. Jeden Józiek, syn praczki, ma wykrzywione buty i łątę na prawym kolanie; drugi, Wojtek, ma spodnie przerobione z garnituru ojca (pamiętam, że ojciec jego nosił przed rokiem takie ubranie); dalej Anusia, córka szwaczki i nieznanego ojca. Podchodząc do nich, przypominam sobie to wszystko i wiem, że oto podbiegną i będą prosili o stare śruby.

— Panie, śruby — wołają i dziś piskliwym głosem.

Dalej pies wygrzewa się na słońcu: codzień w południe tu leży. Spostrzegłszy mnie, podchodzi, kręci ogonem i powraca na swe miejsce.

Zupełnie jak wczoraj. Bodaj że pies ten zachorowałby ze zdziwienia, gdyby mnie którego dnia tu nie spotkał.

Takim jest i moje życie. Oto mój świat, oto wrażenia, których doznaję! Chodzę, jak po deptaku z fabryki do domu, z domu do fabryki, a pozostałego życia akurat tyle, ile po drodze okiem zachwycę. Tyle i treści w tem wszystkim: pracuję na to, by mieć co jeść, a jem na to, by móc pracować. W tym kołowrotku kręcę się, jak wiewiórka w klatce zamknięta. I poza tem nic, coby jakimkolwiek, bodaj najmniejszym pokarmem dla ducha było.

„Kręcę dziury w żelazie, by mieć co jeść; jem, by móc je dalej kręcić“. Gdybym przez pół godziny to zdanie powtarzał, już z monotoności mógłbym

dostać bzika; a ja to w czynie powtarzałem przez dwa lata i jeszcze żyję: I tak żyć będę nadal.

Nie mogłem dłużej na ulicy wytrzymać i wróciłem do domu, by się położyć (jest to sposób, w jaki ostatnimi czasy zabijam wolne chwile). Niedługo jednak leżałem: wnet podrzuciło mnie coś na łóżku i postawiło na równe nogi. Nie mogę się zorientować, co było powodem tego.

Chwytam za czapkę i z tego ruchu nie zdaję sobie sprawy. Dopiero spojrzenie na zegarek wyjaśnia mi rzecz całą: była pierwsza godzina, a w tym czasie biegnę zwykle do fabryki. Konia do bębna przyuczą, dlaczegóżby człowieka nie mogli?

Dalsze rozmyślanie snułem pod drodze do fabryki: nogi mnie tam poniosły.

Sądząc z rybiego spokoju, jakim się obecnie cieszę, możnaby było wnosić, iż to co zaszło, nie pozostawiło po sobie najmniejszego śladu. Wszakże pod tą powłoką spokoju dzieje się ze mną coś niezwykłego. Nieraz wpadam w takie odrętwienie, że nie wiem, gdzie się znajduję, nie słyszę huku maszyn, ani nawoływań majstra (a jednak pracuję przytem). Gdy ocknę się, mam wrażenie, jakbym ze snu gorączkowego się obudził. Zdaje mi się, że układałem wtedy jakieś plany, że coś knuję; nie mogę jednak przypomnieć potem co było, o czem właściwie myślałem.

Z maszyną rozmawiam bezustanku o Heli. Raz ona mnie drażni, naśladując jej głos, to znów pociesza mnie, innym razem pieści się ze mną zalotnie.

Jakże ja zaczynam nienawidzić Heli, tą złą fałszywą nienawiścią, taką co to całować i bić gotowa, dręczyć jak psa, i pieścić jak dziecko.

Poszedłem wreszcie do niej, choć sam, dalibóg, nie wiedziałem, po co idę. Chciałem ją wprost zobaczyć, podrażnić się jej widokiem, uśmiechem czy zakłopotaniem, miłością, czy też opryskliwym tonem.

— A to pan? — zawołała ze zle udanem zdziwieniem.

— Ja... bo... tego... chciałem zobaczyć, co też słyszać u pani?

Ta kobieta odbiera mi resztkę rozsądku i robi ze mnie niezdarne, ślamazarne bydlę.

— U mnie nic nowego — odpowiedziała niedbale.

— A u pana?

— Wiecznie to samo.

— Jakże Michaś?

— Zdrow, dziękuję.

Rozmowa urywa się co chwila. Po każdym pytaniu następuje odpowiedź i nic ponad to, aż póki nie zdobyłem się na odważne pytanie:

— Pani bardzo mi za złe bierze moje wystąpienie wówczas?

— Staram się o tem zapomnieć.

— A inni?

— Co inni myślą, nie wiem.

— Bo to widzi pani...

— Panie Kazimierzu, nie mówmy o tem.

— Jednak ten wygadany młokos...

— Bardzo inteligentny człowiek.

— Czy tak?

— Tak.

— Nie może być? Inteligentny, inteligentny!...

Osiół inteligentny!...

— Panie?!

— Do widzenia, pani, panno Heleno... Dowidzenia... Osiół inteligentny! Ha, ha!...

Zdumienie nie pozwala jej przyjść do słowa. Ja śmieję się bez końca, a jednak z szaloną ochotą byłbym ją teraz.

A, jakżebym ją stłukł!

Posyłam jej na pożegnanie całusa i śmiejąc się, odchodzę.

— Osiół inteligentny!... Moja ty pieszczoszko...

Wyobrażam sobie, w jakim zdumieniu ją pozostawiłem. Po drodze zatrzymałem się kilka razy i namyślałem się, czy nie wrócić do niej i nie dać folgi temu uczuciu, co we mnie kipi.

Potrzebuję odwetu, chociażby kosztem swego życia. Ona gardzi i odwraca się ode mnie, bo widzi, że przy maszynie genjuszem się nie stał, że nie jestem takim, jakim mnie widzieć chciała, bo spadła ze mnie dekoracja człowieka i inteligencji i stałem się chamem fabrycznym.

A więc dobrze. Pokażę ja ci, że jestem takim tylko chamem, że nie umiem ocenić twego pięknego serduszka i mądrej główki. O jakże żałuję, że nie jestem Andrzejem.

— Słuchaj! — pytam go nazajutrz — cobyś ty zrobił, gdyby kobieta porzuciła cię dla innego, który ładniej gadać potrafi i więcej umie od ciebie?

— Niby dla wyszczekanego panicza?

— Aha.

— Plunąłbym i tyle.

— I ja tak zrobię.

— Ż dziwkami nie trza robić wielkich hec. Nie chcesz, bierz cię lichu! Inaczej się narowią. A wisz,

Kazik, co? Dureń jesteś i tyle. Tobie się zdaje, że oni ci zawsze basować będą. Zobaczysz, że ci niedługo powiedzą: „Adiu-fruziu“. Tamci widzisz nic nie robią, więc mogą jej cały dzień smalić, a ty?... Wiesz, Kazik, co ja ci powiem? Pluń!...

— Zrobię to, dziś jeszcze to zrobię.

— Powiedz im, żeby ich cholera... Dobrze? A jak przyjdzie potrzeba bicia, to już ja początek zrobię.

Tego wieczora pobiegłem do panny Heleny.

— Ośmielę się pana prosić, by te wizyty były możliwie rzadkie. Naraża mnie to wobec ludzi.

Tak mnie przywitała.

Nie odpowiedziałem jej ani słowa, zacisnąłem tylko zęby i siadłem na krzeselku. Patrzę na nią i śmieję się takim śmiechem, że ona aż blednie ze strachu.

— Pani się boi — zacząłem — by jej nie posądzono o stosunek z robotnikiem.

— Panie!... Tam są drzwi.

— Znajdę je potem sam.

— Proszę wyjść w tej chwili.

Słowa były groźne; ale wypowiedziane lękliwie, prawie jako prośba. A ta pokora sprawia mi przyjemność. Powstaję z krzesła i zapinam bluzę, chcąc ją przez chwilę utrzymać w obawie.

— A teraz, słuchaj panna.

Zdobyła się zaledwie na królewski gest ręką, wskazując mi drzwi.

— Nie tak wyniośle, moja panno. Zamykam drzwi, a panna możesz krzyczeć, ile się jej spodoba. Chociaż ja przyszedłem ci tylko prawdę powiedzieć. I płaczesz panna niepotrzebnie, bo mnie to nie roz-

czuli. Uczonym nie jestem, na delikatności uczuć nie znam się i dalibóg, nie potrafię odróżnić, co ten płacz znaczy: „chodź tu“, czy też „idź precz“.

Rzuciła się ku mnie z gestem oburzenia. Ale ja schwyciłem ją za obie ręce i ściskając je z całych sił, wołałem:

— Toć mógłbym w proch zgnieść ciebie!... I czego się wijesz? czego krzywisz usta? kiedy ci jeszcze nic nie powiedziałem... Słuchaj panna, kochałem ciebie.

— Puść mnie! Ja nie chcę słyszeć...

— Milcz!... Mógłbym być twoim kochankiem, gdybym ci potrafił wiecznie imponować. Ale nie żałuję, że się tak nie stało. O nie! I nie myśl, panna że przyszedłem tu gorzkie żale śpiewać... Jeśli panna chcesz wiedzieć, to ja pluję na twoją miłość... Ja, robotnik, ja cham, pluję na was wszystkich... I na pannę razem z jej miłością!

Wtedy dopiero puściłem ją. Uciekła na sofę i ukrywszy twarz w dłoniach, wybuchnęła cichym płaczem. Widziałem, jak drżała na całym ciele. Byłbym może nie zniósł tego widoku i pożałował swego okrucieństwa, gdyby nie to, że w tejże chwili wszedł Zanicz.

— Jesteś! — huknąłem, zbliżając się do niego.

Ten zbaraniał zupełnie i nie wie, czy ma uciekać, czy ratować panę Helenę.

— Panie Zanicz — westchnęła błagalnie Hela, zanosząc się od płaczu.

Zrozumiał wreszcie, iż cofać się tu nie można. Wsadził binokle na nos i próbuje mnie pokonać groźnem wejrzeniem.

— Zrzuć binokle — mówię — bo ci sam je strączę.

— Co?

— Mam ci powtórzyć? — zasyczałem.

— Warjat — mruknął wzgardliwie.

Dzikie zwierzę budzi się we mnie. Łapię go za bary i mówię bez sensu, mieszaniną prośby i wściekłości.

— Widzisz... widzisz, niedobry człowieku. Sam mnie wyzywasz. Twoja podła gęba nie pozwala mi darować obrazy. Wszak ci obiecałem, że ci zęby wybiję... Pamiętasz?

Trzęsę nim, jak snopem i czując swoją przemoc fizyczną, znęcam się nad nim nielitościwie.

— Łotr! — krzyczy Zanicz.

— Taak?... Chodźno tu... Daj łeb. Widzisz, tu o komodę tłuc nim będę. Tak!... Widzisz bydlę!... Skamlej, skamlej!... Proś Helci o ratunek...

On szamocze się, jak piskorz w moich rękach, lecz ulegać musi. Chwyciłem go lewą ręką za kark, prawą położyłem na czaszce i tłukę nią jak młotem o kant komody.

Ona próbuje oderwać mnie od mojej ofiary.

— Odejdź, sroko, bo i ciebie będę bił...

Gdy mi sił już prawie brakło, rzuciłem Zanicza jak stary grat w kąt pokoju i zwróciłem się do osłupiałej Heli, która jeno ręce przed siebie ze strachu wyciąga.

— Wiesz, kto to zrobił, kto pokaleczył tego inteligentnego człowieka? To ja, cham. Chcesz wiedzieć, dokąd pójde teraz? Do szynku... Do widzenia, towarzyszeko... Tfu...



IX.

Ledwo świt, a stałem już przy swej bormaszynie. Co tu się zdarzyło, tego powiedzieć nie potrafię, gdyż do dziś dnia zorientować się w tem nie mogę.

Stałem widocznie w zwykłym odrętwieniu, w tym półśnie, w jakim machinalnie podnosiłem i opuszczałem rączkę maszyny. Zdaje mi się, że wołano na mnie, że mnie ktoś pchnął czy uderzył; usłyszałem głuchy trzask i straciłem przytomność. Obudziłem się u szwajcara, gdzie bandażowano mi głowę. Potem znalazłem się w kantorze wobec dyrektora, następnie wypłacono mi z kasy kilka rubli i powiedziano, że jestem wolny.

Leżałem w łóżku przez trzy dni; czwartego rozpocząłem włóczęgę po fabrykach. Podobne wędrówki odbywałem już nieraz. Odżyły mi one w pamięci, a wraz z niemi wszystkie zdarzenia ostatnich dwóch lat.

Poszukiwania pracy uwieńczone zostały jedynym skutkiem, nauczyłem się mianowicie na pamięć następującego zdania:

— Tam przed bramą setki takich czeka.

Powtarzano mi to na różne sposoby. Raz spo-

kojnie, to znów niecierpliwie, gdzieindziej ze współczuciem; miejscami wskazywano tylko palcem na świat szeroki.

Na mieście spotykam znajomych, dawnych kolegów i przyjaciół. Jedni udają, że ich coś na przeciwległej stronie ulicy mocno zainteresowało, drudzy spoglądają pobożnie w niebo, wpatrują się pilnie w wystawy sklepowe. Wszystko dlatego, bym ich nie zechciał czasem zaczepić w brudnej bluzie. Zbyt dobrze to widzę i zbyt dobrze rozumiem. Zdziwiło mnie też niepomniennie, gdy redaktor „Postępu“ pierwszy mnie zaczepił i począł wypytywać, co u mnie słychać i czemu nie pisuję. Zaciągnął mnie nawet do mieszkania. Rozmawialiśmy z początku o rzeczach potocznych. Redaktor nie mógł się wydziwić zmianie, jaka we mnie zaszła.

— Wtedy — mówił — zrobiłeś pan na mnie wrażenie zdrowego człowieka. Dziś widzę jakieś rozdrażnienie, czy też... Sam nie wiem jak to nazwać. Powinieneś się pan leczyć.

— Chwilowe rozdrażnienie. Nic więcej.

— Chwała Bogu, że chwilowe... Ale, ale, czytałeś pan ostatni numer?

— Nie czytuję obecnie gazet.

— Zapewne, przy pańskim zajęciu... A jest tam ciekawy artykuł bardzo obiecującego człowieka. Nazywa się Zanicz.

— Ten!?

— Czemu się pan dziwisz? To bardzo inteligentny człowiek.

— Ja go uważam za idjotę.

— Ależ panie! To człowiek z olbrzymią przyszołością.

— Ja go uważam za idjotę — powtórzyłem z uporem.

— Przyznam się panu, że to dosyć dziwne.

— Jednak on jest idjotą — powtórzyłem po raz trzeci, czerwieniąc się ze złości.

— Nie rozumiem, nie rozumiem. Zresztą dajmy temu pokój (widzę, żeś pan bardzo rozdrażniony). Sprowadziłem pana umyślnie, by zapytać, czemu pan nie pisze. Zapewne, pański artykułik, mówiąc między nami, był dosyć dyletancki; wszakże z czasem... Tam były zarodki, nad którymi warto było popracować. Wówczas mówiłeś pan o swoim zawodzie technicznym i to z takim przejęciem, że nie próbowałem namawiać pana do czego innego. Przed kilku dniami wpadła mi znów do ręki pańska bajeczka, no i korzystając ze spotkania...

Tu począł się rozwodzić długo i szeroko nad potrzebą wykształcenia. Mnie aż coś podrywa na krześle. To blednę, to czerwienieję naprzemian.

— Dużo dyletantyzmu — mówił redaktor — ale przytem wiele talentu. Pisane to było bardzo ładnie. Gdybyś pan nie obrał drogi technicznej, namawiałbym pana na publicystykę... Co panu jest, panie?

— Nic, nic... Niech pan sobie nie przeszkadza.

— Jakżem się przestraszył. Czy pan nie miewasz czasem ataków sercowych? Powinieneś pan leczyć się koniecznie... Otóż, ja powiadam: dużo temperamentu dziennikarskiego, a przytem, jak sędzę, niemałe zdolności... Panie, ja się boję... Co się z panem dzieje?

— Nic wielkiego. Proszę o... szklankę wody. Niech pan sobie nie przerywa.

— To już chyba kiedyindziej dokończę.

— Proszę — mówię błagalnie, ujmując go za rękę.

— No, krótko, węzłowato: Gdybyś się pan był kształcił, mógłby z pana wyjść publicysta pierwszej wody, który temby się różnił od dzisiejszych, że robiłby to nie tylko z potrzeby, lecz dzięki prawdziwemu powołaniu... Już znowu! Czy pana co boli? Uspokójże się pan.

Przy ostatnich jego słowach schwycił mnie dreszcz febryczny. Drga mi każdy mięsień twarzy, dolna szczęka dygocze tak silnie, że aż zębami dzwonię.

— Dzięk... dziękuję panu — wyjąknąłem; podaję mu rękę na pożegnanie.

Ten patrzy na mnie i kiwa głową.

— Czemu?... — zacząłem i urwałem natychmiast.

— Chce pan co powiedzieć?

— Nic... Tak tylko... Do widzenia.

Byłem już we drzwiach, a odwracam się do niego raz jeszcze.

— Czemu... czemu wy...

Urwałem znowu.

— Czemuście ze mnie eunucha zrobili?...

Czemu!?

Dostałem spazmu histerycznego.

Redaktor zląkł się o mnie na serjo i posłał po doktora; poczem odwiózł mnie sam do domu. Zabawił u mnie przez chwilę, a wychodząc obiecał, iż

przyśle tu kogo z młodzieży. Jakoż niedługo czekałem; wkrótce zjawili się dwaj, z minami okazującemi przejęcie swą misją.

— Jakże się czujecie? — pytali już we drzwiach.

— Znakomicie. Jeśliście panowie przyszli wma-
wiać we mnie chorobę, to zbytęczne.

Cokolwiek ich to mieszało. Po krótkim namyśle weszli jednak do pokoju.

— Jesteście obecnie bez zajęcia?

Odpowiadam im opryskliwie.

— Szukam.

— Z jakimże skutkiem?

— Z żadnym.

Powtórzyłem owo zdanie, jakiem częstowano mnie w fabrykach.

— Otóż to — mruknął jeden. — Armja zapasowa.

— Co?

— Armja zapasowa. To się tak nazywa.

Zadowolony widocznie, że zdarza mu się sposobność do mówki, puścił się na teoretyczne rozprawy. Wchodzi na to Andrzej i zrazu zaciekawiony, staje na środku pokoju, kładzie ręce w kieszenie i słucha z uwagą. Nudzi go to szybko i przerywa zapytaniem:

— Nie masz, Kazik, czego do żarcia? Jeść mi się chce.

Mówca urwał i spojrzał wzgardliwie na Andrzeja.

— Wiesz Andrzej? — mówię. — Ja jestem obecnie żołnierzem armji zapasowej.

— A no, i ja jestem także.

— Widzisz, że nie rozumiesz; to inna armja.

— Inna? A bierz ją lichu.

Gość spogląda na nas obu i czuje widocznie, że lepiej byłoby milczeć. Chętka gadania przemogła wszakże. Jął coś dowodzić o ludzie roboczym. Ten młodzieniec jest mniej uczonym od Żanicza i wyraża się naiwniej. Z gmatwaniny frazesów, jakimi sypie około, przebija to, czego się dymyślałem podczas ostatniej dysputy: zupełna sprzeczność z tem, co dawniej wygłaszali.

— Więc tamto? — przerwałem mu.

— Ach, tamto...

— Poszło w kąt?

— Straciło rację bytu u nas.

— I dostało dymisję z pańskiej głowy?

— Tylko ciasne głowy stare hasła zatrzymują.

— Szerokie kują sobie nowe?

— Nie kują i nie tworzą nawet, tylko uszu nie zatykają przed niemi.

— Otóż to — pochwycił jego towarzysz.

— A stare hasła na szmelc? — pytam ich dalej. — Żyd kupił? Nie bójcie się i żyd ich nie kupi... Co zaś do nowych to: kupić nie kupić, potargować można. Otóż proszę mi wprzód odpowiedzieć, skąd wy do tego przychodzicie, wy, coście niedawno w inną dudkę dęli?

On rozstawił ręce i wycodził zwolna:

— Zmieniliśmy zdanie.

— Tak też pan mów! To właśnie chciałem od was usłyszeć. A wiecież, czemuście to zrobili?

Boście spostrzegli, że tamto pleśnieje, że na te grzybki nikt złapać się nie da. A wy musicie być

przecież na przedzie, sztandar dźwżyć, hufce prowadzić... Ja wasze zużyte dziś hasła brałem na serjo i w czyn je chciałem wprowadzić, za to awansuję dzisiaj na szeregowca waszej armji... Ale prawda, to już nie wasza armja. Wy od godziny już innymi jesteście, a szeregowcowi, co w waszej wojnie rozum stracił, rzucacie tylko: „Zmieniliśmy zdanie...“ Ja życia swego zmienić już nie mogę! Rozumiecież wy to dobrze, wy, dowódcy wszelakich tam armji? Rozumiecie, co znaczy nie móc życia zmienić i cierpieć dlatego, że jenerał był wczoraj innego zdania!?... Życie to nie zdanie, nie sąd, to nie jest teoretyczna paplanina świerzbiących języków! Ono się zmieniać, poprawiać i przekreślać nie da.

Straciłem już panowanie nad sobą i podsunąwszy mu kułak pod oczy, krzyczę:

— Gdybyście mi nawet do prawdy dotarli, gdybyście mi wołali: patrzcie, oto prawda, na którą przysiąc możemy, oto niezbita niekłamana pewność, to i wtedy nawet skopię wasz ideał nogami, oplwam, zbezczeszczę, dlatego tylko, że z waszej wyszedł on kuźni!...

— Toż to konserwatyzm — pisał drugi panicz.

— Ty ciasny łbie!... konserwatysty, liberali, radykaliści... Dokądże wy mleć to będziecie? Kierujcież wy wszyscy, jak się tam nazywacie swoją trzodą, a baczcie byście jej nie stracili. Czem jenerał bez wojska, tem będzie inteligent tam, gdzie głupców zabraknie.

Andrzej widzi, z jakim zapalem mówię, jaka wściekłość mną miota, jak biegam po pokoju, wygłaszając pięścią — widzi to wszystko i zdaje mu się,

iż powinien przyjść mi z pomocą. Jakoż, gdy obrażony gość roztworzył usta, by coś powiedzieć, Andrzej kładzie mu rękę na ramieniu i mówi flegmatycznie:

— Milczeć, milczeć, bo na gębę włożę.

Ta surowa interwencja podziałała znakomicie. Panicze powstali z miejsca i jak oparzeni wynieśli się z pokoju.

Andrzej nie darował im wszakże.

— Kazimierz, ja ich ze schodów skantuję. Tak, dla przestrogi... Hę?...

I, nie czekając odpowiedzi, wybiegł do sieni. Po chwili usłyszał szamotanie się i dwaj inteligenci, jak dwa tłomoki, stoczyli się z hałasem na dół.

Upadam na łóżko i śmieję się z całego serca.

— Ja jestem żołnierzem armii zapasowej, ciebie Andrzej mianuję za waleczność porucznikiem.

— Michasia robię gefrajterem — woła Andrzej.

Śmiejemy się jak dzieci, a z nami śmieje się i Michaś.

— Chcecie chłopcy wiedzieć, co znaczy owa armja? Chodźcież, to wam wytłumaczę. Tyś się, Andrzej, na wsi chował?

— A no...

— Znasz mroźne noce zimowe, noce, gdy mróz tak silny, że aż gwoździe z chałupy wychodzą, ręce tak grabieją, że ni palcem nie ruszysz, skóra ci nawet cierpnie na karku?...

— A no...

— Widziałeś może w taką noc stado wilków? Jak stoją czas jakiś, szyję wyciągną i wyją przeraźli-

wie, jak potem niespokojnie naokół biegają i jak ich ślepie migocą w ciemnościach niby błędne ogniki?

— Ojoj...

— Takie stado głodnych wilków to owa armja, a my jej żołnierze.

— A malec gefrajter — wtrąca rozbawiony Andrzej.

Pokładamy się wszyscy trzech od śmiechu.

— A wiesz, Michaś, czemu ludzie w takie noce z chałup nie wyłażą?

— Bobyśmy ich pożarli.

— Brawo, gefrajter!

I znów śmiech. Musi być w tem wszakże coś niezdrowego, gdyż naraz, bez widocznej przyczyny, urywamy. Michaś nawet zląkł się tego milczenia i spoważniał. Z piersi mojej dobywa się bezwiednie ciężkie westchnienie, jakby jęk stłumiony, co wprowadza Andrzeja w niezmierne zakłopotanie.

Ofuknął się na Michasia, byle coś powiedzieć.

— Czego się gapisz na mnie, jak kozioł na wodę?

Usiadł potem markotny w kącie i nie odzywał się więcej.

X.

.
.
Dziś jestem werkmajstrem w fabryce pana Kwaśniewskiego. Protektor mój dotrzymał obietnicy, a że spełnił ją tylko częściowo, nie jego w tem pono wina.

– Na dyrektora masz pan za mało inicjatywy.

Oto co mi powiedział bez ogródek. Stosunek nasz zmienił się niesłychanie. Zamiast dawnej przyjaźni – sucha urzędowość, zamiast życzliwości – traktowanie z góry.

Na tyle rzeczy patrzyłem, tyle na sobie doświadczyłem, że wydaje mi się to bardzo naturalnem.

Że znajomymi stosunków nie zrywam, gdyż teraz mam i ja swoją ambicję. Zawsze nie jestem ja zwykłym sobie werkmajstrem. Że traktują mnie tam z góry, śmieją się i wydrwiwają, o tem wiem aż nadto dobrze, a jednak chodzę do nich, choć wiem, że najchętniej wyrzuconoby mnie za drzwi. Wyrobiłem sobie pod tym względem pewien cynizm.

Niechaj się to wam nie podoba, niechaj to was

złości, a ja stąd ani na krok nie ustąpię. Wyrzucić mnie nie możecie, bo... bo i ja szkoły skończyłem.

Taką miarkę miałem już dla siebie.

Cały mój stosunek z „inteligencją“ ogranicza się na tem, że chodzę z nimi na spacer, jadam nieraz i służę za cel dla marnych dowcipów.

Dawniej (o, już bardzo dawno temu) umiałem odpowiadać na takie przytyki, potrafiłem płacić pięknem za nadobne. Dziś uśmiecham się głupkowato i cedzę wolno:

— A to bestja... panie tego.

Nazywają mnie wszędzie mistrzem.

Pannę Helenę spotykam na ulicy bardzo często. Ilekroć mnie zobaczy, odwraca się ze wstrętem. Mnie to, rozumie się, gniewa i mruczę sobie pod nosem:

— A to małpa... panie tego.

Andrzej wymyśla mi ciągle za to, że chodzę w cylindrze i w rękawiczkach, mówi, że wyglądam jak „piesek z ziurnalu“. Ja znowu uważam, że strój taki jest dla mnie, bądź co bądź, odpowiedniejszym od maciejówki robotniczej.

Dobry to chłop, ten mój Andrzej, tylko, że gderliwy aż do znudzenia. Nie cierpi naprzykład moich znajomych i mawia mi nieraz:

— Ty, Kazik, myślisz, że ja taki łasy na nich, jak pies na sperkę. A ja tobie powiadam, że gdyby do mnie przyszła która z tych zielonych małp, zaraz bym ją ze schodów zwindował.

Aż wreszcie pokłóciliśmy się z nim na zawsze o ten cylinder.

Michaś kończy szkoły i ma zamiar studjować

nauki społeczne. Temu chłopcu wydaje się, że na piramidę włązi, a jednak on w moje idzie ślady. Za-uważyłem dawniej, że lubił strugać różne maszynki i zadaje sobie pytanie: czy los aby z nas nie zadrwił i nie przestawił naszych pionków na szachownicy życia.

Próbowałem z nim mówić, radziłem, by starał się lepiej poznać samego siebie i wtedy postanowiłem, by nie dał się porywać wiatrem, który narazie wieje.

Cóż, kiedy i on uważa mnie za starego idjotę.

Żyję ze wszystkimi, wciskam się tam, gdzie mnie nie chcą i nie potrzebują, a jednak czuję okropny brak ludzi. Jest mi nieraz ciężko, bardzo ciężko. Wiem, że nie jestem unikatem, i że takich, jak ja, są u nas całe legiony, takich, co to dla mądrych są za głupi, a dla głupich za mądrzy. Ci jednak najbardziej stronią od podobnych sobie.

Nieraz buntuję się przeciw samemu sobie i unikam tych, co mnie widzieć nie chcą. Samotność wszakże wyczerpuje szybko moje siły: potrzebuję ludzi, chcę słyszeć głos ludzki, a poza nimi nie mam już nikogo.

Zwierzę zamknięte w klatce zdycha z tęsknoty.

I ja tak skończę.

Powiadają, że małpy na Ceylonie wyją, gdy zwierz się zbliża, jakby pod wpływem instynktu towarzyskiego.

I ja byłbym nieraz.

W fabryce pracuję jak wół roboczy, jak nędzny, głupi wół. Dają mi jak najcięższe roboty, przy których nie trzeba „inicjatywy“.

— Panie dyrektorze — bronię się nieraz — dopóty dzban wodę nosi...

— Wiem, wiem: Aż się ucho urwie. A wiesz pan, co ja z takim dzbanem robię?

— Niestety, aż nadto dobrze.

— A zatem radzę robić swoje. Słyszysz pan?

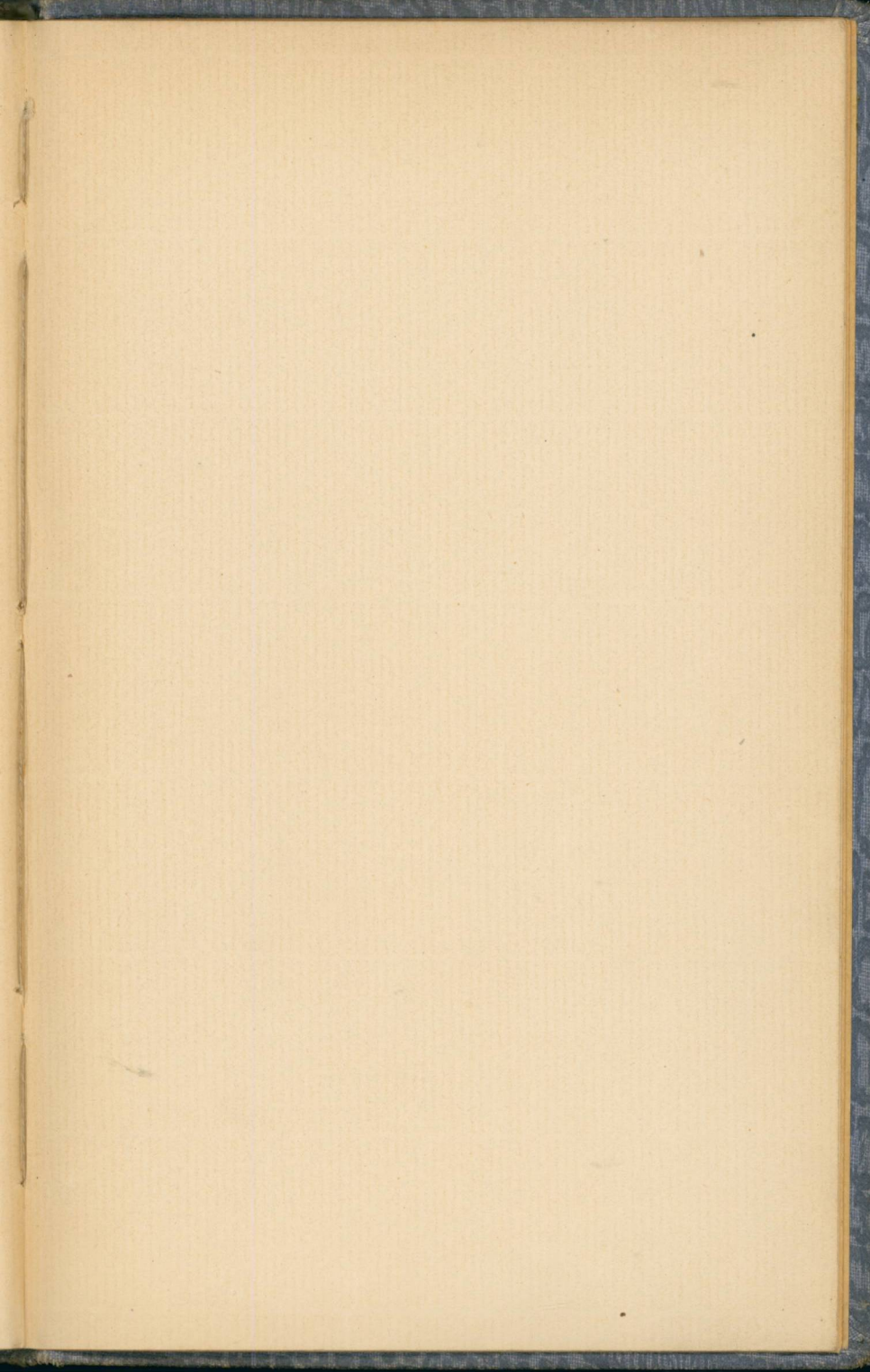
— Słyszę, słyszę...

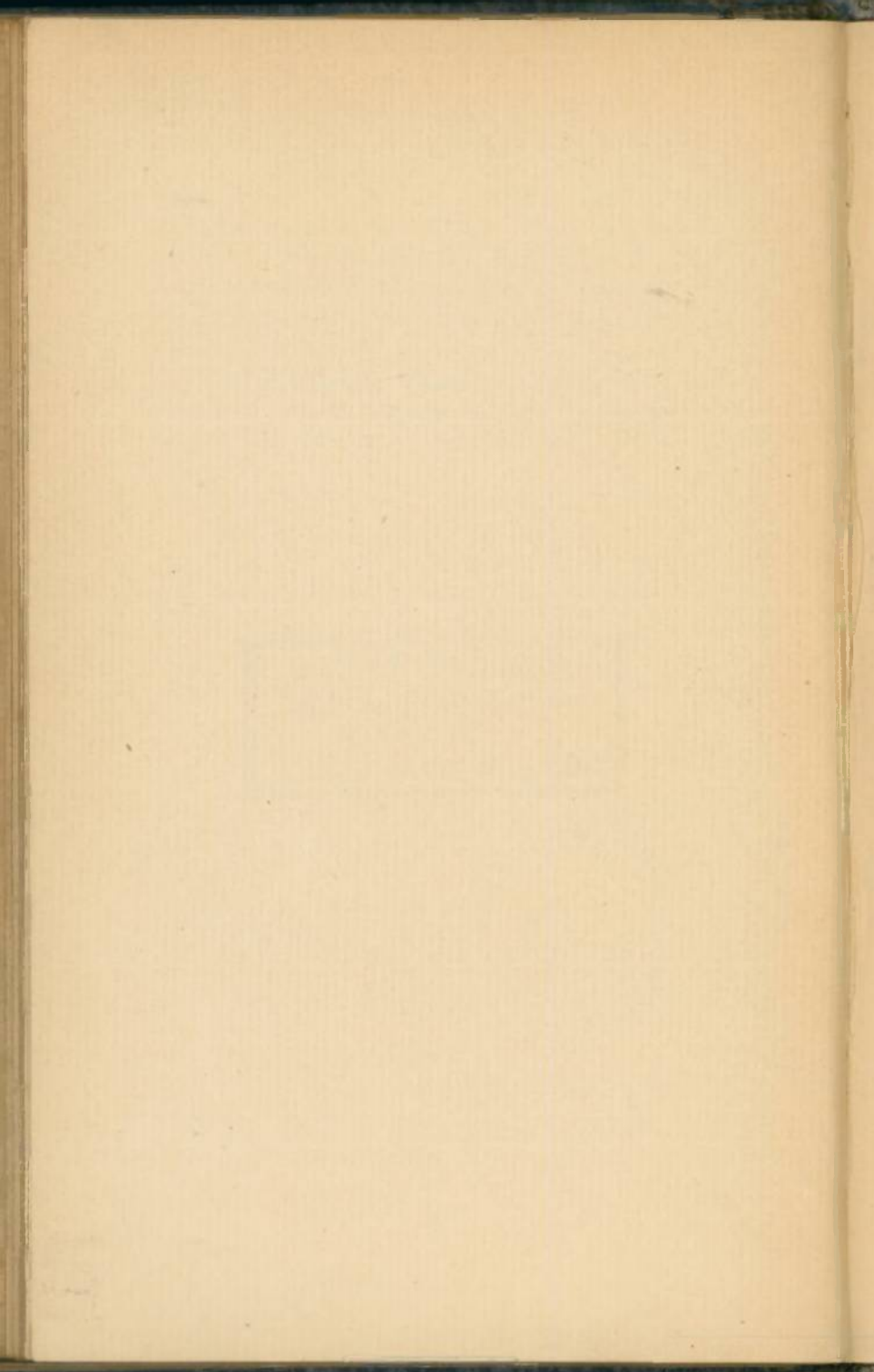
— Jaak? Jak pan mówisz? Wróćno się pan.

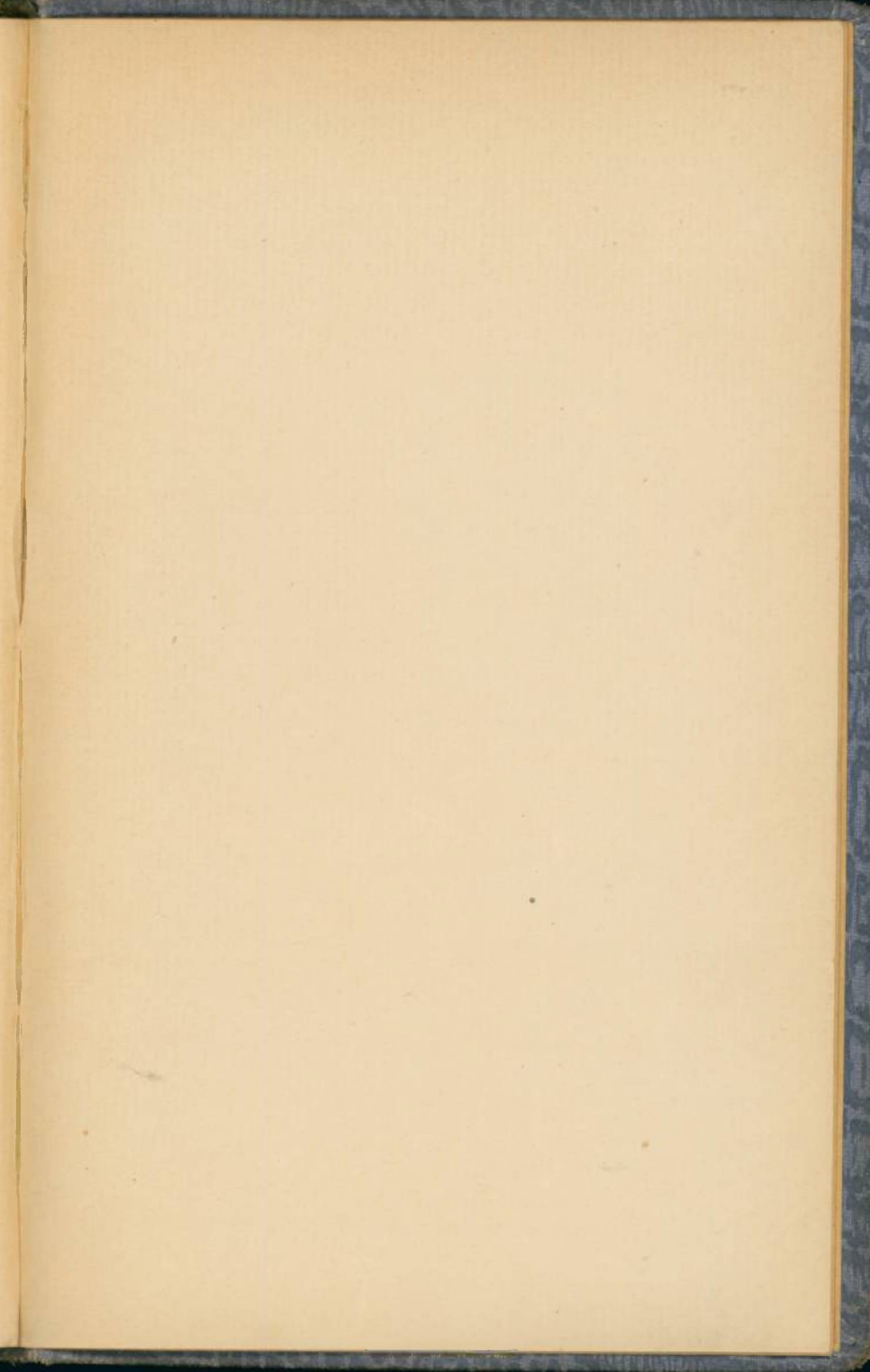
— Słucham... proszę... panu.

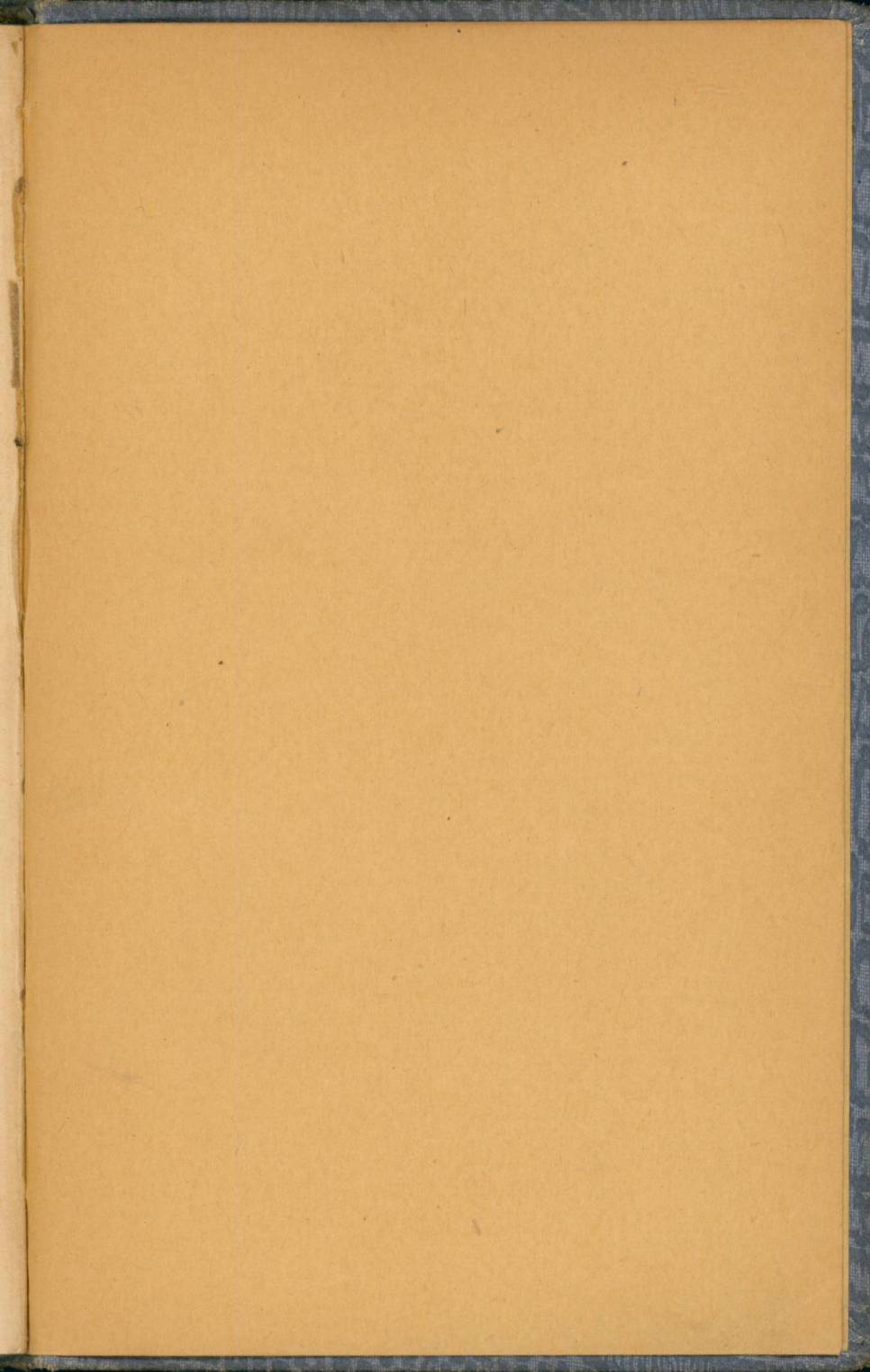
K O N I E C.

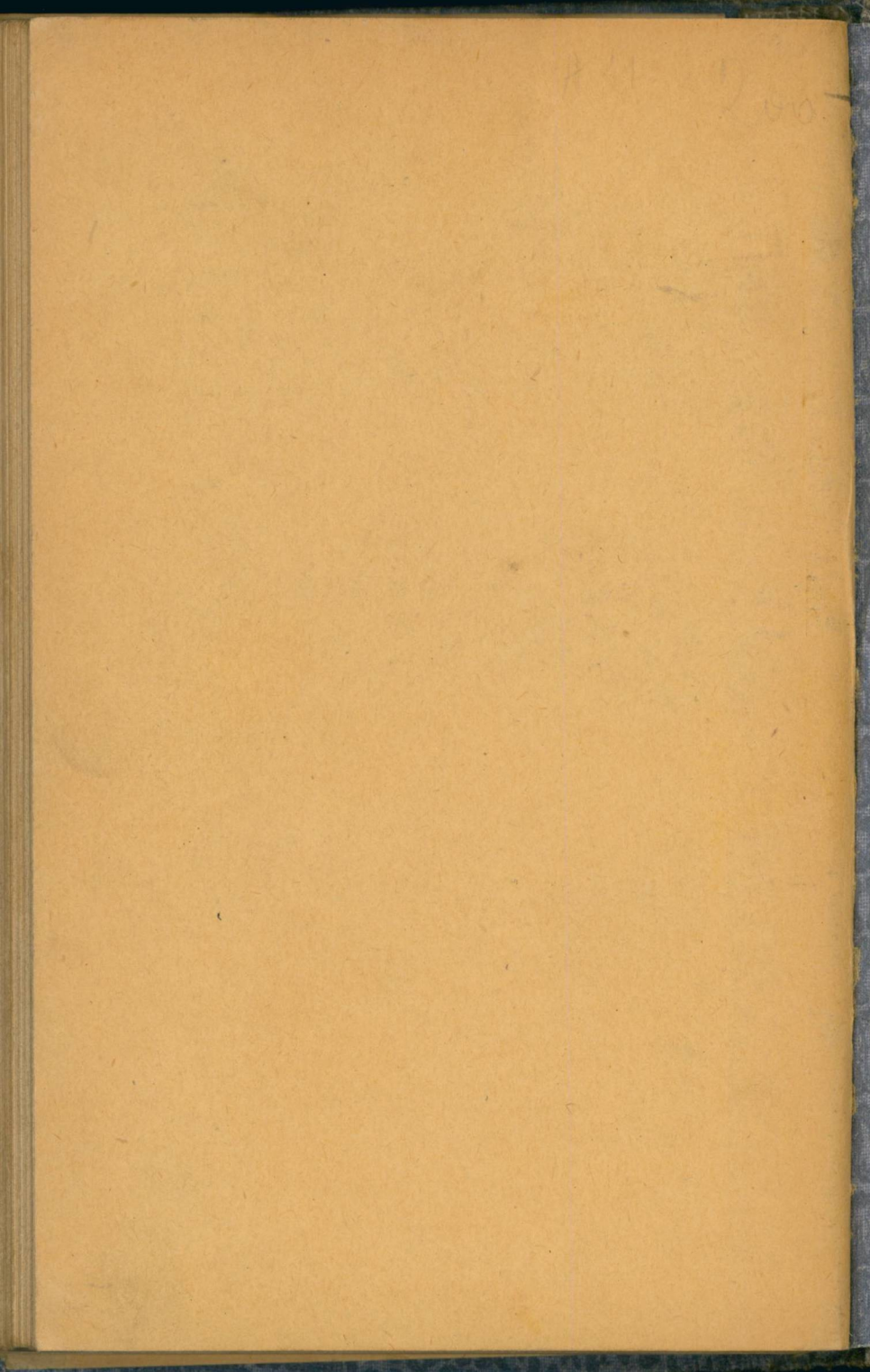














Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 629



629